

WYKONKURS
DŁA RYCERZY

WSZYSTKO O SKARBACH I PRZYGODZIE

ODKRYWCA

Nr 8 (32)

Sierpień 2001

Rok IV

ISSN 1505-6104

Cena 7 zł

PRZEKŁĘTE ZNALEZISKA

Fabryka pod zamkiem?

PORADY dla zbieraczy minerałów

Jak szukać pod wodą



ISSN 1505-6104



07

WOJOWNICY OCENIAJĄ TOPORY

Gazeta Rycerska

I/Styczeń 2002

Szlachetni Rycerze i Woje oraz wszyscy nasi cywilni Czytelnicy!

W grudniu 2001 roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia zamierzamy wydać nowe pismo, które całkowicie będzie poświęcone sprawom rycerstwa, kulturze średniowiecza, zwyczajom dawnych wojowników, życiu codziennemu na dworach i zamkach, a także współczesnym rycerzom, bractwom, rzemieślnikom, którzy pracują na ich zamówienie, grupom rekonstruującym dawne tańce, obrzędy i muzykę, turniejom, broni i festynom archeologicznym. Pierwszy tytuł, jaki nam się nasunął dla tego nowego pisma to oczywiście „Gazeta Rycerska”, ale przecież nie o samych rycerzach będziemy pisać. Dlatego prosimy Was o pomoc. Pomóżcie nam znaleźć odpowiedni tytuł. Dla osoby, której pomysł wygra, przygotowaliśmy niespodziankę. To hełm ufundowany przez Michała Kosewskiego, znanego płatnerza z Chotomowa. Michał Kosewski wykona dla zwycięzcy tzw. psi pysk, absolutny rarytas, który składa się z dwóch kawałków blachy. W czasach bitwy pod Grunwaldem na ten hełm mogli sobie pozwolić tylko nieliczni.

Propozycje prosimy nadsyłać do 30 września na adres naszej redakcji lub pocztą elektroniczną:
rycerze@odkrywca-online.com

Poszukujemy również autorów oraz wszelkich osób, które chciałyby z nami w jakikolwiek sposób – oczywiście na rycerskich zasadach współpracować. Piszcie do nas również o tym, co – oprócz wyżej zaznaczonych tematów – powinno się jeszcze znaleźć w tym średniowiecznym periodyku.

W te miejsca zabieramy Was w sierpniu



Gorąco polecamy

Skarby przekłute str. 6

Nad wieloma skarbami
spoczywającymi w lochach
zamkowych, kryptach i gro-
bowcach ciąży klątwa. Ukry-
tych tajemnic strzeże też
niewielki, ale groźny i nie-
bezpieczny grzyb – aspergil-
lus flavus. Śmiałowie, którzy go lekceważą,
giną w niewyjaśnionych okolicznościach.



Fabryka splamiona krwią str. 22

Mieszkańcy Golczewa na
Pomorzu opowiadali, że pod
koniec wojny w pobliskim
lesie pod każdym drzewem
leżał trup. To Niemcy likwi-
dowali w ten sposób jeńców
z pobliskiego obozu. Robili
to w tajemnicy, ale ciężarówki wracające po
wykonaniu zadania całe spływały krwią.



Bunkry na piasku str. 25

Hel, najdalej na pół-
noc wysunięty skrawek
lądu kojarzy się z leni-
wym wypoczynkiem na
piasku. Ale to również
miejsce niezwykle ze względu na walory obron-
ne. Do dziś na plażach można znaleźć wiele
pozostałości z czasów, gdy na Helu podczas II
wojny światowej toczyły się zażarte walki.



Ostatnia zagadka rodu Romanowów str. 36

Z tragiczną śmiercią
ostatniego cara Rosji i jego
rodziny cywilizowana Eu-
ropa nie mogła się pogo-
dzić. Dlatego, gdy pojawiła
się kobieta twierdząca, że jest ocalałą z
pogromu córką władcy – Anstazją – wiele
osób w to uwierzyło. Ale czy mówiła prawdę?



Spis treści

Rozmowa str. 4

Reiner Sachs opowiada o wojennych losach
Wrocławia

Nasz Konkurs str. 13

Ostatni lot mojego samolotu

Poszukiwania... str. 14

Tajemnica „Siłowni”

Militaria str. 16

Panna młoda w czołgu

Przygoda str. 18

Męskie zabawy cz. 2

Aktualności str. 20

Śladem zaginionego Stukasa
Mauser nieszkodliwy społecznie
Bitwa ze znanym końcem

Blaski i cienie średniowiecza str. 29

O rycerzu, który został bogiem
Ranking toporów
Życie codzienne wojownika

Archeologia str. 34

Ofiary bagiennych bogów

Poszukiwania str. 40

Wykopki nad Motławą
Sekret petersburskiego fabrykanta
Nurek na tropie

Prawo str. 45

Kamienne przepisy

Terenówką na skarby str. 47

II wojna światowa str. 47

Tetrarch pod czerwonym sztandarem
Medykamenty Wehrmachtu
Miny niemieckie

Polemika str. 50

Listy str. 51

Wystawa str. 54

Verdun w sepji

Internet str. 55

Giełda str. 56

W lipcowym numerze ogłosiliśmy błyska-
wiczny konkurs ODKRYWCY. Aby wziąć
udział w losowaniu nagrody – uczestnictwie
w obozie „Trzy światy” ufundowanej przez
biuro YES Travel z Rzeszowa, należało odpo-
wiedzieć na pytanie: w której sławnej, polskiej
kopalni latano balonem i odbywały się skoki
na bungy? Oczywiście w kopalni w Wieliczce.
Spośród wielu poprawnych odpowiedzi, wylo-
sowaliśmy jedną, której udzielił pan Marcin
Benk z Konina. Zwycięzcy gratulujemy.

Przypominamy!!!

Kolejny zlot poszukiwaczy skarbow
planujemy na 12-14 października na
Dolnym Śląsku.
Szczegóły we wrześniowym numerze.

Jest jednym z najlepszych znawców śląskiej historii sztuki. Urodzony w Lipsku w roku 1957 uważa się za wrocławianina i Dolnoślązaka. W ostatnich dniach ukazała się pierwsza część katalogu śląskich artystów, nad którą pracuje od 27 lat. Obejmuje ona kilkanaście tomów. Z Rainerem Sachsem, attache kulturalnym we wrocławskim Konsulacie RFN rozmawia Juliusz Woźny

Szabrownicy w twierdzy Wrocław

– Przez pierwsze lata II wojny światowej Wrocław nie odczuł jej bezpośrednich skutków. Sytuacja zmieniła się w roku 1945.

– Śląsk to jedyny niemiecki obszar, który znajdował się poza zasięgiem bombardowań alianckich. Między innymi dlatego wywożono tu dzieła sztuki z Niemiec środkowych, z Saksonii, a zwłaszcza z Berlina. To samo zresztą dotyczyło ludzi. Po pierwszych wielkich nalotach na Berlin przeprowadzono akcję wysyłania młodzieży szkolnej na Śląsk, żeby w ten sposób uchronić ją przed bombardowaniami. Wielkie straty miasta są więc efektem walk prowadzonych w 1945 roku podczas oblężenia.

– W znacznym stopniu są one także skutkiem postępowania samych obrońców...

– Straty w dużej mierze były spowodowane przez samych Niemców, którzy wciąż mieli przewagę techniczną, ale nie mogli jej skutecznie stosować podczas walk ulicznych. Dlatego starano się ich uniknąć. Szaloną tego konsekwencją był fakt, iż Niemcy sami wysadzili niemal całą południową część miasta. To najbardziej elitarne dzielnice, zwłaszcza Krzyki.

– Dlaczego w obrębie zabudowy ulicznej nie można było wykorzystać przewagi technicznej?

– Chodziło o stworzenie czystego pola do ostrzału, zwłaszcza artyleryjskiego. Przybrało to formę paranoiczną. 20 stycznia 1945 roku Karl Hanke, SS-obergruppenführer z Wrocławia wydał rozkaz, aby mimo siarczystego mrozu, około 700 tysięcy osób opuściło miasto i to w ciągu 3 tygodni. Pozostawionych w mieście wrocławian powołano do pospolitego ruszenia i nakazywano właścicielom wysadzać własne domy argumentując to tym, że oni najlepiej znali najbliższą okolicę swego domu. Jeśli ktokolwiek ma szansę uciekać, to wła-

śnie oni. Wiele osób spotkał wątpliwy zaszczyt zniszczenia całego dorobku życia własną ręką. Zwykle pod groźbą kary śmierci, czasem nawet dla całej rodziny. Dlatego straty były takie duże, jeśli chodzi o substancję budowlaną. Hanke rządził z takim barbarzyństwem, jak żaden inny dowódca hitlerowski w czasie II wojny światowej. Hitler zachwycony jego bezwzględnością mianował go, krótko przed swoją samobójczą śmiercią, następcą Himmlera.

– Jednak zniszczenia w śródmieściu były już wynikiem późniejszych walk?

– Najczęściej tak, choć Niemcy także tam przeprowadzili podobnie szalone akcje. Planowano nawet wysadzenie Zbiorów Specjalnych Biblioteki Na Piasku. Tam miało być ostatnie centrum dowodzenia. Wymyślono, że po wysadzeniu tego wspaniałego barokowego budynku, piwnice będą mogły wytrzymać ostrzał artyleryjski, gruz miałby bowiem pełnić rolę kopuły ochronnej. Na szczęście do tego nie doszło.

– Trudno tu wyliczać poszczególne straty. W niektórych obszarach zniszczenia sięgały 90 procent zabudowy.

– Tak, inny pomysł to budowa w środku miasta lotniska, pod bezpośrednim ostrzałem artyleryjskim. W obszarze gęstej zabudowy, na terenie dzisiejszego Placu Grunwaldzkim, który jest właśnie pamiątką po tym szalonym pomysle. Kosztowało to 13 tysięcy istnień ludzkich, głównie starców, kobiet i dzieci.

– Nie użyto do tej budowy jeńców?

– Nie. Po pierwsze nie było ich już zbyt wielu, a ponadto jeniec w oblężonej twierdzy jest robotnikiem niebezpiecznym. Zatem podczas budowy lotniska pracowali i ginęli głównie Niemcy, którzy nie nadawali się do noszenia broni.

– Drugi akt dewastacji miasta rozpoczął się z chwilą wkroczenia wojsk



radzieckich, a następnie napływu polskiej ludności.

– Prócz zniszczeń wojennych były to straty spowodowane konfliktem polsko-radzieckim. Rosjanie wielokrotnie dewastowali obiekty w momencie, gdy mieli przekazać je Polakom. Wrocław poniósł olbrzymią stratę w postaci zniszczenia pałacu w Leśnicy. Był to obiekt wykonany przez tych samych artystów, którzy wzniesli słynny pałac Sanssouci. Było tam kompletnie zachowane, wspaniałe rokokowe wyposażenie. Ostatni właściciel rezydencji, architekt, był uczniem Hansa Poelziga i do roku 1943 konserwował obiekt, który został spalony przez Rosjan dawno po kapitulacji, w momencie, gdy mieli go przekazać Polakom. Cacko, małe Sanssouci we Wrocławiu przestało istnieć.

– Ale straty dotyczyły nie tylko wymiennych, materialnych wartości?

– Wielką stratą kulturową, o której się zazwyczaj nie mówi, było wypędzenie ludności niemieckiej. Sam fakt odejścia Niemców był dla dolnośląskiej krainy kulturowej wielką stratą, jak zresztą wszelkie takie

ruchy ludności. I tu nie chodzi o winę, czy jej brak. To tak, jak pomnik Fredry, stojący dziś na wrocławskim rynku na dobrą sprawę należy do Lwowa, w którym powstał.

– Po zakończeniu działań wojennych i przejściu władzy przez polską administrację dewastacja trwała jednak nadal.

– Nowi mieszkańcy Śląska, po takiej strasznej wojnie, po koszmarnych przejściach i zbrodniach niemieckich zachowywali się tu jak w kraju wroga. To nie jest wina Polaków. To jest normalna reakcja ludzka po doznanych cierpieniach. Trzeba przynajmniej jednej generacji, żeby nastąpiło opamiętanie. Zniszczono tu wiele rzeczy, które nawet nie mówiąc o wartościach historycznych, czy kulturowych miały znaczenie użytkowe. Akcje te przeprowadzano zatem często na zasadzie osłabienia wroga w kontekście odwiecznego konfliktu polsko-niemieckiego. Stąd wywożenie wszystkiego, co dało się wywieźć. To nie tylko sprawa zabytków czy sztuki, o czym dzisiaj pamiętamy najbardziej. We Wrocławiu rozbierano domy w stanie idealnym, a cegła wyjeżdżała jako materiał dla odbudowującej się stolicy. Czytałem też uchwały rad miejskich Warszawy i Krakowa, że chętnie pozbywano się ludzi niepożądanych wysyłając ich na Ziemię Odzyskaną. Śląsk pełnił zatem rolę Dzikiego Zachodu, czy Australii z pierwszego okresu osadnictwa, gdzie zakładano kolonie złoczyńców. Powodowało to następne straty w wyniku gigantycznego szabru. Dlatego wiele prywatnych mieszkań w Warszawie zdobią dziś śląskie meble czy obrazy.

– Skute pracowicie niemieckie napisy na epitafiach i pomnikach to też efekt działań powojennych.

– Należy pamiętać o prowadzonych z premedytacją działaniach władz komunistycznych. W Jeleniej Górze używano do tego harcerzy. Ktoś sobie wymyślił, że rzeźbione elementy nawet w prywatnych domach to sprawa typowo niemiecka. A było ich tam wiele, bo w Cieplicach była szkoła snycerska i zachowały się pochwalne artykuły w ówczesnej prasie zatytułowane „Wypędzamy niemieckiego ducha z gór”. Faszysti palili książki na miejskich placach, a z tych rzeźb, wciągając w to młodzież, zrobiono ogromne ognisko na rynku w Jeleniej Górze. Duże straty w paradoksalny sposób spowodowały Wystawa Ziem Odzyskanych i Światowy Zjazd Intelktualistów. Bo wówczas trzeba było na gwałt udokumentować, że Wrocław był zawsze miastem polskim. Została zatem przeprowadzona wielka akcja skuwania niemieckich napisów. Zachowały się relacje ówczesnej prasy. Na przykład przy kościele św. Barbary w akcie wandalizmu pomoc musiała straż pożarna, żeby przy pomocy długich drabin dostać się do napi-

sów, które znajdowały się na znacznej wysokości. A ponieważ nie zawsze robił to osobnik wykształcony, często skuwano także inskrypcje łacińskie.

– Jak doszło do przeniesienia dużej ilości dolnośląskich zabytków na teren dzisiejszych Niemiec?

– Jeśli chodzi o drenaż zabytków, to rozpoczęli go już Niemcy. Mając ciągle problemy z zaopatrzeniem w surowce strategiczne podczas obu wojen światowych brutalnie obchodzili się z dzwonami, traktując je jako źródło metalu do produkcji broni. Na całym obszarze niemieckim i okupowanym doszło do przetopienia gigantycznej ilości dzwonów. Nie należy też zapominać o stosunkowo niewielkiej liczbowo grupie zabytków pisanych, ale za to najwyższej wartości, które opuściły Wrocław, gdy konserwator Grundmann w roku 1945 wywiózł je w głąb Niemiec. Rękopisy trafiły do rąk Amerykanów, a następnie przekazane zostały do Berlina Zachodniego, do Fundacji Majątku Kulturalnego Pruskiego, gdzie znajdują się do dziś. I tu nie ma żadnych wątpliwości, tym bardziej, że zbiór nazywa się *Depositum Breslau* – depozyt wrocławski. Po pięćdziesięciu latach nadal nie widzę szczerzej chęci oddania go. Z mojego punktu widzenia jest to ogólnie mówiąc nie w porządku.

– Jednak zabytki wywożono ze Śląska w różnych kierunkach, wywołując chaos, którego nie opanowano do dziś.

– Należy tu wspomnieć o wywozach w stronę Krakowa, a zwłaszcza Warszawy. Nie potrafię zrozumieć większości ludzi działających w muzeach. Polska ma bardzo dobre ustawy, jeśli chodzi o archiwistykę i ochronę zabytków w sferze muzealnej. Problem w tym, że nikt do nich się nie stosuje i nikogo z tego powodu nie spotykają żadne konsekwencje. W muzeach znajduje się wiele archiwaliów, a muzealnicy nie są w stanie roztoczyć nad nimi właściwej opieki, przeprowadzić badań i opracowań. Muzealnicy nie są archiwistami. Ponadto dokumenty te, nie będąc w archiwach, są wyłączone z naukowego obiegu, w którym powinny funkcjonować. Gdyby znajdowały się one w tym miejscu, gdzie według logiki ustawy być powinny, to, opracowując jakiś problem, miałoby się pewność, że dotarliśmy do wszystkich dotyczących go archiwaliów. Jest dla mnie niezrozumiałe, że materiały nie są przekazywane do instytucji, które powinny się z racji merytorycznej, prawnej i naukowej nimi zajmować. Na przykład część zbiorów jest w Bibliotece Uniwersyteckiej na Piasku, a druga część we wrocławskim Archiwum Państwowym. Fachowcy o tym wiedzą, ale trzeba kilku lat, żeby poznać te wszystkie zawilości.

– Ostatnio coraz bardziej nasilają się żądania zwrotu wywiezionych dóbr kultury...

– Problem zwrotu zabytków jest dla mnie do pewnego stopnia sztuczny. Niemal wszyscy uważają się za dobrych chrześcijan, a przecież jedno z przykazań mówi wyraźnie „nie kradnij”. I wszyscy po obu stronach wynajdują tysiące wykrętów. *Depositum Breslau*, jak wspomniałem, w dalszym ciągu leży w Berlinie, a nie we Wrocławiu. Przeciętny krakowianin nie ma nic z tego, że „Berlinka”, czyli jedna z najcenniejszych berlińskich kolekcji książek i rękopisów, jest w Krakowie. Przecież to tak wspaniałe miasto, że nie potrzebuje cudzych zabytków. I robią to ci ludzie, którzy mówią, że są przywódcami intelektualnymi i moralnymi tego świata. Myślę, że obie strony oddając cudzą własność nie tylko by nie straciły, lecz wręcz zyskały. Pewność, że ja niczego nie kradłem jest chyba najcenniejszą wartością. I tu nie ma żadnej dyskusji.

– Ostatnio w Warszawie pojawiła się koncepcja nadania rabunkowi rangi prawa.

– Madonna śląska zawsze ma większe znaczenie, będąc na Śląsku niż w Warszawie, czy, nie daj Boże, w sejfach japońskich. Dlatego ten pomysł, który ostatnio zaczęto propagować, czyli Muzeum Sztuki Zdobywczej, które ma powstać we współpracy ze stroną niemiecką w Warszawie, uważam za absurd. Oczywiście powinna rozwijać się wspólna działalność polsko-niemiecka, ale tu na Śląsku.

– Czy chodzi o muzeum „trofie-jów”? Nie tylko usankcjonowanie grabieży, ale wręcz szczycenie się nią?

– Najwyraźniej tak. Ale dlaczego mamy wspólnie przypieczętować wyrwanie tych zabytków z ich dziejowego i logicznego kontekstu? Na pewno są od ogólnej reguły wyjątki. Jeśli dane zabytki są użytkowane zgodnie z przeznaczeniem w nowym miejscu. Choćby ołtarz główny katedry poznańskiej. Pochodzi on ze Śląska. Jest rzeczą oczywistą, że już na tyle jest zintegrowany z nowym zespołem, iż powinien tam pozostać. Ale wówczas istnieje kolejna szansa. Jest możliwość żeby nawiązać bliższe kontakty. Wyobrażam sobie, że ta parafia, miasteczko, którego chlubą niegdyś było owo wybitne dzieło sztuki, co jakiś czas jadą do Poznania, zostają gościnnie przyjęci przez nowych właścicieli a nawet wspólnie się troszczą o owo dobro kultury. I wciąż mają świadomość, że dzieło mentalnie wciąż należy do ich miasteczka, że nie zginęło bezpowrotnie. A ci, którzy podejmują decyzje zamiast budować te pozytywne przykłady zatrzymują się na negatywnych. Z wyjątków, które, jak sama nazwa wskazuje, powinny być nieliczne, starają się uczynić regułą.

Rozmawiał Juliusz Woźny

Najpierw Stefan Walczy odwoził wszystkich od myśli o otwarciu grobu; on, zwykle powolny, celebrujący chłód i zachowanie stał się nazbyt ożywiony i wyraźnie niespokojny. Przyniósł książkę Cerama „Bogowie, groby i uczeni”, na głos odczytał fragmenty o spełnionej klątwie Tutanchamona. Powiedział naczelnemu inżynierowi Kierownictwa Odnowienia Wawelu, Czesławowi Doboszowi: Kto pierwszy tam wejdzie, ten pierwszy zejdzie.... I wszedł jako pierwszy”.

Skarby przeklęte

O tym, że duchy zmarłych właścicieli strzegą ukrytych skarbów nie wątpi – jak mniemam – żaden szanujący się ich poszukiwacz. Zbyt wiele bowiem jest zdarzeń, wskazówek i ostrzeżeń, aby nierozważnie lekceważyć ów udział czynnika „zaświatowego” w naszych przedsięwzięciach. Zbyt wiele spraw tragicznych i zbyt wiele niespodziewanie szczęśliwych odkryć zna historia poszukiwania skarbów, aby ośmielić się na zanegowanie działalności istot duchowych. Historia ta poucza nas także, iż duchy mogą zarówno sprzyjać poszukiwaczowi skarbów jak i przysporzyć mu poważnych kłopotów z zagrożeniem jego życia łącznie. Warto więc zabiegać o ich łaskawość.

Jako przykład pozytywny służyć nam może angielski archeolog Frederic Bligh Bond, który w latach 1909-1920 prowadził badania ruin sławnego opactwa Glastonbury, w którego podziemiach – jak głosi średniowieczna opowieść – pochowano mitycznego króla Artura, władcę Rycerzy Okrągłego Stołu, a także ukryto Świętego Graala – cudowny kielich zawierający krew Chrystusa, która wypłynęła z jego ran na krzyżu. Obok klasycznych wykopalisk Bond, wprowadzając się w stan autohipnozy,

nawiązał kontakt z duchami

zmarłych mnichów, również pogrzebanych w podziemiach opactwa. Wśród licznej plejady jego informatorów znalazł się mnich Ambrosius pełniący obowiązki piwnicznego, czyli opiekuna klasztornych zapasów wina, Peter Lighfood – budowniczy zegara klasztorowego, Johann Bryant – ogrodnik i znawca ziół, a nawet sam opat Bare, który opowiedział Bondowi, jak doszło do zniszczenia klasztoru. Najwartościowsze dla archeologa okazały się jednak opowieści przekazane przez mnicha o imieniu Guliemus. Mówił on o ukrytych w ruinach klasztoru skarbach a także wskazał, gdzie należy szukać zapomnianej, przysypanej gruzami klasztornej kaplicy. Ta ostatnia wiadomość była szczególnie

ważna, bo stanowiła kryterium wiarygodności seansów z duchami. Kiedy bowiem Bond podjął wykopaliska w miejscu wskazanym przez Guliemusa rzeczywiście natrafił na ruiny nieznanej kaplicy. Niestety, do opisanych przez mnicha skarbów nie zdołał dotrzeć. Poszukiwania te zbiegły się bowiem z opublikowaniem jego książki pt. „The Gates of Remembrance” (Bramy pamięci), w której przedstawił swe osiągnięcia w zakresie „archeologii parapsychologicznej”. Wywołała ona oburzenie zarówno w środowisku angielskich archeologów, jak i wśród dostojników Kościoła Anglikańskiego, do którego należały ruiny opactwa Glastonbury. Bonda okrzyczano szarlatanem i oszustem, przerwano jego prace i zmuszono do opuszczenia terenu wykopalisk. Pechowy badacz żył jeszcze ćwierć wieku, ale już nigdy nie wpuszczono go na teren opactwa, zakazano nawet sprzedaży jego książki w pobliżu ruin. Dla naszych rodzimych poszukiwaczy skarbów duchy jak dotąd nie są nazbyt łaskawe, co wynikać może z pobłażliwego i lekceważącego ich traktowania. Bo zwykle traktujemy je niepoważnie, przypisując im, co najwyżej udział w ludowych legendach i baśniach. One tymczasem istnieją naprawdę i strzegą powierzonych im skarbów. Jak duch królowej Bony, który równo-

ześnie – dla duchów to żadna trudność –

pilnuje sznurów pereł i worków szlachetnych kamieni

oraz beczek wypełnionych złotymi monetami, zakopanych na zamkach w Czersku, Łomży, Ostrołęce i... odległym Barze na Podolu. W średniowiecznym zamku w Darłowie na Pomorzu Środkowym spoczywają w ukryciu wielkie skarby zgromadzone przez Eryka I ostatniego księcia słupskiego i przez pewien czas władcy Danii, Norwegii i Szwecji, a w końcu po detronizacji, autentycznego bałtyckiego pirata mającego swą bazę na wyspie Gotlandii. Zarówno godność królewska jak i pirackie rzemiosło stało się źródłem jego wielkich bogactw, które pod koniec życia (zmarł w 1459 r.) umieścił w swym rodzinnym zamku darłowskim. Ukrył je podobno pod dnem przepływającej w pobliżu rzeki Wieprzy, a śmiałków, którzy usiłują do nich dotrzeć wciąga w wodne odmęty i topi. Być może życzliwa z nim rozmowa zmieniłaby jego postępowanie.

A na zamku w Toszku na pograniczu Śląska i Małopolski

spoczywa złota kaczką

siedząca na złotych jajach – przekazywany z pokolenia na pokolenie skarb rodu von Gaschin-Gaszyńskich. Znalazł się on tam za sprawą księżniczki Giseli von Gaschin, która 29 marca 1811 roku, ratując się przed pożarem, który wybuchł na zamku próbowała opuścić go przez podziemne przejście, unosząc złotą kaczkę. Zginęła w podziemiach wraz ze skarbem i dziś jej duch pilnuje do niego dostępu, strasząc i zwodząc chciwych złotą śmiałków Prawdziwe niebezpieczeństwo spotkać nas może jednak dopiero, gdy duchy sprawujące opiekę nad ukrytymi skarbami i ruinami zabytkowych budowli staną się naszymi wro-



Wydobywanie obłożonej kłutwą trumny z białostockiego kościoła



Staropolska trumna „ozdobiona”
wymownym ornamentem

gami, gdy potraktują nas jak intruzów we własnym domu. Wówczas nawet życie nasze i naszych współpracowników

może być zagrożone.

Szczególnie zaś dużo tego rodzaju historii opowiadają archeolodzy prowadzący wykopaliska na średniowiecznych zamczyskach.

Izabela Sikorska, która prowadziła prace archeologiczne na zamku biskupów warmińskich w Reszlu wspominała o „siłach nieczystych” broniących dostępu do głęboko ukrytego lochu, gdzie spoczywały biskupie skarby. Gdy odkopała wejście do podziemi na zamku, zaczęły dziać się dziwne i niepokojące rzeczy. A to bez specjalnej przyczyny zawaliły się ściany archeologicznych wykopów, a to od muru, który wydawał się mocny i solidny, oderwało się kilka cegieł, przelatując o kilka centymetrów od głowy archeologa. Oznaki te, początkowo lekceważone jako dzieło przypadku, z czasem, gdy stały się nagminne, zaczęto traktować serio. Wreszcie, gdy zawaliła się cała ściana budowli

omal nie zabijając pracujących ludzi

Izabela Sikorska dała za wygraną i zaprzestała wykopalisk w niebezpiecznym, ale „skarbonośnym” miejscu.

Jeszcze bardziej zadziwiające wydarzenia miały miejsce na terenie zamczyska w Sławkowie leżącego we wschodniej części Wyżyny Śląskiej. Niegdyś wznosił się tam zamek biskupów krakowskich, którego relikty od początku osiemnastych lat XX w. badał

krakowski archeolog Jacek Pietrzak. W jego przypadku oddziaływanie „sił nieczystych” najpierw zdradziły maszyny sprowadzone na zamczysko w celu usunięcia wierzchniej warstwy gruzu. Koparki i spychacze, które w innych miejscach pracowały bez zarzutu, na zamku w Sławkowie nagle traciły swą moc, gasły i bezradnie zamierały. Wyprowadzone poza teren wykopalisk znów stawały się silne i sprawne. Gorzej, że i ludziom zatrudnionym przy tych pracach wiodło się nie najlepiej. A to ktoś złamał nogę, ktoś ciężko rozchorował się, inny wpadł do głębokiego wykopu cudem unikając śmierci, jeszcze innych przysypały zwały ziemi i gruzu. Później okazało się, że była to tylko zapowiedź tragedii, które miały nadejść. W kilka dni po zakończeniu prac zginęło dwóch robotników zatrudnionych przy rekonstrukcji murów. Pierwszy spadł z rusztowania, które miało zaledwie dwa metry wysokości, drugi zmarł na tajemniczą, niemożliwą do zdiagnozowania chorobę.

Student archeologii cudem uniknął śmierci, wpadając pod łyżkę koparki,

która nagle pod nieobecność operatora przeszła ze stanu bezwładu do żywiołowej aktywności. Niestety doświadczał również sam kierownik prac. Jacek Pietrzak, a to złamał rękę, a to jego dziecko ciężko się rozchorowało, a to koledzy archeolodzy wypisywali niepochlebne recenzje z jego publikacji na temat zamku w Sławkowie.

Najbardziej jednak

wstrząsająca historia

Łącząca duchy, archeologów i średniowieczne zamczyska wydarzyła się na terenie Małopolski. Jej początek zdarzył się w ruinach zamku Lipowiec położonego w powiecie chrzanowskim i jak poprzednie zamki (cóż to za dziwna prawidłowość?) zbudowanego przez biskupów. Jego dzisiejszą panią jest Biała Dama strzegąca biskupich skarbów, przechadzająca się po szczycie wyniosłej, zamkowej wieży w ślicznej posrebrzanej sukni, a niekiedy wyjeżdżająca z piekielnym łoskotem na przejażdżki kareta zaprzęzoną w sześć wronych koni. Wówczas na czele jej orszaku cwałował zakuty w zbroję duch Jana Muskaty biskupa krakowskiego zwolennika panowania czeskiego w Polsce i zaciętego wroga Władysława Łokietka. Do Mu-



Dr Eugeniusz Panek z Instytutu Biologii Uniwersytetu Wrocławskiego

Kropidlak żółty, czyli aspergillus flavus wcale nie musi być toksyczny. Tylko niektóre szczepy tego grzyba produkują tzw. aflotoksynę, czyli substancję rakotwórczą. Wykorzystują ją „do zwalczania konkurencji” to znaczy do zapewnienia sobie wyłączności na podłożu, dzięki któremu mogą się rozwijać, gdyż grzyby mogą żyć tylko i wyłącznie na substancji organicznej. I tylko szczepy produkujące aflotoksynę mogą być bardzo toksyczne. Ale przypadki spowodowania śmierci przez kropidlaka są bardzo mało prawdopodobne, no chyba, że będzie to ktoś, u kogo występuje bardzo silna alergia. Kropidlak żółty występuje wszędzie, nie tylko na zwłokach. Zarodniki tego grzyba unoszą się w powietrzu i zaczynają się rozwijać, gdy tylko znajdą się na jakiegokolwiek materii organicznej.

skaty należał też wspomniany Sławków, co daje kolejną zadziwiającą prawidłowość w kontekście biskupich skarbów, duchów i zamczysk.

A historia, która wydarzyła się przed kilku laty w letnią upalną noc wieje autentyczną grozą. Oto bowiem, krakowscy archeolodzy i konserwatorzy pracujący przy zabezpieczeniu zamkowych ruin postanowili uczcić zakończenie kolejnego etapu działań. Większość



Kazimierz Jagiellończyk rzucił podobno klątwę na każdego, kto zakłóci jego spokój

uczestników przyjęcia opuściła je tuż po zapadnięciu zmroku, a na „placu boju” pozostała trójka biesiadników – archeolog Jerzy C., jego żona Zofia i ich przyjaciel również archeolog, Andrzej B. Wkrótce potem Jerzy C. zabrał butelkę napoju i udał się do baraku dozorczy ruin, aby dokonać z nim rozliczeń. Po wspólnym spożyciu zawartości flaszki zasnął w tym miejscu i nie powrócił do towarzystwa. A dwojgu pozostałych przyszedł do głowy szalony i pełen fantazji pomysł nocnej wyprawy na zamkową wieżę. Pomimo, że mieli już porządnie „w czubie”, krętymi, wyszczerbionymi schodami dotarli na sam szczyt. I wtedy zdarzyła się tragedia. Zofia C. z kilkudziesięciu metrów

runęła na kamienny dziedziniec

ponosząc śmierć na miejscu. Nie wiadomo, co było przyczyną wypadku. Czy wypity alkohol sprawił, że nazbyt blisko podeszła do niezabezpieczonej balustradą korony wieży, czy zmylił ją mrok nocy, czy świadomie popełniła samobójstwo, czy też jak sugerował prokurator – została popchnięta przez Andrzeja B. i stała się ofiarą zabójstwa. Śledztwo wykazało, że Andrzej B. nie

Pułapka na archeologa

Z Leszkiem Słowikiem, konserwatorem rozmawia Joanna Lamparska

– *Czy wierzy Pan, że klątwa może zmienić ludzkie życie?*

– Najlepszym przykładem będzie chyba przykład dworku klasztoru w Rudawach koło Bochni, w którym niegdyś mieszkali zakonnicy. Pod koniec lat 60. znalazł go profesor Jan Dutkiewicz. Gdy zaczął badać zabytek, na podstawie wstępnych oględzin stwierdził, że miał on wszystkie ściany malowane. Sprowadził więc ekipę konserwatorów, która na początku zdejmowania tynku znalazła tabliczkę ostrzegającą przed odkrywaniem tych malowideł i klątwą grozącą śmiałkom, którzy się tego podejmą. Oczywiście praca badacza nie dopuszcza takiej możliwości, że jeśli się coś zacznie to nie można przerwać przez tabliczkę. Dlatego zaczęto dalej zdejmować tynk i badaczom ukazał się obraz o wymiarach mniej więcej 3 m na 8 m. Przedstawiał mnichów o przerażonych twarzach w bardzo ekspresyjnych pozach. Obraz był tak namalowany, że mniś patrzyli na oglądającego, bez względu na to, w którym miejscu sali stał. Dwa tygodnie po odkryciu tego fresku, profesor Dutkiewicz zginął w dziwnych okolicznościach, tzn. spadł z rusztowania w kościele w Olkuszu, w którym pracował już od kilku lat. To był poniekąd dowód, że klątwa dopadła tego, który zakłócił spokój obrazu. Zresztą w tym dworku cały czas działały się przedziwne rzeczy, poczynając od pęknięcia ścian, a kończąc na podmakaniu fundamentów, co jest o tyle dziwne, że obiekt stoi na wzgórzu.

– *Pan również odkrywał przeklętą rzekomo kryptę?*

– To była krypta Reisewitzów w Tworowie koło Raciborza, do której nikt nie zaglądał od 350 lat. Była bardzo ciekawa, zawierała trzy sarkofagi miedziane, bardzo bogato zdobione i kilka małych sarkofagów z pochówkami dzieci. Już po wejściu do tego pomieszczenia specyficzne narośla na sarkofagach wskazywały, że miejsce jest bardzo silnie zainfekowane mikroorganizmami, zresztą jak każdy obiekt tego typu. Porosty złotawo-żółte wskazywały, że jest to ten słynny i tak niebezpieczny *aspergillus flavus* – grzybek, który powoduje bardzo przykre następstwa.

– *I klątwa dosięgła po kolei wszystkich uczestników wyprawy?*

– Nikt nie kojarzył tego na początku z kryptą, dopiero po przeprowadzeniu wnikliwych badań na Akademii Rolniczej w Krakowie, okazało się, że *aspergillus flavus* był tam rzeczywiście, a oprócz tego były tam też grzyby kancerogenne. I tak się dziwnie złożyło, że prawie wszyscy uczestnicy eksploracji zapadli na różne dolegliwości. Każdy miał inne objawy choroby, na po-

czątku były to krwawienia, gorączka, a później nastąpiło najgorsze. Dwie osoby zostały porażone paraliżem z powodu wylewu krwi do mózgu. Według badań *aspergillus flavus* działa właśnie w ten sposób. Podwyższone ciśnienie może być spowodowane, powtarzam – może być spowodowane – działaniem tego grzyba, ale również mogły to być inne przyczyny. Łączenie tych dwóch spraw było by troszeczkę pochopne i weszlibyśmy w sferę klątw. A to jest troszeczkę mało racjonalne.

– *Wielu archeologów twierdzi, że właśnie ten grzyb i podobne mu mikroorganizmy składają się na to, co nazywa się klątwą archeologiczną. Przecież przez kropidlaka żółtego, czyli *aspergillus flavus* nie można dotrzeć do wielu miejsc.*

– Jesteśmy bogatsi w wiedzę od eksploratorów krypty Jagiellończyka, w której właściwie po raz pierwszy zetknęliśmy się z takim przypadkiem. Mutacje mikroorganizmów są bardzo daleko zaawansowane i trudne do prześledzenia. W kryptach znajdują się naprawdę bardzo specyficzne warunki i można tam spotkać nie tylko kropidlaka, ale mnóstwo innych trujących grzybów i mikroorganizmów.

– *Kolekty opowiadają, że Pan też jest ofiarą klątwy, czy to prawda?*

– Faktycznie, lekarze stwierdzili u mnie zagrzybienie przewodu oddechowego. A na szczęście leczenie, mimo iż długie, gwarantuje powrót do zdrowia, więc wszystko dobrze się skończy, nie tak jak u innych.

– *To też wiąże z wejściem do tworkowskiej krypty?*

– Tylko tam spotkałem takie bardzo agresywne grzyby, ale to naprawdę nie są żadne klątwy.

– *Podobno wielu archeologów i konserwatorów obawia się klątw, którymi obłożone są stare groby. Mówi się, że wielki wódz azjatycki Tamerlan obłożył swój grób klątwą.*

– Wiemy, że faraonowie zabezpieczali swoje groby, każąc w nie wkładać trucizny. Dlatego podejrzewam, że on, obkładając swój grób klątwą też jakąś pułapkę przygotował, na którą przy eksploracji trzeba być zawsze przygotowanym. Przecież nie wiemy, co nas spotka za drzwiami, czy murowaną strukturą. W związku z tym trzeba być naprawdę ostrożnym. A klątwa? Nie powinna nas interesować.

– *A czy Pan wierzy w klątwy?*

– Nie, absolutnie nie, ponieważ wszystko tłumaczę sobie w sposób racjonalny.

Fragmenty powyższej rozmowy pochodzą z programu „Zaulek tajemnic” zrealizowanego przez Joannę Lamparską dla wrocławskiego ośrodka telewizyjnego.

niał żadnego powodu, aby zamordować swą koleżankę, a wszyscy świadkowie zeznawali na jego korzyść. Po kilku tygodniach został więc zwolniony z aresztu. Opuścił Lipowiec i podjął prace archeologiczne w innym średniowiecznym zamczysku, w ruinach zamku królewskiego w podkrakowskiej Lanckoronie.

Wydawało się, że duch budowniczego Kazimierza Wielkiego będzie łaskawy dla archeologa „po przejściach”. Tymczasem stało się inaczej, pewnego dnia zawalił się na niego kamienny mur i pozbawił życia. A kilka dni później pod kołami ciężarówki zginął trzeci uczestnik wyprawy na szczyt zamkowej wieży w Lipowcu, wierny wilczur Andrzeja B., który towarzyszył mu we wszystkich archeologicznych ekspedycjach.

Jaka była przyczyna tej zbiorowej tragedii? Sceptycy przypisują ją zwykłemu zbiegowi okoliczności i przypadków, ludzie, którzy uważają, że nic nie dzieje się bez przyczyny, a świat nie kończy się na jego materialnym obrazie, upatrują w tym działanie zazdrosnej o swe podniebne królestwo Białej Damy i zatroskanego o swe skarby ducha Jana Muskaty.

Prawdziwa jednak katastrofa, nieodwołalna śmierć i

potępienie oczekuje dopiero tych poszukiwaczy

na których duchy właścicieli i strażników skarbów rzuciły klątwę. Już za życia będą trupami i nie zdołają ująć karzącej ręki Anioła Zagłady. Jedną z najgłośniejszych i spełnionych prawie natychmiast była klątwa rzucona ze śmiertelnego stosu przez wielkiego mistrza zakonu templariuszy Jakuba de Molay na króla Francji Filipa IV, papieża Klemensa i innych dostojników usi-



Duch królowej Bony czuwa nad kosztownościami ukrytymi na zamku w Czersku, Łomży, Ostrołęce i Barze na Podolu

lujących za wszelką cenę wydobyć z niego tajemnicę ukrycia wielkich skarbów Ubogich Rycerzy. Stos zapłonął 20 kwietnia 1314 roku, a już kilka dni później przestało bić serce papieża, cztery miesiące później z życiem rozstał się najbardziej zacięty wróg templariuszy, królewski minister Guillaume de Nogaret, a 29 listopada ranny dzik zaatakował podczas polowania samego króla. Spłoszony koń zwałił go z siodła i rozbił czaszkę o kamienie. Klątwa wielkiego mistrza dopełniła się w ciągu kilku miesięcy. O wiele dłużej, bo równe pięćdziesiąt lat zbierał swe krwawe żniwo autor najśłynniejszej w dziejach archeologii klątwy egipski faraon Tutanchamon (Tut-anch-Amon –

Żywy wizerunek Amona, ok. 1367-1349 p.n.e.). Jest to równocześnie faraon najlepiej znany szerokiej publiczności, a to przede wszystkim za sprawą fantastycznych skarbów staroegipskiego rzemiosła i sztuki odkrytych w jego grobowcu przez angielskiego archeologa Howarda Cartera w 1922 roku. Dodatkowo był to jedyny nie obrabowany grobowiec w Dolinie Królów przez starożytnych, ani nowożytnych rabusiów, choć wielu próbowało. Nawet

gang sławnego Ala Capone buszował po Dolinie Królów

w latach 1920-1940. I choć archeolodzy stwierdzili, że dwukrotnie się do niego włamywano i nawet przygotowywano najcenniejsze skarby do wyniesienia, to ostatecznie nic nie zabrano. A było co zabierać, choćby złote blachy zdobiące ściany komory grobowej, czy szlachetne kamienie w liczbie stu, zdobiące ciało faraona. Rabusie nie zdołali jednak niczego unieść, a nawet pozostawili coś własnego, ciało towarzysza, którego szkielet odkryli archeolodzy w przedsionku grobowca. Oni też jako pierwsi po tysiącletnich odczytali hieroglificzny tekst straszliwej groźby wyryty na wrotach grobowca:

Niech śmierć swoimi skrzydłami ubije każdego, kto ośmieli się zakłócić wieczysty spokój faraona.

Starożytny, bezimienny rabuś miał być pierwszą ofiarą tej klątwy, ale prawdziwy ich korowód pojawił się wkrótce po otwarciu grobowca przez Cartera. Pół roku później zmarł lord Carnavon archeolog-amator wspólnik i finansista Cartera. Podobno ukąsił go jadowity owad, a

umierając majaczył o faraonie

który wołał go do swej podziemnej krainy. I jak zapamiętali świadkowie, w tym samym czasie na trzy minuty wygasły wszystkie światła w Kairze. W 1923 roku umarły jeszcze trzy osoby, które odwiedzały grobowiec Tutanchamona, dwóch przyjaciół lorda Carnavona i archeolog amerykański Cyrus Mace. W roku 1925 umierają kolejni badacze, egiptolog Arthur Weigall i radiolog Archibald Reed. Obaj zdejmowali bandaże z mumii faraona i dokonywali badań jego szczątków. Publikując ich nekrologi angielska prasa doliczyła się już 21 ofiar klątwy. W 1929 roku dołączyła do nich żona lorda Carnavona ukąszona przez takiego samego, jak jej mąż tajemniczego jadowitego owada, a także jego sekretarz powalony wy-



Sily nieczyste bronią dostępu do skarbów ukrytych w lochach zamku w Reszlu

lewem krwi do mózgu. Na wieść o tym jego ojciec popełnił samobójstwo, a wkrótce po tym podobną śmierć zadał sobie kuzyn lorda Carnavona, Andrey Herbert. W 1939 roku zmarł sam odkrywca – Howard Caeter, ale dziwnym trafem tej śmierci nie wiązano z „klątwą faraona”, zasłużony archeolog miał 66 lat, był schorowany i miał prawo do zwyczajnej śmierci. Poza tym nigdy

nie negował mocy farańskiego przekleństwa

Lekceważyli je natomiast jego następcy i dlatego padli ofiarą: amerykański rentgenolog prof. Harrison zmarł nagle w czasie pracy nad mumią w 1969 roku i jak w przypadku śmierci lorda Carnavona jego ostatnim chwilom również towarzyszyło czasowe „zaciemnienie” całego Kairu. Kilka dni później, również gwałtownie rozstał się z życiem jego asystent, dwa lata później w tajemniczych okolicznościach zmarł archeolog Walter Bryan, który od 1933 roku nieustannie pracował przy konserwacji skarbów z grobu Tutanchamona i był zagorzałym przeciwnikiem „kompromitujących naukę legend o klątwie faraona”. Po jego śmierci rząd egipski zawiesił wszelkie dalsze prace archeologiczne i konserwatorskie przy grobowcu i mumii „śmiercionośnego” faraona. I jakby na ironię ostatnią, trzydziestą ofiarą tajemniczej śmierci stał się egiptolog Gemal Mehrezow, dyrektor kairskiego muzeum archeologicznego, również zaciekle wróg wszelkich pogłosek o przekleństwie Tutanchamona. W 1972 roku liczył zaledwie 52 lata, cieszył się dobrym zdrowiem i wspomniane przypadki śmierci osób związanych z grobem faraona uważał za zdarzenia naturalne i zbiegi okoliczności. Pewnego letniego dnia wrócił do domu, poczuł się zmęczony i stracił przytomność. Wezwany lekarz mógł tylko stwierdzić zgon, którego przyczyny nie potrafił określić.

Również my, Polacy – przecież „nie gęsi” – mamy własną

straszliwą klątwę rzuconą przez władcę

który zresztą za swego życia dokonał o wiele więcej zaszczytnych czynów, niż uczynił to najsłynniejszy dziś egipski faraon. Mowa tu o Kazimierzu Jagiellończyku jednym z najpotężniejszych królów XV-wiecznej Europy i władcy największego wówczas na tym kontynencie królestwa.

Klątwę Jagiellończyka ogłosił – a moim zdaniem wymyślił jako rodzaj

„dziennikarskiej kaczki” – krakowski publicysta Zbigniew Święch w ogłoszonej w 1989 roku książce „Klątwy mikroby i uczeni” Podobnie jak w przypadku Tutanchamona ofiarami tego przekleństwa stawali się ci, którzy naruszali wieczysty spokój doczesnych szczątków polsko – litewskiego władcy. Grobowiec położony w podziemiach wawelskiej katedry otworzono 7 maja 1973 roku i od tej chwili do momentu publikacji swej książki, Święch naliczył 15 śmiertelnych zgonów ludzi mających do czynienia z tym wydarzeniem. Nie ukrywał też, że obok niego, „klątwa Jagiellończyka” ma jeszcze dwóch współautorów C.W. Cerama (prawdziwe nazwisko

Kurt Marek) autora głośnej również w naszym kraju opowieści o najsłynniejszych odkryciach archeologicznych XIX i pierwszej połowy XX wieku pt. „Bogowie groby i uczeni” (tytuł książki Święcha w oczywisty sposób do niej nawiązuje), oraz inżyniera Stefana Walczy, kierownika zespołu badawczego w Kierownictwie Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu, który jako

pierwszy zajrzał do grobowca Jagiellończyka

i rok później rozstał się z życiem. Stanisław Kozieł kierownik pracowni archeologicznej w tym samym Kierownictwie Odnowienia Wawelu, zajrzał tam



Szkielety wykopane w pobliżu krypty jednego z kościołów w Białymstoku

jako drugi. On też zapamiętał i opowiedział Święchowi dziwne fatalistyczne zachowanie swego kolegi. Święch umieścił tę relację w swej książce;

„Najpierw – wspomina Kozieł – Stefan Walczy odwoził wszystkich od myśli o otworzeniu grobu; on, zwykle powolny, celebrujący chłód i zachowanie stał się nazbyt ożywiony i wyraźnie niespokojny. Przyniósł książkę Cerama „Bogowie, groby i uczeni”, na głos odczytał fragmenty o spełnionej klątwie Tutanchamona. Na korytarzach opowiadał kolegom o serii ofiar spowodowanych otwarciem grobu egipskiego faraona. Jednym to przemawiało do wyobraźni i przekonania, inni po kątach wyśmiewali z nerwowości skądinąd bardzo zrównoważonego człowieka, którego szanowali za jego pracę i wiedzę /.../ W pewnym momencie Walczy zaczął nawet pokpiwać ze swoich niedawnych przeczuć, ale raz powiedział naczelnemu inżynierowi Kierownictwa Odnowienia Wawelu, Czesławowi Doboszowi: Kto pierwszy tam wejdzie ten pierwszy zejdzie.... I wszedł jako pierwszy”.

Ze świata, w wyniku działania klątwy Jagiellończyka zszedł jako drugi, pierwszym, otwierającym „czarną serię” był Feliks Dańczak, autor wielu udanych modeli i rekonstrukcji Wawelu i jego zaginionych budowli.

Po nim wszedł do grobowca Jagiellończyka Stanisław Kozieł, ten jednak

żyje i cieszy się zdrowiem do dziś

Podobno, ilekroć spotyka Święcha, o co w Krakowie nie trudno, niezmiennie woła: „Zbysiu! Ja ciągle żyję!”.

Wymyślona przez Święcha „klątwa Jagiellończyka” ma więc rodowód literacki, wtórny i bajeczny, równocześnie jednak jej autor – nieodrodny syn naszych czasów – próbuje znaleźć dla niej czysto racjonalne, biologiczne wytłumaczenie. Zapomina, że w ten sposób osłabia i ośmiesza uroczą bajkę, przywołując na pomoc profesora mikrobiologii Bolesława Smyka i tajemniczego, śmiercionośnego grzyba *aspergillus flavus*, czyli kropidlaka żółtego powodującego zawały serca, wylewy krwi i wiele odmian raka. Smyk powiada, że dopiero pracuje nad ustaleniem zakresu szkodliwości dla ludzkiego zdrowia działania grzyba, który występuje powszechnie we wszelkiego rodzaju pleśniach i zawilgoceniach towarzyszących człowiekowi. Dzisiejsi lekarze wątpią w bezpośredni związek sprawczy kropidlaka i śmiertelnych chorób, twierdzą, że raczej jego obecność może

sprzyjać pewnym formom raka, ale i to nie zostało eksperymentalnie potwierdzone. Święch wie jednak lepiej i odziera swą historyjkę z nimbu tajemniczości, powoduje, że my – Polacy, choć nie gęsi,

możemy utracić naszą prywatną, królewską klątwę

Nie kryję, że jestem krytyczny wobec Święcha i mam z nim osobiste porachunki. Bo zanim ukazała się książka „Klątwy, mikroby i uczeni”, Święch drukował jej fragmenty na łamach warszawskiej „Literatury” poczynawszy od roku 1983. Tamtego zaś lata przyszło mi prowadzić prace archeologiczne w podziemiach białostockiego kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP, w ciemnym lochu Krypty Fundatorów, najstarszej katolickiej świątyni stolicy Podlasia. W dusznej i mrocznej przestrzeni natrafiliśmy na kilkadziesiąt staropolskich trumien zawierających pochówki nad podziw dobrze zachowane, naturalnie z mumifikowane dzięki sprzyjającemu klimatowi panującemu w podziemiach. Zachowały się nie tylko kości zmarłych, ale i wysuszona skóra, włosy i kompletne pogrzebowe stroje. Wszystkie zaś truchła przysypane były, niczym białym proszkiem, tysiącami zasuszonych jak one, trupich robaków, które najpierw pożarły ludzką tkankę, a później z braku pokarmu zmarły resztkach swych żywicieli. W spiekocie lipca rozbijaliśmy drewniane pudła trumien i pochylaliśmy się nad szczątkami najwybitniejszych postaci Podlasia w okresie I Rzeczypospolitej. Odzieraliśmy ich z kontuszów, śmiertelnych koszul, odślanialiśmy ich intymność, mierzyliśmy, rysowaliśmy, fotografowaliśmy. Za każdym poruszeniem

w nasze twarze tryskały strumienie trupiego pyłu

wysuszone stawy pękały z chrzęstem, wywołując złudzenie ruchu, bezżębne zuchwy nagle opadały, otwierając ku nam mrok gardzieli będącej dotychczas niepodzielnym królestwem pajaków i stonóg. Wobec trującego pyłu, nasyczonego żółtym kropidlakiem, byliśmy bezradni. Próbowaliśmy stosować maski gazowe ale nie zdały egzaminu, uniemożliwiały pracę. Nasi robotnicy odkażali się w sposób sprawdzony i tradycyjny, od rana przemywali gardła siwuchą i pod koniec dnia było im wszystko jedno, co robią. Dla nas ten środek z racji miejsca i kontaktów z księżmi był niestety nie do przyjęcia. Tym bardziej więc dręczyły nas upiorne sny. A atmosfera zagęściła się jeszcze bardziej, gdy podjęliś-

my próbę identyfikacji niektórych osób pogrzebanych w Kryptcie Fundatorów. Okazało się bowiem, że znajdują się tam członkowie rodziny królewskiej: siostra Stanisława Augusta Poniatowskiego – Izabela z Poniatowskich Branicka, żona hetmana koronnego i kasztelana krakowskiego Ksawerego Branickiego, oraz bratanica króla – Katarzyna Poniatowska, córka Kazimierza Poniatowskiego, postać mało znana, zmarła w wieku około 20 lat w Białymstoku w czasie pobytu u ciotki Izabeli – „Pani Podlaskiej”. Fakt ten zaniepokoił nas, bo przecież z łamów „Literatury” w tym czasie Zbigniew Święch donosił jak straszliwa kara oczekuje tych, którzy naruszą królewskie szczątki. A przecież od króla do jego krewnych droga niedaleka. Niepokój ten pozostał już we mnie na całe życie. Kolejne lata, które przeżyłem od tamtego czasu traktuję jako chwilowe zawieszenie kary, wyrok, który zapadł, a jego wykonanie chwilowo zostało oddalone. Wiem jednak, że klątwa królów rzucona na profanów naruszających ich spokój jest nieubłagana i nieodwołalna. Czekam więc na jej spełnienie i w międzyczasie, testując cierpliwość dostojnych duchów podejmuję kolejne wyzwania. W 1988 roku była to penetracja krypty grobowej w kościele św. Jacka w Słupsku zawierającej doczesne, doszczętnie połamane i przemieszane przez żołnierzy armii sowieckiej szukającej skarbów, szczątki książąt pomorskich. Później grzebanie w podziemiach Czerska, gdzie chyba już całkowicie rozpuszczone w gliniastej ziemi spoczywają ciała książąt i dostojników Mazowsza. A wcześniej i później dziesiątki przykościelnych cmentarzy przyklasztornych krypt grzebalnych (jak w Supraślu i Choroszczy) i wojennych cmentarzysk. Setki i tysiące ludzkich szkieletów odkopanych troskliwie pieszczonych pędzlem i szpachelką, wkładanych do muzealnych pudeł albo pozostawionych w miejscu spoczynku. Tysiące ludzkich losów i tysiące potencjalnych klątw duchów zmarłych, które jak dusze wywołane przez Odysa z Hadesu, zazdroszczą nam żywym ziemskich uciech i chętnie zapraszają do siebie. Osobiście więc nie mam złudzeń, że moje dni zostały policzone. Takie też są koszty, z którymi liczyć musi się profesjonalny poszukiwacz skarbów, nawet tych archeologicznych, nieefektywnych i niebudzących błysku pożądania w oczach śmiertelników.

Zdzisław Skrok

Zdjęcia: Jan Gojto

Ewa i Marek Wojciechowsky

Marcin Osman, archiwum autora

**Praca wyróżniona w naszym konkursie
„Napisz do ODKRYWCY, wygraj wykrywacz”**

Ostatni lot mojego samolotu



MiG od 1952 r. był na wyposażeniu polskiego lotnictwa

Mało jest poszukiwaczy którzy otwarcie mówią o tym, co znaleźli. Każdy obawia się niejednokrotnie śmiesznych konsekwencji, o których dużo napisano w marcowym numerze i w związku z tym myślę, że również mało będzie odważnych, aby coś opisać. W związku z tym postanowiłem opisać „wyprawę”, w której nic nie znalazłem, mało tego – obiekt, którego szukałem trudno zaliczyć do chronionych prawem dóbr kultury. Jechałem w kierunku Radomia, celem mojej wyprawy nie było poszukiwanie skarbu, chciałem znaleźć miejsce, gdzie 11 października 1959 r. rozbił się samolot MiG-15 i ewentualnie znaleźć jakiś możliwy do identyfikacji element samolotu.

Było to w okolicy miejscowości Okońsko, ponieważ byłem już raz w tym miejscu, byłem pewien, że bez problemu trafię, natomiast wykrywacz (tak myślałem) będzie mi jedynie potrzebny do poszukiwania fragmentów. Samolot

zapalił się tuż po starcie

z lotniska w Radomiu w czasie chowania podwozia, pożar szybko obejmował tylną część kadłuba i bardzo szybko stało się jasne, że następstwem tego może być eksplozja zbiorników paliwa. Samolot brał udział w defiladzie powietrznej, start odbył się z lotniska Sadków w składzie czterech samolotów, był to wówczas bardzo modny szyk defiladowy tzw. „rombik”.

Ponieważ palący się samolot leciał na prawej pozycji – pilot ostatniego samolotu miał bardzo dobrą pozycję do obserwacji (był to por. pil. Janusz Kaczyński) i jego wielką zasługą jest podanie prawidłowych informacji pilotowi palącego się samolotu i w rezultacie uratowanie mu życia. Jedyną prawidłową decyzją pilota było gwałtowne nabranie wysokości i katapultowanie się z palącego się samolotu przed grożącą eksplozją. Wszystko się udało

pilot po katapultowaniu otworzył spadochron

i lądował na miękkim polu, co zapobiegło dalszym obrażeniom kręgosłupa, które nastąpiły w czasie katapultowania. Samolot po katapultowaniu przeszedł w ostre nurkowanie, pod kątem ok. 90° uderzył w podmokły teren i eksplodował. Na powierzchni podmokłej łąki leżały kawałki taśmy z amunicją i małe kawałki różnego złomu.

Do większych elementów saperzy dokopali się na głębokości ok. 6 m. i nie było celu, aby ten złom wydobywać, ponieważ przyczyna pożaru była oczywista – nastąpiło urwanie się jednej, a następnie kilku łopatek turbiny, które dziurawiły obudowę silnika i tylny zbiornik paliwa. Od tego czasu teren zmienił się nie do poznania – minęło przecież 40 lat, na łące wyrosły drzewa, a polna droga posiada powierzchnię asfaltową. Nie mogłem trafić na miejsce, które dokładnie pamiętam. Postano-

wilem wrócić do pobliskiej wsi i zapytać starszych mieszkańców. Spotkany przy drodze starszy człowiek powiedział, że pamięta wypadek, powiedział, że widział pilota, który leżał na pobliskim polu, czekając na pomoc i zgodził się wskazać mi miejsce upadku samolotu. Okazało się jednak, że on również miał trudności i dokładnie zlokalizowanie miejsca upadku było możliwe tylko przy pomocy wykrywacza metali.

Teraz wyjaśnię, co było przyczyną moich poszukiwań, otóż ja jestem pilotem, który się uratował z tego samolotu, a szukałem na pamiątkę jakiegoś fragmentu kabiny lub wyposażenia samolotu możliwego do identyfikacji. Niestety, okazało się, że

czas jest nieubłagany

wszystkie wykopane małe kawałki metalu były bardzo skorodowane i nie było możliwości określenia, co to jest, natomiast do zasadniczego wraku jest zbyt głęboko. Towarzyszący mi mieszkaniec wsi stwierdził: „po człowieku już nie było śladu...”.

Myślę, że to prawda, i że to jest bardzo rzadki przypadek, aby pilot mógł szukać z wykrywaczem metali szczątków samolotu, którym leciał w jego ostatnim locie! Znalazłem w ubiegłym roku wraz z kolegami „Ju-87”, który leżał być może z załogą, ale przyznaję że emocje przy szukaniu szczątków „mojego” MiG-a były naprawdę duże.

Zbigniew Karpiński

WYKOPANE ZNALEZIONE ODZYSKANE

Zabytkowy słup pochodzący prawdopodobnie z XV w. wykopał na swej działce mieszkaniec Orunii. Umieszczono na nim znak identyfikacyjny – własnościowy. Obelisk, który zaledwie na 40 cm wystawał z ziemi, okazał się potężnym kilkusetkilogramowym blokiem. Jest to najstarszy zabytek znaleziony w tej dzielnicy Gdańska. Archeolodzy przypuszczają, że został prawdopodobnie przewieziony w to miejsce przed 200 laty.



Osiem figurek aniołów pochodzących z końca XIX w. skradzionych w czerwcu z kościoła w Dąbrowie Górniczej znaleziono w rowie melioracyjnym w Grodkowie. Prawdopodobnie złodziejom nie udało się znaleźć kupców na zabytkowe rzeźby. Figurki są bardzo zniszczone przez wodę, ale po niezbędnych pracach konserwacyjnych wrócić na swoje dawne miejsce.



Archeolodzy pracujący w gdańskiej hali targowej wykopali pieczęć pochodzącą z XVII lub XVIII w. Określenie przybliżonego wieku znaleziska było możliwe, gdyż razem z pieczęcią wykopano naczynia pochodzące właśnie z tego okresu. Nie udało się natomiast jeszcze ustalić, czy był to herb rodowy, czy zwykły merk kupiecki. Jest to niezwykle rzadkie znalezisko, podobnego odkrycia dokonano w mieście kilka lat temu.



W Strzelnie w woj. kujawsko-pomorskim odkryto ruiny klasztoru siostr norbertanek z przełomu XV i XVI w. Poszukiwania ruin prowadzono od kilkunastu lat. Archeolodzy odnaleźli także krypty ze szczątkami ludzkimi. Szkielety miały obcięte dłonie i głowy. Prawdopodobnie to znalezisko zweryfikuje wiedzę na temat sposobu chowania zmarłych w średniowieczu.



W Chełmie odsłonięto mury ratusza pochodzącego z XIV w. Ściana ma 11 m długości i dzięki temu odkryciu ustalono, że budynek kilkakrotnie płonął. Archeolodzy pracujący także w przyległej do ratusza XVII wiecznej kamienicy starosty, odkryli nowe wejście do słynnych chełmskich podziemi, które z całą pewnością jest starsze niż zasłaniający je budynek.



Przemyt 16 ikon udaremnił celnicy w Świecku. Kobieta jadąca Fordem Transitem ukryła je w skrytkach umieszczonych w podłodze. Nie wiadomo na razie, skąd ikony pochodzą. Nie jest jeszcze znana ich rynkowa wartość – w najbliższych dniach odpowie na to pytanie biegły, powołany przez prokuratora.

Ekipa Odkrywczy wspólnie ze Stowarzyszeniem Eksploracyjnym z Głuszycy próbowała odnaleźć istniejące podobno połączenia między „Siłownią”, a nieznanymi podziemnymi korytarzami

Zagadka „Siłowni”

Niewiele jest w naszym kraju obiektów tak dobrze znanych i budzących tyle emocji wśród poszukiwaczy jak podziemne kompleksy w Górach Sowich. Któż z nas nie zadawał sobie pytania nad sensem i celem powstawania tego olbrzymiego kompleksu? Narodziły się liczne legendy o kwaterze Hitlera, laboratoriach, latających dzwonach i produkcji nadczłowieka. Nikt jednak tak naprawdę nie potrafi powiedzieć, czemu służyć miała śmierć tysięcy przymusowych robotników drążących podziemne miasto.

Grupa poszukiwawcza Odkrywczy od ponad roku współpracuje ze Stowarzyszeniem Eksploracyjnym z Głuszycy. Celem działań poszukiwawczych w pierwszym rzędzie jest wyjaśnienie funkcji betonowego obiektu ulokowanego na zboczu ponad sztolniami Osówki. Budowla znana jest jako „Siłownia”, choć obecnie należy raczej wykluczyć jej rolę w dostarczaniu prądu. Koledzy ze Stowarzyszenia poświęcili kilka miesięcy na mozolną pracę oczyszczenia i odwodnienia obiektu. Dokonali wielu przekopów i odwiertów, sporządzili dokładne plany i schematy, a także nawiązali kontakty ze specjalistami mogącymi określić przeznaczenie „Siłowni”. Jednym z celów eksploracji było odnalezienie domniemanych połączeń między „Siłownią”, a nieznanymi podziemnymi korytarzami. Wiele osób wskazywało na tzw. „przedział schodowy” i „okrągłak” jako najbardziej prawdopodobne miejsca tych połączeń. W końcu w połowie lipca udało się odwodnić i oczyścić ten fragment obiektu i zejść na dno. Podczas penetracji znaleziono oryginalny młotek z okresu wojny posiadający na trzonku

napisy i pięcioramienną gwiazdę, odkryto również liczne fragmenty konstrukcyjne z metalu, co świadczy o tym, że woda musiała się utrzymywać tu od wojny i uchroniła konstrukcję przed zbieraczami złomu. Na dnie dokonaliśmy wspólnie licznych odwiertów, ale niestety, nie udało się odnaleźć legendarnej sztolni, czy choćby kanałów. „Siłownia”

osadzona jest na podłożu skalnym i w różnych miejscach ma wysokość od 4 do 7 metrów, dlatego wiercenia nie przesądzają o tym, czy takowe połączenia nie istnieją. Być może nasza wiedza jest zbyt mała, by określić prawdopodobnie prozaiczne przeznaczenie budowli. Jeśli więc mają Państwo jakieś swoje przemyślenia w tej kwestii bardzo prosimy o podzielenie z nami Waszą wiedzą. Wiercenia w Osówce stanowiły kolejny etap poszukiwań w Górach Sowich i mimo, że na razie nie przyniosły spodziewanych efektów, mamy nadzieję, że dzięki uporowi i wytrwałości takich poszukiwaczy, jak koledzy z Głuszycy tajemnica kompleksu Riese zostanie rozwiązana.

Tekst i zdjęcia Proteus



Tajemnicze

Zagadkowe budowle wzniesione podczas ostatniej wojny napotkać można niemal w każdym zakątku Polski, a tereny Górnego Śląska i Zagłębia nie stanowią pod tym względem wyjątku. Mało kto wie, że w tym przemysłowym regionie istnieją obiekty nie mniej intrygujące niż podziemia Gór Sowich, czy zamku Książ. Do dziś nie wiadomo, co wpłynęło na ich lokalizację, ani czemu miały służyć.

Niewątpliwie do największych wojennych tajemnic Zagłębia Dąbrowskiego należy potężny zespół podziemnych korytarzy pod zamkiem w Będzinie. Sztolnie w zamkowym wzgórzu zostały wydrążone przez Niemców. Budowa obiektu ruszyła w 1943 roku po likwidacji getta żydowskiego, które mieściło się u podnóża warowni. Teren robót ogrodzony był wysokim płotem, toteż nikt z miejscowych nie wiedział, co dzieje się na placu budowy. Zakrojone na szeroką skalę prace trwały nieprzerwanie aż do chwili zajęcia tych terenów przez Armię Czerwoną. Trudno powiedzieć, czy przed wkroczeniem Rosjan niemieccy żołnierze wysadzili w powietrze niektóre partie podziemnych chodników. Korytarze były po wojnie penetrowane przez mieszkańców Będzina. Z relacji ludzi, którzy wchodzili do zamkowych sztolni wynika, iż korytarze są rozległe i ciągną się na przestrzeni setek metrów, a głównymi chodnikami można było przechodzić z jednej strony zamkowego wzgórza na drugą. Część korytarzy jest obetonowana, pozostałe wyrobiska znajdują się w stanie surowym. Przeznaczenie obiektu do dzisiaj pozostaje nieznane, choć na ten temat istnieje kilka hipotez. Według najpopularniejszej wersji pod będińskim zamkiem

miała powstać tajna fabryka zbrojeniowa

w której uruchomiono by produkcję którejś z „cudownych broni” Hitlera. Inna hipoteza sugeruje, iż sztolnie miały pełnić rolę gigantycznego magazynu amunicji, obsługującego stacjonujące w okolicy oddziały Wehrmachtu. Argumentem przemawiającym na korzyść tej tezy jest fakt, iż niemieckie dowództwo poważnie liczyło się z obroną tych terenów. Świadectwem prowadzonych przygotowań są zbudowane w 1944 roku linie fortyfikacji o kryptoniach B-1 i B-2. Na obie linie składały się lekkie i średnie schrony bojowe oraz umocnienia polowe. Pozycje te miały powstrzymać zbliżającą się ofensywę Armii Czerwonej. Podziemia pod Będzinem powstały jednak znacznie wcześniej niż wznoszone w pośpiechu bunkry i okopy. Trudno zweryfikować którąkolwiek z teorii, gdyż nie wiadomo nawet, jakie w rzeczywistości mia-

ły być rozmiary dziwnego obiektu, który nigdy nie został ukończony.

Do będińskich sztolni prowadzi kilka wejść. Główne znajduje się w skarpie przy ul. Podzamcze, nieco mniejszy wjazd odnaleźć można w zaroślach od strony ul. Kołłątaja. Południowa część kompleksu przez pewien czas służyła za miejsce noclegu bezdomnym, którzy wybili otwór w jednym z zamurowanych wejść. Podczas wojny tajemnicze obiekty powstały także w Sosnowcu. Na terenie dzisiejszego Parku Sieleckiego Niemcy wybudowali

pięć bunkrów przypominających schrony przeciwlotnicze

Obiekty te były jednak za małe, by w razie nalotu służyć mieszkańcom miasta - w każdym ze schronów mogło zmieścić się najwyżej kilka osób. Typowe schrony dla ludności cywilnej, zbudowane przez okupanta, do dzisiaj obejrzeć można w kilku punktach Sosnowca i wyglądają one zupełnie inaczej niż bunkry pod parkiem. Budowle te, pomimo swoich niewielkich rozmiarów, zadziwiały też solidnym wykonaniem. Wszystkie wyposażone były w pancerne drzwi oraz otwierane do wewnątrz wywietrzniki, co sugeruje, iż zapewniały hermetyczną szczelność. Schrony budowano w planie litery Z lub L. Czy miały stanowić część większego kompleksu, który nigdy nie powstał? Jakiej broni obawiali się Niemcy, że wybudowali te nietypowe bunkry i dlaczego usytuowali je akurat w tym miejscu? Jeszcze w latach



Według jednej z hipotez pod zamkiem w Będzinie miała powstać tajna fabryka zbrojeniowa



60. w schronach bawiły się dzieci z okolicznych domów, potem wejścia do korytarzy nagle zasypano. Choć obecnie trudno je odnaleźć, znajdują się one w rejonie skrzyżowania ulic 3 Maja i Parkowej, pod parkowymi trawnikami. Kolejny punkt na śląskiej mapie tajemnic to bunkier wybudowany w ostatnich miesiącach wojny pod drewnianym kościółkiem św. Michała Archaniola w Katowicach. Najprawdopodobniej obiekt miał pełnić rolę stanowiska dowodzenia obroną miasta w przypadku, gdyby

Hitler rozkazał bronić Katowic

O istnieniu schronu prawie nikt nie wiedział, a do odkrycia lochów doszło przypadkowo. Podczas remontu świątyni w 1991 roku w skarpie przy ul. Kościuszki ekipa robotników natrafiła na wejście do podziemi. – Znaleźliśmy wywołano sensację – wspomina odkrycie bunkra dr Urszula Zgorzelska, kierownik archiwum Urzędu Miasta oraz miłośniczka historii Śląska – Zaraz potem wśród nie skatalogowanych materiałów w archiwum znaleziono oryginalny plan tych korytarzy. Schron miał imponujące rozmiary, posiadał dwie kondygnacje, trzy wejścia oraz własne ujęcie wody. W bunkrze przeprowadzono badania toksykologiczne, gdyż znaleźli się świadkowie, którzy opisywali, jak po wyzwoleniu Katowic radzieccy żołnierze w pomieszczeniach na dolnym piętrze bunkra rozstrzelali niemieckich jeńców. Człowiek, który w był organistą w kościółku, twierdził, iż w rozległych podziemiach zamordowano

wziętych do niewoli członków lokalnego Volkssturmu. Testy wykazały w korytarzach obecność bakterii i grzybów występujących przy rozkładzie materii organicznej, takiej jak ludzkie zwłoki, ale

tajemnica katowickiego bunkra nie została wyjaśniona

Prace badawcze przerwano zanim udało się dokopać do zawałonej części obiektu. Wejście ponownie zasypano i obecnie w tym miejscu znajdują się betonowe schody prowadzące w kierunku zabytkowej świątyni. Podobno bliźniaczy schron miał znajdować się w miejscu, gdzie obecnie stoi katowicka hala widowiskowo-sportowa, słynny „Spodek”, jednak nawet, jeżeli istniał tam podziemny obiekt, z pewnością nie pozostał po nim już żaden ślad. Wojenne zagadki kryje także las przy ul. Kochłowskiej w południowej części Katowic. W okolicy tej znajdują się obetonowane, podziemne chodniki. Dokładne rozmieszczenie wszystkich korytarzy nie jest znane, prawdopodobnie część z nich została zasypana i pozostaje niedostępna. Kilka lat temu jeden z bunkrów odkryto przypadkowo, gdy na wiosnę z niewielkiego pagórka osunęła się ziemia. Pagórek okazał się być wejściem do jednego z bunkrów. W jego wnętrzu znajdowało się mnóstwo amunicji artyleryjskiej, którą znalazły bawiące się w pobliżu dzieci. Szybkie przybycie saperów zażegnało groźące niebezpieczeństwo. Odkrycie sugeruje, iż wszystkie okoliczne bunkry były składami amunicji. Wielkie ilości pocisków znaleziono na tym terenie w ubiegłym roku podczas budowy śląskiego odcinka autostrady A-4. Pogotowie saperskie z Gliwic musiało interweniować niemalże bez przerwy, ponieważ codziennie robotnicy odnajdywali niebezpieczne pamiątki. Łącznie wydobyto kilkaset pocisków, a przecież prace ziemne obejmowały jedynie niewielki odcinek terenu, gdzie podobno w czasie wojny znajdowały się wielkie magazyny Wehrmachtu. Kto wie, co jeszcze kryje ziemia w pobliskim lesie. Tak, jak wiele wojennych zagadek, również i ta czeka na swoje rozwiązanie.

Tekst i zdjęcia Tomasz Bienek

Widok wjeżdżających do miasta wojskowych samochodów, transporterów opancerzonych i motocykli dla wielu był zaskoczeniem. Na szczęście nie były to działania wojenne, tylko parada uczestników III Międzynarodowego Zlotu Pojazdów Militarnych w Darłowie



„Amerykanie” w Darłowie. Na pierwszym planie karabin M-60

Jak co roku, w ostatni weekend czerwca do Darłowa przyjechali miłośnicy pojazdów militarnych z Polski i zagranicy. Obecni byli też właściciele oryginalnych pojazdów pamiętających II wojnę światową i tych nieco młodszych, które wyjeździły swoje kilometry na poligonach już po wojnie. Zjawili się także eksperci od rekonstrukcji oraz wszyscy, którzy nie mają własnych pojazdów, ale tematykę militarną znają od lat.

Kilku żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej, którzy kiedyś walczyli w dżungli Wietnamu stało obok dwóch niemieckich żołnierzy z dywizji pancerniej „Grossdeutschland”, których czarne uniformy niewtajemniczeni brali za mundury SS. Gdzieś obok przemykał oficer z Armii Czerwonej, a w kolejce po piwo stało dwóch wermachtowców. Turyści traktowali wszystkich jak maskotki, bez przerwy prosząc o pozowanie do fotografii.

– Całe szczęście, że są „Ruscy” i „Amerykańce” – komentował jeden z „Niemców” – bo znowu jakiś żądny sławy pismak wysmażyłby artykuł, że Darłowo to neonazistowski Parteitag, a to jedyna okazja, żeby pokazać się przed znajomymi w mundurze, który zrekonstruowałem. Przecież nie będę w nim chodził po mieście, bo mnie zamkną.

Podobną, niepochlebną opinię o dziennikarzach mieli handlujący militariami, któ-

rych notabene z roku na rok przyjeżdża na zlot coraz więcej. Unikam kamer i aparatów fotograficznych jak ognia, bo po co mi kłopoty – przyznawał jeden z zaprzyjaźnionych sprzedawców – na stoisku mam skrupy granatów, przewiercone lufy karabinowe i kolby, wszystko legalne i nawet policja nie ma żadnych zastrzeżeń, ale dla kogoś, kto widział broń tylko na filmie,

te giwery wyglądają jak prawdziwe

A jak opublikują takie zdjęcie i podpiszą, że sprzedawałem broń, to później będę się musiał napocić, żeby wszystko odkręcić. Rzeczywiście, już kilkakrotnie w mediach posadzano uczestników zlotu o pronazistowskie inklinacje i handel bronią. Wprawdzie większość przyjeżdżających do Darłowa nie przywiązuje do tego wagi, ale dla organizatorów takie relacje są solą w oku.

Trudno później przekonać sponsorów, żeby wspierali kontrowersyjną imprezę. A zlot zyskał już rozgłos oraz pewną renomę i z roku na rok przyciąga coraz większą rzeszę uczestników. A to dlatego, że pojazdy pomimo zabytkowego charakteru, odmiennie niż w muzealnych salach, w Darłowie są w ciągłym ruchu. Dla wielu rajd jeepem willisem, niemieckim transporterem opancerzonym, czy pocziwym T-34 po terenie czołgowiska był niesamowitym przeżyciem. Kolekcjonowanie pojazdów militarnych jest kosztownym i czasochłonnym hobby. Kłopoty są ze wszystkim, od dokumentacji technicznej poczynawszy, poprzez części, na rejestracji w wydziale komunikacji skończywszy. Później też nie jest lekko, wszak stare pojazdy często się psują i jak to ładnie ujął jeden z posiadaczy wilysa czas poświęcony na jazdę takim starociem, jest odwrotnie proporcjonalny do czasu poświęconego na jego naprawy. – Przyjazd do Darłowa nie należał do najtańszych przyznawał innemu, ale to jedyna okazja, żeby pobawić się w gronie takich, jak ja maniaków. Każdy chce się pochwalić tym, co zdołał wyremontować. W gronie fachowców można podyskutować, wymienić doświadczenia, a czasami zdobyć brakujące części. Gościem specjalnym zlotu był Jack Littlefield z Kalifornii,

właściciel 160 czołgów

stanowiących największą prywatną kolekcję na świecie. Amerykanin wprowadzić nie przywiózł żadnego ze swoich eksponatów, tylko album fotograficzny ze zdjęciami, ale obiecał, że w przyszłym roku nadrobi zaległości i w Darłowie będzie jeszcze ciekawiej. Najwięcej zainteresowania wzbudzała „Rosi” z Tomaszowa Mazowieckiego – niemiecki transporter opancerzony, wydobyty kilka lat temu z dna rzeki Pilicy i odrestaurowany przez muzealników. Znamy tematu mieli zastrzeżenia do rekonstrukcji pewnych szczegółów, które ich zdaniem nie były odtworzone dość wiernie, ale należy uczciwie przyznać, że miłośnicy z Tomaszowa wykonali kawał dobrej roboty. Drobiazgowo różnice na pewno nie przeszkadzały też młodej parze, która w otoczeniu mundurów i zabytkowych pojazdów postanowiła wstąpić na nową drogę życia. W sobotnie przedpołudnie, przed ratuszem ceremonii ślubnej dopełnił burmistrz Darłowa, a później nowożeńcy właśnie na pancerzu „Rosi” w towarzystwie kilkudziesięciu pojazdów wrócili na zlot. Wieczorem odbyło się huczne wesele, które mogło skończyć się tragicznie. Najcięższy pojazd – zestaw remontowy na podwoziu czołgu nieoczekiwanie wjechał w ogrodzenie i staranował jeden z weselnych namiotów. Podobno kierował nim ktoś z zaproszonych niemieckich gości, który nie wyrobił zakrętu, a czołg potrafił prowadzić tylko do przodu. Na szczęście duży, wojskowy namiot był jeszcze pusty, a dalszą

szarżę powstrzymał kolega czołgisty

który potrafił zahamować. Strach pomyśleć, co by było, gdyby... Wprawdzie niektórzy z uczestników narzekali, że darłowski zlot się komercjalizuje, że z roku na rok jest coraz drożej i całkowicie zbędne są



Kettenkrad w kamuflażu Deutsches Afrika Korps



Młoda para na pancerzu legendarnej Rosi

takie elementy, jak koncert zespołu „Republika”, ale organizatorzy tłumaczą to chęcią przyciągnięcia jak największej liczby turystów. Marian Laskowski – jeden z inicjatorów zlotu tak to tłumaczył: – Na całym

świecie za uczestnictwo w imprezach takich jak nasza płaci się wpisowe. Nie jesteśmy nastawieni na zysk, ale nie wszyscy zdają sobie sprawę, że zorganizowanie takiej zabawy kosztuje naprawdę niemałe pieniądze. Moim osobistym marzeniem jest doprowadzenie do momentu, w którym właściciele pojazdów militarnych nie tylko nie będą płacić za uczestnictwo w zlocie, ale także zostaną uhonorowani jakimiś drobnymi prezentami. Uważam, że impreza się rozwija. To dopiero trzeci zlot i wszyscy cały czas się czegoś uczymy. Mam nadzieję, że każdy z kolejnych zlotów będzie lepszy od poprzedniego, ale żeby tak było potrzeba uczestników, sponsorów oraz przyjaznego nastawienia wielu osób, które nie pałają miłością do pojazdów militarnych. Dlatego już teraz zapraszam wszystkich na przyszłoroczny zlot. Według szacunkowych danych organizatorów w tym roku w Darłowie było około 700 uczestników. Nie wiadomo, czy za rok będzie ich więcej, bo niektórzy odgrązali się, że będą organizować mniejsze, ale „swoje” zloty. Jeżeli terminy imprez nie będą ze sobą kolidowały, to zapewne konkurencja przyciągnie sporą grupę miłośników militariów. Co nie zmienia faktu, że do Darłowa pewnie też przyjadą, bo który fanatyk odpuściłby okazję szaleństw na największym w Polsce prywatnym czołgowisku?

*Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak*



Goście z Niemiec przyjechali amfibią

Pływanie kajakami górskimi to coś zupełnie innego od tradycyjnego kajakarstwa uprawianego na spokojnych wodach. Miłośnicy tego sportu spotykają się w Szklarskiej Porębie, aby walcząc z własnymi słabościami oraz żywiołem pokonać rzekę Kamienną. Jednak dla wielu największym marzeniem jest spływ Wielkim Kanionem Kolorado, czy dwukrotnie od niego głębszym Kanionem Colca

Męskie zabawy

czyli wszystko o sportach ekstremalnych cz. 2

Zwyczajny człowiek w góry zabiera narty zimą, a namiot latem. Bawią go górskie wędrówki oraz białe szaleństwo, ale co zrobić, gdy to już nie wystarczy? Można oddać się rozkoszom „white water”, tylko wtedy do górskiego ekwipunku należy koniecznie dołączyć kajak górski i kilka innych elementów zazwyczaj niespotykanych w górach, takich jak kamizelka asekuracyjna, czy pianka neoprenowa.

Tak naprawdę nie wiadomo, kto wpadł na pomysł, żeby rwące górskie potoki pokonywać kajakami. Podobno pierwsi byli północnoamerykańscy Indianie, którzy w swoich kanadyjkach nadstawiali karku, mknąc nurtami bystrych rzek. Jednak niewątpliwie zasługi mają także Eskimosi, którzy wprawdzie nie pływali kajakami w górach, ale do perfekcji opanowali morskie fale. To od nich pochodzi sprytna sztuka, w której kajakarz po wywróceniu kajaka do góry dnem, bez wysiadania odwraca go do prawidłowej pozycji. Na cześć odkrywców taką ewolucję określa się mianem „eskimoski”.

Biali ludzie podpatrzyli trochę u Indian

trochę u Eskimosów – wybrali to, co najlepsze i sami zaczęli eksplorować góry w poszukiwaniu trudnych rzek. Tak powsta-

ła dyscyplina, której popularność sukcesywnie wzrasta także w Polsce.

– Uprawiane przez nas kajakarstwo niewiele ma wspólnego z rywalizacją sportową – ocenia Piotr Sikora, szef „Retondo” – szkoły kajakarstwa górskiego i raftingu z Krakowa. Nie należy mylić naszego pływania z kajakami górskimi znanymi z letnich igrzysk olimpijskich, kiedy to zawodnicy pokonują na czas slalomowe bramki. To są zasadniczo dwie różne sprawy. Zazwyczaj sportowcy podnoszą swoje umiejętności i szlifują formę, żeby osiągnąć jak najlepsze wyniki na zawodach, u nas cel jest trochę inny. Walczymy bowiem z żywiołem i własnymi słabościami, osiągając coraz wyższy poziom, żeby pływać na trudniejszych rzekach, ale robimy to dla siebie, a nie dla wyników. Wiadomo, że w każdym facecie drzemie chęć rywalizacji, a

w kajaki górskie najczęściej bawią się mężczyźni

Dlatego też mamy swoje zawody w spływie rzeką Kamienną w Szklarskiej Porębie oraz w rodeo, kiedy możemy porównać swoje umiejętności z kolegami, ale takie współzawodnictwo jest przede wszystkim wspólną okazją do spotkania. Pływania kajakami górskimi w żaden sposób nie można porów-

nać także z kajakarstwem na mazurskich jeziorach, czy nizinnych rzekach. Początkujący, nawet jeżeli dużo pływał zwykłymi kajakami zaczyna na takim samym poziomie, co człowiek, który nie miał kontaktu z wodą. Dla nowicjuszy najlepszy jest Dunajec – rzeka, którą klasyfikuje się na WWI z elementami WWII. Początki są trudne i nie ma mowy, że na tygodniowym kursie ktokolwiek nauczy się pływać w stopniu umożliwiającym podbój trudnych rzek alpejskich. Jednak takie szkolenie pozwala opanować niezbędne podstawy pływania w górach oraz zweryfikować zapal kandydatów na kajakarzy. Większość chwytła bakcyla i w następnym roku jedzie ćwiczyć na trudniejszej od Dunajca rzece Białce, by po kilku sezonach pojechać do rajów kajakarzy, czyli w Alpy. Są jednak tacy, którzy definitywnie stwierdzają, że to nie jest zajęcie dla nich i wracają do roweru górskiego lub paralotni.

Podobno zdarzają się tacy, którzy chcieliby pływać w górach, ale absolutnie nie chcą się zamoczyć. Z takim nastawieniem lepiej wcale nie zaczynać – szkoda czasu i pieniędzy. Nie na darmo na kursach instruktorzy uczą „eskimoski”; wywrotka kajaka jest prędzej czy później nieunikniona i lepiej być na to przygotowanym. O kaja-

Sprzęt i szkolenia

Niewątpliwym plusem skorzystania z usług szkoły kajakarstwa górskiego jest fakt, że pod okiem fachowców można się dużo i stosunkowo szybko nauczyć oraz, co ważne, nie trzeba mieć swojego sprzętu. Tygodniowy kurs dla początkujących na Dunajcu kosztuje około 500 – 550 zł. Do tej kwoty należy doliczyć dalsze 200 zł na noclegi i wyżywienie. Możliwe są także szkolenia indywidualne. Jednak sam na sam instruktora z kursantem jest odpowiednio droższe. Po szkoleniu, gdy już wiadomo, że kajaki to właśnie to, co tygrysy lubią najbardziej trzeba się zabrać za skompletowanie własnego sprzętu. Jakby nie patrzeć najważniejszy jest kajak, bez niego pływać się nie da. Jak zapewnia specjalista, polietylen jest trwałym materiałem i trudno go zniszczyć, dlatego nawet używany nie traci właściwości nautycznych. Ceny są zróżnicowane; używany kajak można kupić za 1500 – 1800 zł. Za nowy, średniej klasy zapłacimy już około 2500 zł. Najprostsze wiosło, ale dobre jakościowo kosztuje 125 zł. Kask, który jest niezbędny, to wydatek rzędu 50 zł. Do tego zestawu koniecznie należy

dorzucić jeszcze kamizelkę ratunkową i specjalny fartuch zakładany na kokpit kajaka, który zapobiega wlewaniu się wody do środka i kosztuje około 200-250 zł. Tak zaopatrzeni możemy wyruszać na podbój górskich rzek. Ponieważ możemy zmarznąć, bo woda, z którą przyjdzie nam obcować ma zaledwie 6 stopni, bardzo przydatna będzie porządna bluza z polaru za 200 zł, na którą warto założyć piankę polietylenową (taki kombinezon dla nurka) kupioną za 300 zł. Buty ze względów bezpieczeństwa powinny być wiązane. Wybór rodzajów i fasonów poszczególnych elementów jest ogromny. Nie na wszystkim warto oszczędzać, bo za trochę większe pieniądze można kupić rzeczy gatunkowo trwalsze i wygodniejsze. Sprzęt używany jest do nabycia w klubach i szkołach kajakarstwa górskiego. W tym roku, w Krakowie otworzono specjalistyczny sklep dla kajakarzy, w którym można kupować nowości. Za granicą najlepsze zaopatrzenie jest w rejonach eksplorowanych przez kajakarzy. Często też poleca się sprzęt czeskiej produkcji – dobry jakościowo i stosunkowo tani.

karstwie górskim mówi się, że to bezpieczne zajęcie o ile przestrzega się zasad bezpieczeństwa. Pływać należy w kajakach wykonanych z wytrzymałego polietylenu, koniecznie z kaskiem na głowie i w kamizelce asekuracyjnej. Wprawdzie pływa się w „jedynkach”, ale niewątpliwie jest to dyscyplina zespołowa i duży nacisk kładzie się na ratownictwo. Każdy musi liczyć się z tym, że może wpaść w odwój – miejsce na rzece, w którym woda wiruje niczym w pralce. Płytki odwój idealnie nadaje się do uprawiania rodeo – coraz modniejszych, ekwilibrystycznych ewolucji wykonywanych kajakiem w płaszczyznach poziomych i pionowych. Zabawa jest przednia i

adrenalina tryska uszami

ale trzeba uważać na głębokie odwoje, które potrafią chwycić kajaka w kleszcze i wciągnąć pod wodę, wtedy pomoc innych może być jedynym ratunkiem.

Dla wszystkich, którzy lubią szaleństwo, ale nie przekraczające pewnych granic, idealnym rozwiązaniem jest rafting, czyli bezpieczny spływ górską rzeką w dużym gumowym pontonie. Do tego niepotrzebne jest doświadczenie i spróbować mogą nawet ci z przysłowiowej łapanki, pod warunkiem, że za sterem znajduje się doświadczony raftingowiec. Na zachodzie, w trosce o popularyzację kajakarstwa górskiego i przyciągnięcie jak największej rzeszy początkujących, pływa się także w nadmuchiwanym kajaku dwuosobowym, które są stabilniejsze i pozwalają pokonywać trudności, które w polietylenowej „jedynce” pozostają w sferze marzeń. W Polsce można zacząć przygodę z „białą wodą” w klubach studenckich lub szkole kajakarstwa górskiego i raftingu. Ilość rzek, na których można szaleć jest ograniczona, ale wystarczy na początek. Później, chcąc wypłynąć na bystrzejsze wody trzeba poszukać ich na Słowacji, w Słowenii i oczywiście w Alpach. Najwyższe góry Europy słyną z wielu trudnych rzek, które są w stanie zadowolić najwybredniejszych kajakarzy. Zapewne dlatego pływacy z krajów niemieckojęzycznych znani są z dobrych wyników i wysokiej kultu-

Klasyfikacja rzek górskich

Podobnie jak we wspinaczce skalkowej, w kajakarstwie górskim istnieje międzynarodowa skala trudności ww (skrót od white water). Dzięki klasyfikacji rzek umieszczanej w przewodnikach dla kajakarzy, można łatwo zaplanować trasę spływu. Wiadomo, czego na danych odcinkach rzeki można się spodziewać i czy nie przekracza to możliwości kajaka. Sześciostopniowa skala ww zaczyna się od 1 oznaczającej najłatwiejszy spławny odcinek górskich rzek, a kończy na 6, która gwarantuje skrajnie trudne warunki możliwe do pokonania tylko przez wytrawnych kajakarzy. Dla większości szczytem możliwości jest ww 5 – odcinek dostępny dla kajakarzy o perfekcyjnej technice i bardzo dużym doświadczeniu.

ry pływania. Polacy nie mają w Tatrach, czy Karkonoszach zbyt dużego pola do popisu, ale nie mają też powodów do kompleksów. W tym roku minęła dwudziesta rocznica przepłynięcia Rio Colca, peruwiańskiej rzeki płynącej w najgłębszym kanionie świata.

Wydarzenie było bezprecedensowe

i zdobywcy Colci, kajakarze z krakowskiego Akademickiego Klubu Kajakowego „Bystrze”, zostali wyróżnieni stroną tytułową w Księdze Rekordów Guinnessa z 1984 r. Dla wielu zaczynających przygodę z „białą wodą” przepłynięcie Wielkiego Kanionu Ko-



Kajakarskie rodeo to popis wymagający doświadczenia i perfekcyjnej techniki

lorado, czy dwukrotnie od niego głębszego Kanionu Colca jest marzeniem życia. Jednak żeby zacząć poważnie myśleć o takich ekstremach, trzeba najpierw kilka dobrych sezonów spędzić na łatwiejszych rzekach, bo bez doświadczenia w tej dyscyplinie nie zwojuje się nic.

*Tekst: Kmicic
Zdjęcia: Karina
i Piotr Sikora*

Rafting to, wbrew pozorom, bezpieczny spływ górską rzeką



Kolekcjoner broni pozostanie na wolności Mauser nieszkodliwy społecznie

Wyrokiem uniewinniającym zakończył się proces przeciwko Euzebiuszowi Marciniakowi, muzealnikowi amatorowi i kolekcjonerowi broni. O tej bulwersującej sprawie pisaliśmy w „Pożegnaniu z bronią” w majowym numerze Odkrywcy.

Dla tych Czytelników, którzy nie mieli okazji zapoznać się ze sprawą – krótkie przypomnienie. Pan Marciniak – były trener kolarski (trenował m.in. Czesława Langa) zgromadził niemal 70 sztuk broni. W jego kolekcji znajdowały się egzemplarze z XVIII i XIX w., a także Manlichery, Steny i Mausery, MG 42 i MP 40. Wszystkie miały przewiercone zamki i certyfikat rusznikarza, który był również powoływany jako biegły sądowy. Kolekcjoner z Bytowa próbował zainteresować pomysłem stworzenia muzeum broni ministerstwo kultury i dziedzictwa narodowego. Wysłał nawet stosowne pismo, ale po kilku miesiącach zamiast zgody zjawił się konserwator zabytków ze Słupska, aby ocenić zbiory. W dwa miesiące po jego wizycie zjawiła się policja. Broń zarekwirowano, a ponieważ ekspertyza wykazała, że trzy egzemplarze są zdadne do użytku – prokuratura oskarżyła Euzebiusza Marciniaka o nielegalne posiadanie broni i skierowała sprawę

do sądu. Niemal rok muzealnik amator czekał na rozpoczęcie procesu. W tym czasie wystąpił o uzyskanie pozwolenia na broń, dołączył do akt również opinię z klubu, w którym pracował wiele lat oraz opinię z Urzędu Miejskiego. Jednocześnie z poręczeniem w jego sprawie wystąpił senator Jerzy Borzowski. Wreszcie 26 czerwca doszło do pierwszej rozprawy. Po zapoznaniu się z dowodami i dołączonymi opiniami prokurator wystąpił z wnioskiem o uniewinnienie oskarżonego z powodu niskiej szkodliwości społecznej czynu. Sąd przychylił się do tego wniosku, odstępując od ściągnięcia kosztów sądowych wobec oskarżonego oraz nakazując policji przywieźć na własny koszt zarekwirowaną kolekcję, oczywiście po uzyskaniu stosownego pozwolenia przez kolekcjonera. Wiele wskazuje na to, że taki dokument Euzebiusz Marciniak powinien otrzymać jeszcze w sierpniu. Budujący jest fakt, że wszystko zakończyło się na pierwszej rozprawie, a sąd podjął po ludzku rozsądną decyzję. Jest to tym ważniejsze, że sprawa jest precedensowa i daje nadzieję innym kolekcjonerom militariów czekającym na wyrok.



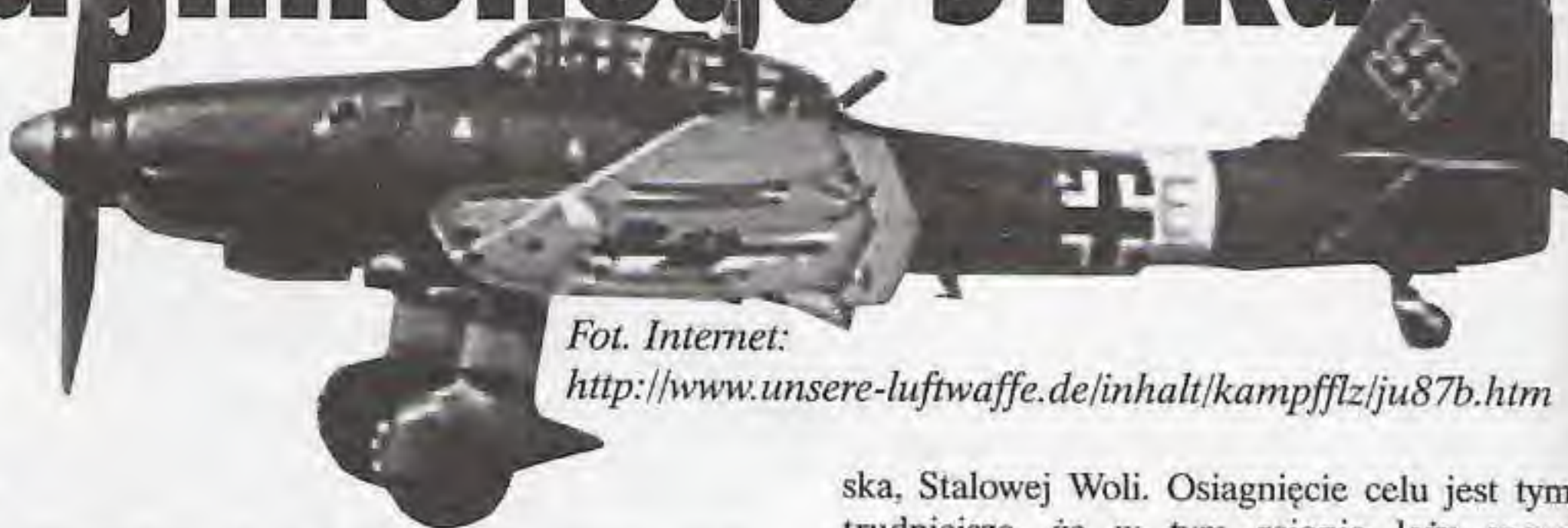
Euzebiusz Marciniak rok czekał na rozpoczęcie procesu

Fil
Fot. archiwum

Poszukiwacz z Niemiec zamierza odnaleźć samolot, którym w ostatnią misję wyruszył jego dziadek

Śladem zaginionego Stukas

Christian Möller, niemiecki poszukiwacz od kilkunastu miesięcy szuka śladów własnej rodziny, a konkretnie dziadka, pilota szturmowego Stukas, który zaginął w 1944 r. nad Podkarpaciem. 23 VII 1944 r. Junkers Ju-87 Stukas wersji D-5, z oznaczeniem na kadłubie D3+IL pochodzący z jednostki lotniczej 3./NSGr.2 z załogą: pilot oberfeldfelbel Karl Möller i strzelec unteroffizier Rolf Jaenisch wystartował z lotniska Turbia z zadaniem rozpoznania, bądź zaatakowania nacierających wojsk sowieckich atakujących tereny nadszańskie. Samolot nigdy do polowej bazy w Turbii nie powrócił. Ostatni raz widziany był przez załogę innego Stukas około godziny 12.00 w rejonie miejscowości Majdan Sieniawski (w promieniu do 5 km w każdą stronę od tej wioski), gdzie obydwa Stukas dostały się w gęsty ogień sowieckiej artylerii przeciwlotniczej. Zaginiony Stukas leciał wówczas w kierunku zachodnim, wracając po wykonaniu zadania, bądź uciekając. Miejsce, gdzie był ostatnio widziany zaznaczone zostało na niemieckich dokumentach jako „kwadrat mapy 21 68”. Wg ustaleń Christiana Möllera chodzi tu o rejon miejscowości Krasne – Brzyska Wola – Różaniec. Poszukiwań zaginionych lotników podjął się po latach Przemysław Chorążykiewicz z Przemyśla, który ustalił, że poległych o tych personaliach nie ma na przemyskim



Fot. Internet:

<http://www.unsere-luftwaffe.de/inhalt/kampfflz/ju87b.htm>

cmentarzu, tj. nie figurują w gronie osób, których personalia zostały tam podane. Kwadrat mapy 21 68 (mapy 1:300 000 używanej przez Wehrmacht) to określenie dość precyzyjne, ale jest to miejsce gdzie Stukas widziano po raz ostatni, a niekoniecznie miejsce, gdzie spadł na ziemię. Przemyski badacz w czasie terenowej penetracji latem 2000 r., mimo że rozmawiał z wieloma osobami z okolic wymienionych miejscowości, nie natrafił na świadków mogących potwierdzić to wydarzenie. Przypadkowo natomiast natrafił na miejsce przymusowego lądowania niemieckiego myśliwca typu Bf-109 „G” jak „Gustaw” pomiędzy wioskami Plusy i Przyimiarki, na północ od Tarnobrodu. Nasuwa się wniosek, że Stukas w kwadracie 21 68 został jedynie uszkodzony, a pilot usiłował dolecieć do polowej bazy w Turbii, gdzie jak wiadomo nie dotarł. A teren do przeszukania to okolice Nowej Sarzyny, Rudnika nad Sanem, Ni-

ska, Stalowej Woli. Osiągnięcie celu jest tym trudniejsze, że w tym rejonie leży sporo innych zestrzelonych samolotów, w tym, co najmniej 5 Stukasów (dwa zlokalizowane są w rejonie Kadłubiska i Pary). Niemiecka Luftwaffe w tym rejonie działała bardzo aktywnie, co potwierdzają świadkowie, więc jej straty były z pewnością spore. Być może ktoś z Państwa będzie mógł pomóc w tych poszukiwaniach. Stukas miał bardzo charakterystyczną garbatą sylwetkę, pochodził z jednostki nocnej, więc miał bardzo nietypowy układ barwy – szare cętki na górnej powierzchni i czarny spód. Ponadto leciał sam, a nie w grupie. W poszukiwaniu tego właśnie Stukas zaangażowanych jest sporo osób z okolic Oleszyc, Przemyśla, Warszawy i Sanoka. Jeśli ktoś z Państwa ma informacje o katastrofie pojedynczego, niemieckiego samolotu w dziwnym malowaniu, około południa 23 VII 1944 r. w rejonie ujścia Sanu do Wisły, to bardzo proszę o kontakt.

Andrzej Olejko

Kolekcjoner z Olsztyna posiada bezcenny zbiór średniowiecznej broni

Kolekcja jakiej świat nie widział

Ogromny zbiór średniowiecznych militariów, gromadzony przez lata przez Zbigniewa Andrzeja Rosińskiego z Olsztyna okazał się autentyczny. Pół roku temu efektowna akcja Urzędu Ochrony Państwa, poszukującego nielegalnych składów broni palnej narobiła niemało zamieszania wokół kolekcji. Wszystkie 80 egzemplarzy zarekwirowano, gdyż pojawiły się domysły, że miecze, topory, napierśniki i groty od strzał pochodzą z zaginionej kolekcji muzeum królewskiego, albo że są wynikiem okradania kurhanów na Białorusi.

Kolekcjonerem zajęła się prokuratura, gdyż istniało podejrzenie, że wszystkie przedmioty zostały uzyskane w wyniku przestępstwa. Gdy już opadły emocje, pojawiła się kolejna hipoteza dowodząca, że wszystkie egzemplarze broni stanowią kopię autentyków, gdyż niemożliwe, ażeby prywatny kolekcjoner zgromadził tyle unikatowych przedmiotów. Jednak specjalistyczne badania przeprowadzone przez biegłych z Akademii Technicznej w Warszawie potwierdziły autentyczność zbioru, który stanowi unikat na skalę światową. W kolekcji Zbigniewa Andrzeja Rosińskiego znajduje się miecz wikiński, miecze normandzkie z okresu od X do XII w., hełmy pochodzące najprawdopodobniej z terenu dawnego Bizancjum, normandzkie napierśniki, topory oraz groty do strzał. Jest to tak niezwykła kolekcja, że nie sposób oszacować jej wartość. Kolekcjoner próbował zainteresować swoim zbiorem kilka muzeów, ale żadne nie chciało kupić broni, gdyż istniało podejrzenie, że nie są to autentyki. Trzeba było dopiero interwencji służb specjalnych, aby świat dowiedział się o olsztyńskim kolekcjonerze. Gdy ekspertyza z warszawskiej akademii wpłynęła do prokuratury, policja rozpoczęła dochodzenie, mające ustalić, czy kolekcja nie pochodzi z kradzieży. Gdy do prokuratury wpłynęła negatywna opinia w tej sprawie, prokurator Piotr Jasiński umorzył sprawę. Kolekcjoner otrzyma swój zbiór, ale z zastrzeżeniem, że opiekę nad nim przejmie państwo. Niestety, w ministerstwie kultury i dziedzictwa narodowego nie udało nam się uzyskać odpowiedzi na pytanie, co to właściwie oznacza. I nie wiadomo, czy znajdują się pieniądze na wyeksponowanie tego średniowiecznego skarbu w warunkach, na jakie zasługuje.

Fil

Grunwald 2001 Bitwa ze znanym końcem

Trzy tysiące rycerzy, rzemieślników, dam i giermków stawilo się 14 lipca pod Grunwaldem, aby uczestniczyć w inscenizacji bitwy, jaka rozegrała się tutaj w 1410 roku. Od czterech lat na polach pod Grunwaldem spotykają się polscy rycerze, aby pod wodzą Jacka Szymańskiego, etatowego już króla Jagiełły i Jarosława Struczyńskiego, Ulryka von Jungingena stoczyć bitwę, w której ostateczną klęskę poniosły krzyżackie wojska.

W tym roku bitwę obejrzało ponad 70 tysięcy widzów. Inscenizację wymyślił kilka lat temu Jacek Szymański z Bractwa Miecza i Kuszy z Warszawy, któremu, jako pomysłodawcy przypadła rola Władysława Jagiełły. Pomysł szybko chwycił, jednak przygotowanie imprezy zabiera dokładnie cały rok. Tuż po zakończonej bitwie, rozpoczynają się prace nad następną. Z roku na rok, Grunwald jest coraz ciekawszy, bardziej profesjonalny i przyciąga



większą liczbę bractw, także z zagranicy. W tym roku zjawili się m.in. rycerze z Włoch, Czech, Belgii i Białorusi. Wszyscy po bitwie zgodnie raczyli się miodami i usiłowali przewidzieć, kto zwycięży w przyszłym roku. W tym, jak zwykle zwyciężyły wojska polskie. Niezwykle widowisko szykuje się na rok 2010, w okolicach rocznicy bitwy pod Grunwaldem.

Szept
fot. Błażej Piłatowski



Gdańscy mincerze bili falsyfikaty na zlecenie Krzyżaków

Średniowieczni fałszerze

Skarb znaleziony w trakcie prac prowadzonych w gdańskiej hali targowej okazał się falsyfikatem. Po dokładnej ekspertyzie ustalono, że cztery monety pochodzące z początków XV w. nie były



wybite w srebrze, ale w posrebrzanej miedzi. Sześć i cztery brakteaty zostały wybite za krzyżackiego panowania w mieście. Fałszerz działał prawdopodobnie

na zlecenie Zakonu, gdyż w tamtych czasach Państwo Krzyżackie było w nieustannej gotowości bojowej, rosła inflacja i brakowało pieniędzy w skarbcu. Dlatego stosowano metodę tzw. psucia pieniędzy polegającą właśnie na wypuszczaniu w obieg fałszywych monet. I tylko fałszerze na usługach Zakonu mogli się czuć bezkarnie, pozostałym groziły surowe kary, z wlewaniem roztopionego ołowiu w gardło włącznie.

Fil

W rejonie dzisiejszego Golczewa wybudowano pięć betonowych, podziemnych, pomieszczeń, każde o wymiarach około 22×150 m, dwa schrony wymiarach 22×22 m oraz 12 baraków. Obiekt zalano wodą

Fabryka splamiona krwią

– Panie, tu pod każdym drzewem leżał trup. Pod każdym! Nie, ja tego nie pamiętam. Jestem za młoda. To znam z opowieści starszych, którzy zamieszkali tu w 1945 roku – opowiadała nam mieszkanka pobliskiej wioski. Nie ukrywam, że nie za bardzo jej wierzyliśmy, gdy oprowadzała nas po lesie, w którym zresztą szybko straciła orientację. Prawie pięć lat później na ekranie redakcyjnego komputera znalazłem informację Polskiej Agencji Prasowej, że wchodząca w skład Instytutu Pamięci Narodowej Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu wszczęła śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych przez Niemców w... tym właśnie lesie.

Zagubiona gdzieś wśród lasów Pomorza Zachodniego, zapomniana przez Boga i ludzi wioska. Nawet jej nazwę trudno ustalić. Na wojskowych mapach topograficznych w tym miejscu pochyłym drukiem wypisano Golczewo-Gaj. Krój czcionki wskazuje, że jest to osiedle formalnie wchodzące w skład leżącego kilka kilometrów na południe miasta Golczewo - dawnego grodu słowiańskiego i średniowiecznej siedziby biskupów z niedalekiego Kamienia Pomorskiego. Natomiast znajdujący się w pobliżu przystanek autobusowy PKS ozdobiony jest nazwą Sosnowice.

I taką właśnie nazwę nosi ta wioska, do której trafiliśmy przypadkiem w końcu czerwca 1996 roku, gdy w okolicach Nowogardu

szukaliśmy fabryki podziemnej

która pod koniec drugiej wojny światowej, według wojskowego „Wykazu

obiektów opuszczonych i niewłaściwie zagospodarowanych” z 1953 roku, miała pracować na rzecz hitlerowskiego przemysłu atomowego. Kierując się wskazówkami z owego „Wykazu” postanowiliśmy, niejako przy okazji, zobaczyć podziemne obiekty koło Golczewa. I tak dotarliśmy do Sosnowic.

Wkrótce potem na łamach „Głosu Wielkopolskiego” pisałem:

„Mimo, że jest wczesne popołudnie, w tej wiosce trudno znaleźć kogoś trzeźwego. W tanim winie i niemal jawnie pędzonym tu bimbrze topi się troski i kłopoty. Piją nawet dzieci. Bezrobocie, bieda i brak jakichkolwiek perspektyw na polepszenie tragicznego losu wyznaczają wegetację tych ludzi, którzy stracili już wszelką nadzieję”.

Z trudem udało się wówczas znaleźć kogoś, kto odważyłby się nam służyć za przewodnika. Zaryzykowała Wacława Za-

jączkowska, w której opowiadaniach ciągle wracał wątek martyrologiczny, a nas interesowały wojenne tajemnice tego pełnego zagadek miejsca. Zdaniem pani Zajączkowskiej, niemal pod każdym drzewem

leżały tu zwłoki jeńców i więźniów

którzy budowali ten obiekt i w nim pracowali.

To, rzecz jasna, była przenośnia. I chociaż widzieliśmy zaniedbany cmentarz wojenny i pomnik upamiętniający ofiary hitleryzmu, opowieści pani Zajączkowskiej uznałem za przesadzone. Dzisiaj wiem, że się myliłem. Las w rejonie Golczewa-Gaju i Sosnowic kryje nie tylko wojenne tajemnice, ale również obficie zroszony jest krwią.

Od niedawna postępowanie w tej właśnie sprawie prowadzi Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Poznaniu.

Początek lat czterdziestych, okolice Gółzow na Pomorzu Zachodnim. Właśnie wtedy w rejonie dzisiejszego Golczewa wybudowano to, co w 1953 roku wojskowi opisali we wspomnianym „Wykazie”:

„Pięć pomieszczeń podziemnych, betonowych, każde z nich o wymiarach około 22×150 m. Dwa schrony podziemne, betonowe, o wymiarach 22×22 m. 12 baraków podpiwniczonych murowanych. Obiekt zalany wodą”. I ani słowa o przeznaczeniu.

Owe baraki – co wiadomo dzisiaj stanowiły obóz pracy przymusowej, działający tu w latach 1941-1945. Tuż za linią nieczynnej obecnie kolejki wąskotorowej budowali go jeńcy radzieccy. Ich też zapędzono do budowy owych obiektów podziemnych w pobliskim lesie oraz betonowych dróg, które w dobrym stanie przetrwały do dziś.

Wielu Rosjan zmarło na tyfus

a ich zwłoki wrzucano do wykopanych koło torów kolejki dołów. Pozostałych Rosjan zapewne zamordowano. W każdym razie nieliczni polscy świadkowie, którzy później opowiadali o swoim pobycie w obozie sosnowickim, mówili, że gdy oni tam trafili, Rosjan już nie było. Byli natomiast Francuzi, a później także żołnierze włoscy.

W murowanych barakach na ciasnych pryzkach spali robotnicy przymusowi. Oddzielnie mężczyźni, oddzielnie kobiety.



Dawna brama wiodąca do obozu pracy przymusowej w Sosnowicach koło Golczewa

Pracowali oni w pobliskich zakładach renowacji amunicji, zapewne artyleryjskiej, bo sporo tego typu skorodowanych pocisków leżało jeszcze w lesie w połowie 1996 roku.

Towarzyszący mi wówczas eksplorator Paweł Piątkiewicz włączył wykrywacz metali, by po kilku sekundach schylić się i saperką odgarnąć kilkucentymetrową warstwę ziemi. Ostrożnie wyciągnął przeżarty przez korozję pocisk artyleryjski. Kilkakrotnie powtarzał tę operację i za każdym razem, po zaledwie kilku sekundach poszukiwań, znajdował tkwiące płytko w ziemi pociski.

– To rzeczywiście niebezpieczne przedmioty – mówił. – We wszystkich pociskach tkwią zapalniki...

– Chyba dwa lata temu

wojsko szukało tu niewypałów

Z tego, co wiem, sporo tego świństwa znaleźli – dodała pani Zajączkowska.

Przypomnę, że powyższy opis dotyczy naszego tu pobytu w czerwcu 1996 roku. Również później saperzy przeczesywali sosnowicki las, ale nadal – jak mnie niedawno zapewniono – znajduje się tu w ziemi pociski artyleryjskie.

Wtedy Piątkiewicz znalazł też pocisk nieznanego mu typu. Po oczyszczeniu go z piasku i rdzy, u jego stożka pojawiła się skala podobna do tych, które widać choćby na suwmiarkach. A obok zobaczyliśmy wybite cyfry składające się na rok 1944.

„Cały obóz otoczony był drutem kolczastym i pilnowany przez uzbrojonych wartowników. W lesie także były baraki, ale drewniane. Spełniały rolę magazynów amunicji. Tam pracowaliśmy. Załadowywaliśmy i rozładowywaliśmy ciężką amunicję” – wspominała Lidia Opiła z Golczewa, która w latach 1943-1945 przebywała w obozie sosnowickim. Inni świadkowie mówili o samochodach wiozących zamordowanych i o tym, że Niemcy zmuszali ich do mycia platform ciężarówek z ludzkiej krwi.

Większość Polaków, którzy podczas wojny przebywali w obozie sosnowickim, pochodzili z Wileńszczyzny. Zanim przewieziono ich w okolice Gülzow

przeżyli piekło obozu

przejęciowego w Schneidemühl, czyli w obecnej Pile.

Dzieje obozu sosnowickiego zamyka dzień 5 marca 1945 roku.

„Tego dnia – jak wspominała Lidia Opiła – otrzymaliśmy przepustki, a Niemcy nic nie mówili, co dalej mamy

robić, tylko słyszeć było zbliżający się front”.

Następnego dnia Niemcy wysadzili w powietrze niektóre obiekty podgolczewskiej fabryki zbrojeniowej. Ogromne podziemia są od wojny zalane. Ponoć – twierdzą niektórzy – kryją one jakieś skarby, ale to plotka. Prawdą zaś jest, że w Sosnowicach hitlerowcy urządzili miejsce nie tylko pracy przymusowej, ale i kaźni. W monografii „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945” o obozie sosnowickim nie ma jednak ani słowa...

Zabudowania dawnego obozu wykorzystywały po wojnie szczecińskie zakłady mięsne, które w Sosnowicach miały tuczarnię trzody chlewnej. Po 1989 roku gospodarowała tu jakaś prywatna firma, która jednak zbankrutowała. Tak przynajmniej było w 1996 roku. Obecnie – jak udało mi się ustalić – w obiektach byłego obozu znajduje się niewielka hodowla kombinatu rolnego w Baszewicach.

Natomiast pobliskie obiekty zakładów renowacyjnych amunicji przetrwały w szczątkowej formie. Oprócz betonowych dróg pozostały resztki żelbetowych fundamentów, studzienki

schody wiodące donikąd

– To wszystko, co było tu zbudowane z cegieł, ludzie już dawno rozebrali, a cegły sprzedali. Z czegoś musimy przecież żyć – mówiła w 1996 roku Wacława Zajączkowska.

W tych okolicach w czasach drugiej wojny światowej znajdowały się też inne niemieckie zakłady zbrojeniowe, częściowo zlokalizowane pod ziemią. O niektórych z nich przetrwały do czasów współczesnych szczątkowe informacje. Wiadomo na przykład, że wielka fabryka podziemna, dzisiaj również zalana, znajdowała się koło miejscowości Speck (to obecnie Mosty koło Goleniowa). W rejonie wiosek Orle i Pogorzelić w pobliżu miasta Łobez Niemcy ponoć zlokalizowali podziemne zakłady samolotowe. Ponoć, bo jeśli rzeczywiście tam były to pozostały po nich niktne ślady.

Dość wyraźne ślady pozostały jeszcze po tym, co Niemcy zlokalizowali koło Golczewa. Jeszcze, ponieważ przyroda rychło je zatrze, a z ludzkiej pamięci już prawie to wymazano.

*Tekst i zdjęcia
Leszek Adamczewski*



Paweł Piątkiewicz ogląda jeden z pocisków artyleryjskich znalezionych w sosnowickim lesie



Co było tu zbudowane z cegieł, już dawno rozebrano. Pozostały tylko żelbetowe fundamenty

Przepalone ludzkie kości i naczynia sprzed 2.5 tysiąca lat, to fragmenty cmentarzyska kultury łużyckiej, które znaleziono niedaleko Głowna w województwie łódzkim

BISKUPIN POD ŁÓDZIĄ

Do Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi zadzwonił rolnik z miejscowości Boczek Domaradzkie. Pan Graszka poinformował pracownika muzeum, że za swoim obejściem, w trakcie prac gospodarczych natrafił na stary grób i „chyba jakieś skarby”.

– Zawsze takie telefony traktujemy bardzo poważnie – mówi Tomasz Matysiak kustosz muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi. – Pojechaliśmy tam i na miejscu zobaczyliśmy fragmenty grobu, przepalone kości ludzkie, całe i częściowo zniszczone naczynia zwane przystawkami, które prawdopodobnie świadczą o tradycji oddania zmarłemu ostatniego napoju lub pożywienia.

Pracownicy łódzkiego muzeum nie kryją zadowolenia z niecodziennego znaleziska

– To dla nas wielki skarb – przyznaje Matysiak – znaleźliśmy grób kultury łużyckiej sprzed dwóch i pół tysiąca lat, czyli około 500 lat p.n.e.

Ile grobowców ma cmentarzysko i jaki teren obejmuje będzie można stwierdzić dopiero podczas badań wykopaliskowych, które być może rozpoczną się we wrześniu.

Łódzkich archeologów czeka wyzwanie, bowiem groby zalegają głęboko, ponad 70 cm od powierzchni ziemi. Zdaniem kustosa to wielka zagadka, bo groby te zwykle znajdują się tuż pod powierzchnią. W tym wypadku prawdopodobnie nastąpiły procesy nawiewania piasku i właśnie to uchroniło cmentarzysko przed zniszczeniem ceramiki przez orzący pług.

Kultura łużycka określana jest w polskiej literaturze archeologicznej jako kultura obejmująca



fot. Mariusz Pietrasik

muja w epoce brązu i wczesnej epoce żelaza (w latach około 1400-300 p.n.e.) ziemie polskie leżące w dorzeczu Odry, Wisły, w kierunku wschodnim wykraczające poza granice Polski na zachodnią część Wołynia, ponadto północno-wschodnią i północną część Czech, Saksonię z Łużycami, wschodnią część Turynii i znaczną część Brandenburgii.

Odkryte na Łużycach popielnicowe cmentarzyska dały nazwę owej kulturze. Dziś wiadomo, że jej ludność prowadziła osiadły tryb życia. Głównie zajmowała się uprawą ziemi, hodowlą zwierząt, w mniejszym stopniu łowiectwem i rybołóstwem.

Przez cały okres kultury łużyckiej panował ustrój rodowy, co oznaczało, że najmniejszą komórką społeczną była mała rodzina złożona z kilku osób zamieszkująca jeden budynek. Na całym terytorium kultury łużyckiej stosowano obrządek ciałopalny, a we wszystkich grupach powszechne były płaskie groby, najczęściej popielnicowe, zakładane na dużych, długotrwałe użytkowanych cmentarzyskach.

W okresie 550-400 p.n.e. z grup lokalnych kultury łużyckiej wykształciła się na Pomorzu kultura wschodniopomorska. Do całkowitego upadku kultury łużyckiej doszło w III w. p.n.e. – Znalezione szczątki ludzkie i naczynia są dla nas bardzo ważne – mówi Matysiak – mogą świadczyć one o przełomie między Łużycami a następującą później kulturą pomorską. Być może ten jeden grób łączy te dwie kultury.

Do łódzkiego muzeum „odkrywcy skarbow” dzwonią kilka razy dziennie.

Jednak nie każde odkrycie okazuje się prawdziwe. Zdarzają się fragmenty armat z I wojny światowej, które okazują się... atrapą wykorzystaną kiedyś w amatorskim filmie studentów z łódzkiej szkoły filmowej.

Gospodarz z Boczków Domaradzkich bez chwili wahania zadzwonił do specjalistów z muzeum. – Sam dokładnie nie wiedziałem co znalazłem – przyznaje pan Graszka – ale były to jakieś kości, a ja przecież też kiedyś umrę i nie chciałbym być wyrzucony gdzieś pod stodołę.

Takie zachowanie, a tym bardziej poszanowanie zabytków nie zdarza się na co dzień. Pracownicy Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi spotykają się z bardzo różnymi sytuacjami jak np. ta, gdy polonistka ucząca w jednym z łódzkich liceum bez zastanowienia wyrzuciła na śmietnik znalezione w ogródku szczątki ludzkie i przedmioty użytkowe dużej wartości zabytkowej.

Joanna Pietrzak

Agencja Mienia Wojskowego chce sprzedać kilkadziesiąt sztuk T-55 prywatnym kolekcjonerom

Czołgi na sprzedaż

Warszawska Agencja Mienia Wojskowego postanowiła sprzedać około 500 czołgów T-55. Do polskiej armii trafiły w 1958 roku, ale od kilku lat są zastępowane przez nowocześniejsze polskie PT-91. T-55 jest uzbrojony w 100 mm armatę, ale oczywiście egzemplarze wystawione na sprzedaż zostaną pozbawione cech używalności.

Rozpisano już przetarg na zbycie połowy czołgów. Oferta skierowana jest przede wszystkim do firm prywatnych, handlujących złomem, które muszą wyrazić chęć zakupu co najmniej 10 pojazdów. Wcześniej czołgi próbowano sprzedać na rynkach Trzeciego Świata, ale tam niepodzielnie panują konkurencyjne czołgi,

głównie z Białorusi i Ukrainy. Agencja nie wyklucza również sprzedaży osobom prywatnym. Ponieważ w kraju jest spora grupa militarystów kolekcjonujących ciężki sprzęt bojowy, będą oni mogli kupić w sumie nawet kilkadziesiąt sztuk. Cena nie została jednak jeszcze ustalona. Jeden z T-55 został zlicytowany w styczniu na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy za 51 tys. 200 zł.

Fil

Fot. www.bharat-rasak.com



W Krasiejowie wykopano czaszkę metopozaura sprzed 220 mln lat

Dinozaury z opolszczyzny



Kolejne dinozaury wykopano w Krasiejowie. Podczas tegorocznych prac odkryto już czaszkę i kilka kręgów metopozaura. A przecież sezon wykopaliskowy trwa i być może zostaną odkryte kolejne szczątki triasowych gadów i płazów. Do tej pory, po ośmiu latach prac w Krasiejowie ustalono, że żyły tam dinozaury roślinożerne sprzed 220 milionów lat. Udało się odnaleźć kości wodnych fitozaurów i kolczastych, lądowych aetozaurów oraz tarczogłowych metopozaurów właśnie. Krasiejowskie „zagłębienie” jest tym bardziej interesujące, że jest jedynym miejscem w południowo – wschodniej Europie, gdzie odnaleziono szczątki tak dawno żyjących zwierząt. Wprawdzie w Niemczech są stanowiska z podobnymi znaleziskami, ale tamtejsze dinozaury są znacznie młodsze.

Fil

BUNKRY NA PIASKU

czyli
HEL JAKIEGO NIE ZNACIE



Takie armaty miały bronić portu na Helu przed kulami torpedowymi. 27 BAS kal. 100 mm.

Na konturowej mapie Polski Półwysep Helski wygląda jak niepozorny cypel doklejony przez kogoś dla żartu. Trudno uwierzyć, że we wrześniu 1939 r. wojska niemieckie pomimo swojej potęgi nie zdołały w całości zdobyć tego skrawka lądu i zajęły go dopiero po kapitulacji Polski 2 października 1939 r. Do dzisiaj Hel wymienia się jednym tchem obok Westerplatte, czy Warszawy – miejsc wsławionych bohaterską obroną.

Co roku w czasie wakacji na półwysep przybywają rzesze wczasowiczów spragnionych morskich i słonecznych kąpiei. Hel, Jurata, Jastarnia, Chałupy, czy Władysławowo są znanymi miejscowościami wypoczynkowymi, ale nie wszyscy wiedzą, że oprócz wspaniałych, piaszczystych plaż i podobno najcieplejszej wody w Bałtyku, półwysep może ofiarować atrakcje, których próżno by szukać w innych nadmorskich miejscowościach. Na Hel można się dostać w najróżniejszy sposób: samochodem, pociągiem z Gdyni, statkiem z Gdańska, lub samolotem, który może wylądować na polowym lądowisku w Jastarni. Jeszcze w latach osiemdziesiątych duże połacie półwyspu były pilnie strzeżone przez wojsko, lasy patrolowali łowcy szpiegów, a na drodze ustawiono specjalne wartownie do kontrolowania podróży i wystawiania przepustek. Był też odcinek między dwoma posterunkami, który trzeba było pokonać samochodem w wyznaczonym limicie czasu. Nikt nie miał prawa zatrzymać się po drodze i można się tylko domyślać, na jakie kłopoty narażał się kierowca, który musiał na przykład zmienić koło. Obecnie strażników zastąpili zwykli ludzie, którzy wartownie zamienili na mieszkania.

Nie ma też większych problemów z poruszaniem się po półwyspie. Oczywiście nie dotyczy to terenów wojskowych, których powierzchnia w ostatnich latach wydatnie się zmniejszyła. Na końcu półwyspu, w miejscowości Hel, oprócz plaży i licznych knajpek warto odwiedzić fokarium z fokami pływającymi w basenie, muzeum rybołówstwa, niewielki skansen militarny koło klubu garnizonowego oraz wdrapać się na szczyt latarni morskiej. We wrześniu 1939 r. obrońcy Helu

wysadzili starą latarnię

na której fundamentach, w 1942 r. Niemcy wzniesli drugą – stojącą do dziś. Latarnia ma 41,7 m wysokości, a swoje ostrzegawcze światło wysyła na odległość 17 mil morskich. Za latarnią rozciąga się stare ogrodzenie, w którym zdarzają się dziury i jedną z nich warto przejść na drugą stronę. Bodajże pierwszym, który dostrzegł walory obronne Helu był polski król Władysław IV, który wkrótce po wstąpieniu na tron rozpoczął formowanie floty wojennej oraz budowę portu. Bezpieczeństwo portowi i statkom miały zapewnić fortyfikacje Mierzei Helskiej. Wzniesiono wtedy dwa szanice, których lokalizację zna-

my dzięki mapie Getkanta, współpracującego przy budowie umocnień z królewskim fortyfikatorem Janem Pleitnerem. Na miejscu Chałup znanych dziś z plaży nudystów ulokowano szaniec Władysławowo. Zachwycał się nim Janusz Radziwiłł, gdy w 1635 r. towarzyszył królowi przy wizytacji umocnień. Obiekt miał około 300 m długości i 150 m szerokości, sześć bastionów – cztery narożne i dwa znajdujące się po środku dłuższych kurtyn, a dostępu broniła fosa wypełniona wodą morską. Drugi szaniec, Kazimierzowo wznosił się 6 km dalej w kierunku wschodnim, był mniejszy, ale podobnie jak Władysławowo wyposażono go w działa spiżowe i żelazne. Po roku 1648 zmieniła się sytuacja polityczna, w skarbcu brakowało pieniędzy, a szanice niszczały opuszczone, aż wszelki ślad po nich zagał. Przyszłość miała pokazać, że podobny los spotkał jeszcze wiele instalacji wojskowych na półwyspie. Wróćmy jednak do naszej dziury w płocie za latarnią morską – wystarczy pójść prosto ścieżką i na dość szerokim leśnym dukcie skręcić w prawo, żeby trafić na pierwsze obiekty najslawniejszych polskich fortyfikacji na Helu – baterii artylerii nadbrzeżnej im. Heliodora Laskowskiego. Jej historia rozpoczyna się w 1933 r., kiedy szwedzka firma Bofors zaoferowała Kierownictwu Marynarki Wojennej

dostarczenie baterii artylerii nadbrzeżnej

Początkowo szwedzka propozycja nie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem,

bowiem w okresie międzywojennym Polacy korzystali z usług francuskiej firmy Schneider. Wielkim orędownikiem zmiany producenta był szef Służby Uzbrojenia Kierownictwa Marynarki Wojennej, komandor podporucznik Heliodor Laskowski. 20 grudnia 1933 r. podpisano kontrakt z firmą Bofors, który przewidywał dostarczenie 4 armat kalibru 152,4 mm oraz 800 sztuk amunicji. Wiosną 1935 r. rozpoczęto montaż oraz próby poligonowe, w trakcie których armaty wykazały się doskonałą celnością. Gdy w czerwcu i wrześniu armaty przyplęły do Gdyni okazało się, że Marynarka Wojenna nie dysponuje odpowiednim sprzętem umożliwiającym dostarczenie dział na stanowiska. Do stacji kolejowej na Helu przewieziono je pociągiem, ale do rozładunku musiano sprowadzić z Radomia specjalny dźwig. Później, wykorzystując sanie i podkładane pod nie rolki przeciągnięto armaty na stanowiska, które ulokowano na cyplu półwyspu na skraju lasu. Całkowity montaż działa trwał około miesiąca, podczas, gdy na poligonie Boforsa jedynie dwa dni. Armaty Boforsa wz. 30 strzelały pociskami ważącymi 46 kg każdy, na odległość 22 400 m – pancerne oraz 26 600 m – odłamkowe. Cała bateria nazwana po śmierci Heliodora Laskowskiego jego imieniem była najcięższą baterią artylerii nadbrzeżnej na polskim wybrzeżu. Sprawdziła się we wrześniu 1939 r., tocząc boje z niemieckimi okrętami, a jedynym mankamentem była skąpa ilość amunicji. Pomimo trafień, między innymi pociskiem kalibru 280 mm wystrzelonym z pancernika „Schleswig-Holstein”, wszystkie działa pozostały sprawne, aż do kapitulacji, kiedy to obrońcy Helu zdemontowali zamki i zniszczyli przyrządy celownicze. W następnych latach Niemcy przywrócili sprawność baterii, którą wykorzystywali do obrony półwyspu w 1945 r. Po wojnie pojawiły się w dowództwie Marynarki Wojennej projekty ponownego jej wykorzystania oraz instalacji drugiej, bliźniaczej, częściowo spleaconej baterii. Ostatecznie w 1948 r. rozkazem Ministra Obrony Narodowej rozpoczął się demontaż dział, a dotychczasowe stanowiska zostały wykorzystane pod nowe, radzieckie armaty kalibru 130 mm tworzące 13 Baterię Artylerii Stałej. Już po wojnie, w 1947 r. jedno ze stanowisk wraz z działem zostało wysadzone w powietrze, a winą obarczono anonimowego... poszukiwacza skarbów, który przypadkiem miał zaproszyć ogień w komorach amunicyjnych pełnych materiałów wybuchowych. Jedną z armat Boforsa z baterii Laskowskiego przekazano do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, drugą do Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. Fragment lufy trzeciej armaty można oglądać w hel skim skansenie militarnym, resztę prawdopodobnie przekazano na złom. Obecnie można zwiedzać stanowiska baterii wraz z opuszczonymi armatami 13 BAS.

Stanowiska baterii Heliodora Laskowskiego

są objęte ochroną konserwatorską, ale zaświadcza o tym tylko tabliczka przytwierdzona do drzewa. Brakuje nawet najprost-



Przeszło 40 m w pionie, czyli latarnia morska na Helu

szych oznaczeń umożliwiających odnalezienie obiektów w terenie. Na helskim cyplu znaleźć można także na północ od baterii Laskowskiego przedwojenną 21 baterię artylerii przeciwlotniczej kal. 75 mm, a w kierunku zachodnim 27 baterię artylerii stałej kal. 100 mm. 27 BAS została zbudowana w latach 1955-1957 do zwalczania kutrów torpedowych i wzmocnienia obrony przeciwlotniczej portu. Stanowiska ogniowe zostały połączone cienkościnną poterną, czyli podziemnym łącznikiem. Tak duża liczba instalacji fortecznych na stosunkowo niewielkim terenie stwarza wyjątkową okazję do utworzenia skansenu, który byłby niewątpliwą atrakcją turystyczną. A czasu jest coraz mniej, ponieważ obiekty są dewastowane, a ich elementy metalowe

obcinane palnikami przez „złomiarzy”.

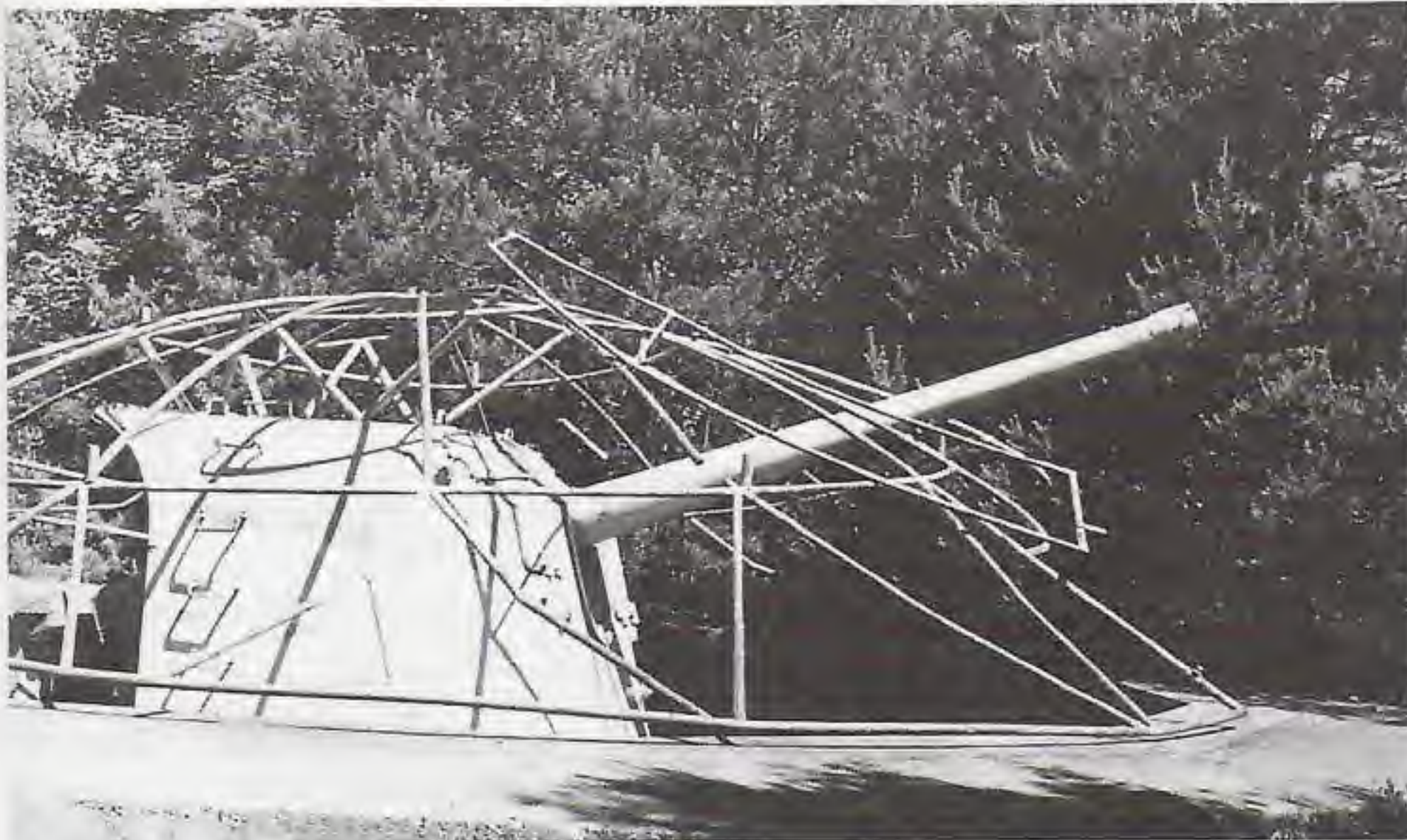
Podobno wojsko wpadło na pomysł, żeby w części obiektów stworzyć bazę noclegową dla turystów, ale trudno powiedzieć ile w tych pogłoskach jest prawdy. Po fortecznych wrażeniach warto wrócić do miasteczka i ochłonać z emocji. Myliłby się jednak każdy, kto by przypuszczał, że to już koniec umocnień. Idąc drogą wiodącą do Juraty i dalej do Władysławowa, za ostatnimi zabudowaniami należy skręcić w lewo i idąc wzdłuż torów dojść do dalmierza artyleryjskiego największej baterii helskiej kalibru... 406 mm. W odróżnieniu od pozostałych fortyfikacji nie jest to dzieło polskie, lecz niemieckie. Zbudowane w latach 1939-1940 miało za zadanie wzmocnić obronę baz Kriegsmarine w Gdańsku i Gdyni. Oprócz dalmierza wzniesiono trzy potężne działobitnie oraz naziemne schrony. Na cześć pancernika biorącego udział w kampanii wrześniowej bateria otrzymała nazwę „Schleswig-Holstein”. Ogrom działobitni przytłacza. Stanowiska przygotowane były dla potężnych armat „Adolf” wyprodukowanych jeszcze przed wojną w firmie Kruppa. Działo ważyło 323 000 kg i strzelało pociskami o wadze 600, 920 i 1030 kg. Zasięg był zróżnicowany i wynosił w zależności od pocisku od 36 400 do 56 000 m.

Niestety, nie wiadomo, czy którykolwiek z „Adolfów” wystrzelił na Helu, bowiem armaty zostały zdemontowane na początku lat czterdziestych i przeniesione na Wał Atlantyczny do miejscowości Sangatte w północnej Francji. Na Helu pozostały jedynie instalacje fortyfikacyjne, które można zwiedzać z wyłączeniem magazynów amunicyjnych wykorzystywanych nadal przez wojsko polskie. Niestety, tutaj także widać szkodliwą działalność łowców złomu, którzy palnikami wycinają niektóre elementy wyposażenia schronów, w których jeszcze kilka lat temu można było znaleźć różne ciekawe przedmioty, ot chociażby emaliowaną tabliczkę z napisem: „ENTLIFTUNGEN”, czyli nawiew. Socjalne

wyposażenie schronów

to osobny rozdział, szczególnie jeśli porówna się niemiecką baterię z polskimi, powojennymi instalacjami. Różnica jest ogromna, niestety na korzyść niemieckich fortyfikatorów. Jeśli już jesteśmy przy znaleziskach, to Hel jest Mekką dla poszukiwaczy. Wprawdzie pokutuje przesąd, że cały półwysep został dokładnie przeszukany, ale tak mówią ludzie, którzy po jednodniowym wypadzie nie znaleźli nic konkretnego. Wbrew pozorom teren półwyspu jest rozległy, pokryty sosnowymi lasami rosnącymi na piaszczystej glebie ze słabym poszyciem. Takie miejsca idealnie nadawały się do zakopywania przeróżnych przedmiotów, a okazje ku temu były przynajmniej dwie. Pierwsza, jak łatwo się domyślić, to okres bezpośrednio poprzedzający kapitulację w 1939 r. kiedy to polska załoga ukrywała przede wszystkim uzbrojenie, żeby nie mogło służyć zwycięzcom. Druga, to schyłek wojny w 1945 r., kiedy to na Helu, Kępie Oksywskiej, Mierzei Wiślanej i Żuławach Wiślanych znajdowały się resztki 14 niemieckich dywizji – według danych szacunkowych od 150 000 do 180 000 żołnierzy oraz uciekająca przed Rosjanami ludność cywilna z Prus Wschodnich. Można się tylko domys-

Mierzeja Helska określana także mianem półwyspu, zaczyna się w północnej części Pobrzeża Kaszubskiego i rozciąga od Kępy Swarzewskiej na południowy-wschód, w stronę środkowej części Zatoki Gdańskiej. Jej długość od Władysławowa do Helu wynosi 34 km. Półwysep w najwęższym miejscu pomiędzy Kuźnicą, a Jastarnią ma tylko 170 m szerokości, a w najszerszym, w rejonie Helu-2900 m. Od południa mierzeję oblewają wody Zatoki Puckiej, od wschodu Zatoki Gdańskiej, a od północy Morza Bałtyckiego. Na mapach pochodzących z XVII i XVIII w. rejon dzisiejszego półwyspu przedstawiony jest jako 6 wysepek oddzielonych od siebie wąskimi przesmykami. Prawdopodobnie przesmyki miały charakter okresowy i powstawały w wyniku silnych sztormów.



Armata kal. 130 mm z 13 Baterii Artylerii Stałej umieszczona na dawnym stanowisku armaty z Baterii H. Laskowskiego

lać ile przedmiotów porzucono, gdy w momencie kapitulacji okazywały się zbędne, lub celowo ukryto z nadzieją, że kiedyś nadarzy się okazja ich odzyskania. Nie sposób sprawdzić wszystkich miejsc, tym bardziej, że są odcinki lasu dosłownie naszpikowane odłamkami. Trafić też można na niechlujne śmietniska z powojennej epoki, gdy na Helu niepodzielnie panowało wojsko polskie. Poszukiwania są żmudne do tego stopnia, że trafiają się miejsca, gdzie poszukiwacze nie dokończyli roboty, bo nie chciało im się kopać. Przedmioty zlokalizowano, ale kiedy po odkopaniu trzydziestu centymetrów piachu nic nie znaleziono, to porzucano „skarby”, szukając płytszych źródeł. Dziwne to tym bardziej, że głębiej mogą tkwić przedmioty celowo ukryte, czyli przynajmniej teoretycznie cenniejsze. Inna sprawa, że niektórzy z poszukiwaczy nie zawsze wiedzą, co znaleźli i już wykopane przedmioty porzucają. Dzięki temu można znaleźć chociażby wspaniale zachowany, ocynkowany termos na zupeł z 1936 r. przystosowany do noszenia przez żołnierza na plecach. Niektóre znaleziska są prawdziwymi perełkami i ozdobą niejednej kolekcji niekoniecznie prywatnej. Nie tak dawno, bo w 1997 r. odnaleziono dwie niemieckie „Enigmy” – słynne maszyny szyfrujące. Pierwsza została ukryta celowo, drugą wysadzono. Jedną ze znalezionych maszyn została odkupiona przez Muzeum Tradycji Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Podobno kilka lat temu po osunięciu się jednej z wydm przypadkowo odkryto duży skład niemieckich min szklanych, ale nie wiadomo, co się z nimi stało. Wędrując po półwyspie warto zaopatrzyć się w wykrywacz i saperkę i poszukać chociażby rekreacyjnie. W lasach zazwyczaj jest pusto, ale może się zdarzyć, że poszukiwacz stanie oko w oko z leśniczym, albo strażą leśną, a wtedy trzeba się będzie nieźle nagimnastykować, żeby wybrnąć z opresji. Prawdę mówiąc trudno dziwić się leśnikom, że każdego poszukiwacza traktują jak szkodnika. Wędrując przez sosnowe lasy można połamać nogi na setkach niezasypanych dołów.

Wszędzie walają się metalowe śmieci wydobyte z ziemi. Wygląda to beznadziejnie i psuje robotę innym. To przykre, ale półwysp jest jednym z ostatnich miejsc, o których można twierdzić, że poszukiwacze nie niszczą, tylko ratują od zagłady. Hel to przede wszystkim fortyfikacje i militaria. Jeżeli czas pozwoli, warto odnaleźć w terenie kolejną baterię artylerii stałej kalibru 152 mm. Jest to powojenna polska bateria opuszczona podobnie, jak inne BAS-y, ale jeszcze nie rozgrabiona. Gdyby nie dość duży bałagan panujący w obiektach można by pomyśleć, że bateria jest sprawna. W zbiornikach znajduje się jeszcze olej, w pomieszczeniach socjalnych dla załogi obejrzeć można przytwierdzone do ścian metalowe prycze, a w magazynie amunicyjnym



Podstawa do działa kalibru 406 mm

stojaki na pociski

przypominające wyglądem plaster miodu. Ciekawy mechanizm funkcjonował przy podawaniu pocisku do działobitni w celu załadowania i oddania strzału. Był to rodzaj niewielkiej grodzi, która odcinała dostęp do magazynu na wypadek przypadkowej eksplozji. Inna sprawa, że warto pokusić się o porównanie z baterią niemiecką kal. 406 mm. Niestety, mało tu powodów do dumy. Nie wiadomo, kto wpadł na genialny pomysł, żeby pod ziemią montować drewniane drzwi i futryny zamiast metalowych, efekt działania wilgoci widać już w dwadzieścia kilka lat po opuszczeniu obiektów. Innym kuriozum są drzwi... drewniane – pancerne, wykonane z naprawdę grubego drewna zaopatrzone w potężne zasuwki, takie jak zwyczajowo stosuje się w drzwiach pancernych. Dla oszczędności nie założono miedzianych przewodów tylko aluminiowe. Zastrzeżenia może też budzić kształt strzelnicy ulokowanej przy drodze wiodącej do obiektów. Nie skorzystano z niemieckich, ani z przedwojennych polskich wzorców, a nie trzeba było szukać daleko. Żeby dotrzeć do linii obronnych ośrodka oporu Jastarnia najlepiej skorzystać z torów kolejowych. Z przystanku Jurata-Wczaszy należy powędrować w kierunku Władysławowa, by po kilkunastu minutach marszu dotrzeć do największego z czterech schronów bojowych. Linia fortyfikacji w rejonie Jastarni została zbudowana już w 1939 r., a prace prowadzono niemal do samego wybuchu wojny. Jej zadaniem była obrona Helu przed atakiem od strony lądu oraz możliwością desantu. Schrony były najnowocześniejszymi obiektami tego typu w Polsce. Z wzorcowo rozplanowanym sposobem ochrony wejścia osłanianego dwiema strzelnicami

oraz z kopułami pancernymi na cekaemy. Dwa z nich miały być także wyposażone w działka przeciwpancerne kal. 37 mm umieszczone w kopułach pancernych oraz cekaemy najnowszej konstrukcji. Wprawdzie nie zdążono wdrożyć tego uzbrojenia, ale warto zwrócić uwagę, że Niemcy, którzy dla wielu

uchodzą za mistrzów fortyfikacji

stałej, działka przeciwpancerne przystosowane do umieszczania w kopułach mieli tylko w prototypach. Polskie fortyfikacje zdały egzamin w obronie Helu. Tej linii obronnej Niemcy nie zdołali sforsować. W

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Na całym Półwyspie Helskim nie brakuje hotelików, ośrodków wczasowych i kwater prywatnych. Jednak w sezonie letnim znalezienie noclegu może okazać się problemem, dlatego warto wcześniej skontaktować się z punktem informacji turystycznej na Helu; tel.: (01033) 58 675 10 10.

Wstęp do fokarium kosztuje 1 zł.

Muzeum Rybołówstwa znajduje się przy Bulwarze Nadmorskim i można je zwiedzać codziennie, w godzinach od 10 do 18. Ceny biletów: normalny 4 zł, ulgowy 2 zł. Wstęp na wieżę widokową kosztuje 1, 50 zł.

Na latarnię morską można się dostać codziennie w godzinach od 10 do 14 i od 15 do 19. Wstęp: 2 zł – bilet normalny, 1 zł ulgowy.

celu zniszczenia schronów bojowych ściągnęli baterię artylerii kolejowej „Gneisnau” kal. 150 mm oraz pociąg pancerny. Jednak do tego szturmu już nie doszło – wcześniej podpisano akt kapitulacji. Wszystkie cztery schrony miały swoje nazwy własne: „Sokół” – znajduje się 10 m od brzegu zatoki, „Sabała” – największy, będący schronem dowódcy ośrodka oporu ulokowano 30 m za linią kolejową, 200 m dalej, na skraju wydmy znajduje się „Saragossa”. Ostatni, skrajny schron „Sęp” jest przypuszczalnie jednym z najbardziej malowniczych schronów bojowych w Polsce, bo znajduje się na samej plaży, 50 m od brzegu morza i tyleż od „Saragossy”. W słoneczne, letnie dni warto przysiąść na kopule „Sępa” i poprzyglądać się morskim falom lub opalającym się dziewczynom. Mógłby ktoś powiedzieć, że na Helu nie ma nic ciekawego oprócz fortyfikacji i miejsc do wędrówek z wykrywaczem. To nieprawda. Są wspaniałe plaże, dziewczyny, wydmy i... wraki, którymi dno szczególnie w rejonie cypla jest usłane. Wprawdzie nie każdy może je zobaczyć, ale warto pamiętać, wędrując plażą, że tuż obok spoczywa ORP „Gryf”, ORP „Wi-cher”, „Abeille”, słynny U-boot, którego „Odkrywca” zamierza podnieść i kilka innych mniej znanych.

*Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak*

OGŁOSZENIA DROBNE

MILITARIA

Helmy wzór 40/50 – stan idealny, nowe – 15 zł/szt., helmofony czołgowe, telefony polowe, łącznice, maski p. gazowe, pasy skórzane, łopatki, torby polowe, bagnety, opatrunki i inne militaria od 5 zł. Wrocław tel. 0 603-765-505

Odzież wojsk „US ARMY” – spodnie „WOODLAND” rozmiary od S do L od 50 zł, spodnie „PUSTYNNNA BURZA” rozmiar S, bluzy „WOODLAND”, „PUSTYNNNA BURZA” od 35 zł, – każda ilość, ekwipunek wojskowy „US ARMY” i inne militaria. Wrocław tel. 0 603-765-505

Sprzedam stare żelazka, świeczniki, młynki itp. oraz militaria dla początkujących zbieraczy. Dołącz znaczek. T.Z. Wietrzno 94, 38-451 Równe

Repliki pistoletów „DEKO” – Colt M 1911, Parabellum P08, Walther P38, Beretta M92, PM.INGRAM M 11 (mechanicznie sprawne) – nie wymagające pozwoleń – 450 zł/szt. Wrocław, tel. 0 603-765-505

PAINTBALL – karabinek „SPYDER ELITE”, butla, zasobnik, MASKA „SCOTT – HOT SHOT” – stan idealny. Cena 1000 zł. Pistolety „SPLATMASTER”, gaz + 10 kulek, stan idealny – 140 zł/szt. Wrocław 0 603-765-505

Pilnie poszukuję niemieckich szelek szturmowych i niemieckiego helmu z oryginalną farbą i fasunkiem M35, M40 lub M42 z insygniami piechoty. Handlarze – nie dzwonić! Grodków, tel. 0 604-712-860

SPRZĘT

Kupię stare szyldy emaliowane niemieckie do 1945 roku, bagnety do KBKAK, helmy z Wojska Polskiego, kaski ORMO, ZOMO, tarcze MILICJA i inne. Wrocław 0 603-765-505

Profesjonalny Polski Wykrywacz Nowej Generacji, ten sprzęt czeka na Ciebie. Nowy, gwarancja pełen serwis szkolenie. Dodatkowe informacje pełna oferta 0 606-559-276 Jacek.

Sprzedam wykrywacz metali Armand z dyskryminacją. Tel. 0 503-550-725

Wiertnica ręczna cztero-czołowa, długość całkowita 4 metry. Wiertło od 19 do 25 mm. W komplecie korba cena 80 zł. Gdańsk 0 602 720 398

Sprzedam magnes i lampę ultrafioletową do poszukiwań, cena 50 i 100 zł. Tel. (042) 642-64-46 Łódź

RÓŻNE

Czasopisma, filmy video oraz książki o tematyce eksploracyjnej – skarby, fortyfikacje, podziemne fabryki. Mapy topograficzne pokrywające całą Polskę. Wykaz po otrzymaniu zaadresowanej koperty z naklejonym znaczkiem. „Czasopisma” ul. Kościuszki 39/7, 50-011 Wrocław

Kupię całe skarby monet i inne stare znaleziska. Tel. 0 608 189 170

Kupon na BEZPŁATNE OGŁOSZENIE

Aby zamieścić w „Odkrywcy” bezpłatne ogłoszenie, wystarczy wypełnić kupon, wyciąć go i przesłać pod adresem redakcji:

„Odkrywca”, ul. Turniejowa 21/1,
53-014 Wrocław.

Uwaga: honorowane będą wyłącznie oryginalne kupony zawierające maksymalnie do piętnastu słów (wliczając adres)

WYKRYWACZE METALI typu Pulse Induction



ZASIĘGI: 2-3m CENY OD: 750-950 zł

SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE + ZDJĘCIA:

**Zapart Przemysław ul. Topolowa 5
28-300 Jędrzejów**

tel. (041) 3863186 tel. kom. 0608015644



III Mistrzostwa Świata w Poławianiu Bursztynu – JANTAR 2001

Mistrzostwa Świata w Poławianiu Bursztynu nawiązują do tradycji, która przed wiekami łączyła tereny współczesnej Polski z Europą (starożytny szlak bursztynowy łączący południową i północną Europę) oraz do tych naturalnych źródeł bursztynu, które praktycznie tylko w Polsce można eksploatować (markowy, europejski produkt turystyczny). Słońce, plaże, morskie fale przyciągają turystów na wybrzeże. Możliwość uczestniczenia w Mistrzostwach Świata nawiązujących formą i techniką do starożytnych tradycji może spowodować, że potencjalny turysta z licznych ofert wybierze naszą, polską. *Jest to bowiem jedyna tego typu impreza na świecie.*



Trofea dla najlepszych.

I Mistrzostwa odbyły się w Jantarze w 1999 roku. Do zawodów przystąpiło blisko 100 osób z Polski i Europy. Między uczestników rozlosowywano 5-metrowej szerokości poletka (stanowiska) wchodzące w morze, na których za pomocą „koszorków” (czerpaków) poszukiwali bursztynu. Zwycięzca, Ireneusz Świerczyński z Sopotu zebrał 600 gramów „złota Bałtyku”. Najlepsza z pań, Maria Jakubczak z Warszawy zajęła III miejsce. Najbardziej „egzotycznym” zawodnikiem był Stephen Ekong z Nigerii. Największy wyłowiony okaz ważył 22 gramy.

Rywalizowali prezydenci miast, prezesi, samorządowcy, przedstawiciele mediów. Runda VIP-ów nie wyłoniła wprawdzie mistrza świata, ale była bardzo widowiskowa. Mistrzostwom towarzyszyło wiele innych atrakcji. Przez plażę w Jantarze podczas mistrzostw przewinęło się co najmniej kilka tysięcy osób. Niektórzy przyjechali specjalnie na tę imprezę. Licznie reprezentowane były media, wśród nich co najmniej siedem stacji telewizyjnych, rozgłośnie radiowe, prasa ogólnopolska i specjalistyczna, a także kilkadziesiąt czasopism lokalnych.

I Mistrzostwa Świata w Poławianiu Bursztynu zostały uznane za najlepszy produkt turystyczny 1999 roku, a jego organizatorzy otrzymali „Złotą Bramę Gdańską” – I Nagrodę Wojewody Pomorskiego i Marszałka Województwa Pomorskiego.

Wyróżnienie to sprawiło, że podjęto organizację **II Mistrzostw Świata w Poławianiu Bursztynu**. W rywalizacji o tytuł Mistrza Świata w Poławianiu Bursztynu wzięło udział już 120 osób.

Impreza ściągnęła do Jantara wiele osób, które przybyły specjalnie po to, aby wziąć udział w zawodach. Uczestnicy przyjechali z różnych stron Polski, Europy i świata. Największe zainteresowanie wzbudzał Shida Hideo z Tokio, który mimo „słusznego wieku”, zajął 22 miejsce.

Mistrzostwa stały się pretekstem do przeprowadzenia wprost na estradzie zmontowanej na plaży wielu imprez towarzyszących. Atrakcję stanowiły też konkursy, w których nagrody ufundowali liczni sponsorzy.

W tym roku również podjęto się organizacji **III Mistrzostw Świata w Poławianiu Bursztynu**. Tegoroczna edycja odbędzie się w dniach 25-26 sierpnia w Jantarze. Imprezie patronują m.in.: Marszałek Województwa Pomorskiego, Starostwo Powiatowe Nowy Dwór Gdański, Stowarzyszenie Euroregion Bałtyk, Związek Miast i Gmin Morskich, Baltic Sea Tourism Commission, Stowarzyszenie Bursztynników w Polsce, Stowarzyszenie Bursztynowe Wybrzeże, Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Gdańsku, Fundacja Agencji Rozwoju Regionalnego.

Mistrzostwa w Poławianiu Bursztynu nie są klasyczną dyscypliną sportową, a raczej rekreacyjną zabawą. Tytuły mistrza świata mają zwrócić uwagę mediów, opinii publicznej oraz decydentów, że dysponujemy bogactwem o znaczeniu globalnym i przy właściwym jego wykorzystaniu możemy skutecznie wypromować nasze morskie wybrzeże. O to w istocie chodzi inicjatorom i organizatorom mistrzostw. W realizację imprezy zaangażowanych jest wiele pomorskich instytucji i firm, przy jej przygotowaniu pracuje kilkadziesiąt osób. Kilka tysięcy osób przez dwa dni i całą noc bawią się na plaży w Jantarze. Mistrzostwom towarzyszą wystawy, sympozja i inne działania promujące nasze wartości.



Runda finałowa Mistrzostw.

**Organizator: Gminny Ośrodek Kultury, Sportu, Turystyki i Rekreacji,
82-103 Stegna, ul. Gdańska 60, tel./fax 0-55 247 82 92**

Sierpi

- | | |
|---------------|---|
| 8.08 | AUGUSTOWSKIE NOCE I DNI
Augustów, amfiteatr, plaża miejska, Aula ZSB-E;
organizator: Augustowskie Placówki Kultury,
ul. 3 Maja 60, 16-300 Augustów |
| 8.08 | FESTIWAL MUZYKI CELTYCKIEJ
Raczk, pałac; organizator: Urząd Gminy w Raczkach, ul. Kościuszki 14, 16-420 Raczk |
| 8.08 | DNI MIĘDZYGÓRZA
IX Ogólnopolski Bieg Śnieżnicki
Mistrzostwa Polski Juniorów w Biegach Górskich
informacja: Urząd Miasta i Gminy, 57-500 Bystrzyca Kłodzka, ul. Sienkiewicza 6 |
| 8.08 | MIĘDZYNARODOWY KONKURS KRZYKU
Gołdap, Rynek; organizator: Gołdapska Rada Sportu
Plac Zwycięstwa 14, 19-500 Gołdap |
| 8.08 | FESTYN I DOŻYNKI OSIEDLA JELCZ
Jelcz – Łaskowice, park osiedlowy, ul. Ogrodowa;
organizator: Rada Osiedla Jelcz |
| 8.08 | BIESIADA RYCERSKA
Zamek w Gniewie, spotkanie z rycerzami, dworem i służbą przy wspólnej biesiadzie; organizator:
Zamek w Gniewie sp. z o.o. |
| 10.08 – 12.08 | I MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL SZTUKI KULINARNEJ I ZWYCZAJÓW PRZYSTOLNYCH „OKOWITA 2001”
Suwałki; organizator: Regionalny Ośrodek Kultury i Sztuki, ul. Noniewiczza 71, 16-400 Suwałki |
| 10.08 – 12.08 | TURNIEJ RYCERSKI O PIERŚCIEŃ KSIĘŻNEJ ANNY
Zamek Liw k. Węgrowa; organizator:
Bractwo Rycerskie Ziemi Mazowieckiej i Podlaskiej |
| 11.08 – 12.08 | V TURNIEJ RYCERSKI W LUBLINIE
blonia zamkowe; organizator
Chorągiew Rycerska Ziemi Lubelskiej |
| 11.08 – 12.08 | TURNIEJ DRWALI
Złoty Potok, blonia nad Amerykanem; organizator
Urząd Gminy Janów, Nadleśnictwo Złoty Potok,
ul. Częstochowska 1, 42-253 Janów |
| 11.08 – 12.08 | II MISTRZOSTWA POLSKI FORMACJI KAWALERYJSKICH
Osów pod Warszawą; organizator: Andrzej Michna i Andrzej Kostrzewa ul. Warszawska 13, Słupno |
| 15.08 – 19.08 | ZŁOT KLUBU „SENSACJI XX WIEKU”
Gierłoż - Wilczy Szaniec k. Kętrzyna
organizator: Leszek Kusiak, 34-400 Nowy Targ,
ul. Kolejowa 86 |
| 17.08 – 19.08 | III TURNIEJ O ZŁOTĄ JASZCZURKĘ
Chełm k. Świecia; organizator: Chełmiński Zastęp Rycerski i Muzeum Chełmińskie |



17.08 – 19.08 PIKNIK HISTORYCZNY WARMATOWICE

2001 – Rajd Rowerowy

Myślibórz – Park Krajobrazowy;
organizator Koło PTTK nr 300 „WRZOS”
w Brzegu Dolnym, informacje:
Rynek Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

17.08 – 19.08 V ŚLĄSKI TURNIEJ RYCERSKI W ZŁOTORYI

Zalew Złotoryjski; organizator: Chorągiew Księstwa
Legnicko – Brzeskiego, Urząd Miejski

18.08 – 19.08 II TURNIEJ RYCERSKI

Zamek Książ; organizator:
Drużyna Rycerska Zamku Książ

18.08 – 19.08 GIEŁDA NA RYNKU W KRAKOWIE

Rynek Główny; organizator:
Krakowski Klub Kolekcjonerów

18.08 – 19.08 DYMARKI ŚWIĘTOKRZYSKIE

Nowa Słupia, Muzeum Starożytnego Hutnictwa
Świętokrzyskiego, impreza o charakterze
dydaktyczno poznawczym połączona
z festynem archeologicznym; organizatorzy:
Urząd Gminy, Starostwo Powiatowe,

18.08 TRAGARIA 2001

II Mistrzostwa Tragarzy Lektyk, Karpacz; organizator:
Urząd Miasta Karpacza. W programie: wybory miss
pasażerek, wyścig o Wielką Wstęgę Włosów z Brody
Ducha Gór. Zapisy od godziny 12 www.karpacz.pl

19.08 – 26.08 SPŁYW „ZAKOŃCZENIE LATA”

Kopanica – Jezioro Chłop, turystyka kajakowa;
organizator: Wrocławski Klub Wodniaków
„Wiadrus”, informacje: Rynek Ratusz 11/12,
50-106 Wrocław

24.08 – 25.08 WROCŁAWSKA GIEŁDA STAROCI

Wrocław, ul. Gnieźnińska 6/8; organizator:
Spółdzielnia Pracy Transportowców

24.08 – 25.08 FESTIWAL RYCERSKI

Sopot; organizator: Ciwun Smorgońskiej Akademii

24.08 – 26.08 I JARMARK KSIĄŻAŃSKI

CZYLI SIEDEM CUDÓW KSIĄŻA

Zamek Książ k. Wałbrzycha, cepeliada,
targi średniowieczne,
tajemnice Gór Sowich,
kiermasz różności; organizator:
Grupa Kras sp. z o.o., ul. Piastów Śląskich 1,
Wałbrzych, www.kras.com.pl
Szczegóły patrz reklama

25.08 – 26.08 FESTIWAL KULTURY ŚREDNIOWIECZNEJ

Zamek Gniew, dodatkowa atrakcja – nocny spektakl
„Światło i dźwięk”; organizator:
Zamek w Gniewie sp. z o.o.

**25.08 – 26.08 III MISTRZOSTWA ŚWIATA
W POŁAWIANIU BURSZTYNU**

Jantar k. Stegny, rekreacyjna zabawa na plaży,
jedyna tego typu impreza na świecie; organizator:
GOKSTIR w Stegny, Urząd Gminy Stegna,
Starostwo Powiatowe w Nowym Dworze Gdańskim
Szczegóły patrz reklama

**25.08 – 26.08 VII TURNIEJ RYCERSKI NA ZAMKU KRÓLEWSKIM
W ŁĘCZICY**

organizator: Urząd Miasta, Muzeum w Łęczycy

30.08 – 31.08 PODLASKA BIESIADA MIODOWA

Białystok dworek i park w Kurowie; organizator:
Narwiński Park Narodowy, Woj. Związek Pszczelarzy
w Białymstoku, Starostwo Powiatowe,
ul. Borsucza 2, 15-565 Białystok

1.09. – 2.09 VIII TURNIEJ RYCERSKI NA ZAMKU W SZTUMIE

Wzgórze zamkowe; organizator:
Bractwo Rycerzy Ziemi Sztumskiej

**4.09 III OGÓLNOPOLSKI RAJD SZLAKIEM 1 KORPUSU
PANCERNEGO WOJSKA POLSKIEGO**

Chełm, impreza plenerowa; organizator: Polskie
Towarzystwo Turystyczno – Krajoznawcze Od-
dział Wojskowy, ul. Lubelska 139d/15,
22-100 Chełm

**5.09 MIĘDZYNARODOWY POKAZ PIROTECHNIKI
I LASERÓW**

Rudniki koło Częstochowy; organizator:
„Golden Regen” 42-256 Olsztyn k. Częstochowy

8.09 – 9.09 DNI TWIERDZY KOSTRZYN

Kostrzyn, Stare Miasto; organizator: Urząd Miasta
Kostrzyn, ul. Kopernika 1, 66-470 Kostrzyn.

**8.09 – 9.09 MIĘDZYNARODOWE POKAZY I TARGI LOTNICZE
AIR SHOW 2001**

Radom – lotnisko wojskowe, 100 samolotów w
powietrzu i na ziemi, zespoły akrobacyjne; organiza-
tor: Dowództwo Wojsk Lotniczych i Obrony Po-
wietrznej, Świętokrzyska Agencja
Rozwoju Regionu S.A. – www.sarr.org.pl



24 - 26 sierpień 2001 ZAMEK KSIĄŻ k. Wałbrzycha

"JARMARK KSIĄŻAŃSKI" czyli Siedem Cudów Książa

PROGRAM

"JARMARK KSIĄŻAŃSKI":

CEPILIADA:

- wystawa rzemiosła,
- rękodzielnictwo,
- twórczość ludowa,
- prezentacje akansenów.

TARG ŚREDNIOWIECZNY:

- prezentacje nieistniejących już zawodów (kowalstwo, płatnerstwo...),
- jak dawniej robiono masło, bito monety, prało się...,
- targ staroci,
- dawną muzykę,
- zabawy plebejskie,
- staropolskie jadło,
- malarze, rzeźbiarze, garncarze,

TAJEMNICE GÓR SOWICH:

- prezentacje największych atrakcji Gór Sowich i Reg. Wałbrzyskiego,
- trasy podziemne, twierdze, zamki, kopalnie i agroturystyka.

KIERMASZ RÓŻNOŚCI:

- stoiska handlowe,
- gastronomia,
- pamiątki.



1 Ta karczma "Chłopskie Jadło" się nazywa



2 "Czary Maksymiliana"



3 "Książańskie Tarrasy Artystyczne"



4 "Emocje Tunelu Książańskiego"



5 "Wyprawa do Orlego Gniazda"



6 "Przy Osłej Bramie"



7 "Tańce, hulanki i... walki"



Biuro Organizacyjne:

Grupa Kras Sp. z o.o.
Zamek "Książ"
ul. Piastów Śląskich 1
58-306 Wałbrzych
tel. 0 / 1033 / 74 / 843-92-05
fax 0 / 1033 / 74 / 843-49-94
e-mail: kras@kras.com.pl
www.kras.com.pl



UWAGA!!!

Zapraszamy rzemieślników, artystów, kolekcjonerów staroci, osoby kultywujące stare zawody, artystów wykonujących dawną muzykę.

UDZIAŁ W WYSTAWIE BEZPŁATNY !



wakacje z przygodą

OBOZY „3 ŚWIATY”
SKAŁA-WODA-LAS



wakacje z angielskim

OBOZY JĘZYKOWE
BIESZCZADY I MAZURY



INTERNET
www.yes.pl
INTERNET

YES

Rzeszów, ul. Reformacka 8 tel. (17) 85-20-720, 85-36-816; e-mail: info@yes.pl

KONCESJA ORGANIZATORA TURYSTYKI NR REJ. 0176

BEZPŁATNA
0 800 54 64 59
INFOLINIA

Nie wiadomo, co mówił w kazaniach, ale szybko zebrał gromadę sympatyków. Następnie zabrał się za „sądzenie świata przez ogień”, czyli napadanie i palenie okolicznych klasztorów i pustelni. Jego zwolennicy żyli dostanie i wesoło

Rycerz, który został bogiem

Los średniowiecznych heretyków zwykle kojarzy się z szybkim uwięzieniem, torturami i spalaniem na stosie. I właśnie taki los zazwyczaj ich spotykał. Były jednak wyjątki. Przykład niejakiego Euda, znanego jako Eon de Stella pokazuje, że można było przez dwa lata napadać na klasztory, uważać się za Boga, powtórzyć swoje szalone teorie przed papieżem, nie odwołać ich – i ujsć z życiem.

W pierwszej połowie XII wieku Bretonia, choć leżąca na terenie dzisiejszej Francji, była częścią posiadłości królów Anglii. Ta odległa, pełna lasów kraina przyciągała pustelników i zakonników. Żył tam też pochodzący z drobnego rycerstwa Eudo. Kronikarze nie przekazali nic o jego życiu, aż do roku 1146. Wtedy rozpoczął on swoją „karierę” jako... – no właś-

nie, jako kto? W źródłach nazywany był heretykiem, poglądy głosił zresztą niewątpliwie sprzeczne z nauką Kościoła. Ale można zadać sobie pytanie, czy religijna otoczka nie była tylko pretekstem.

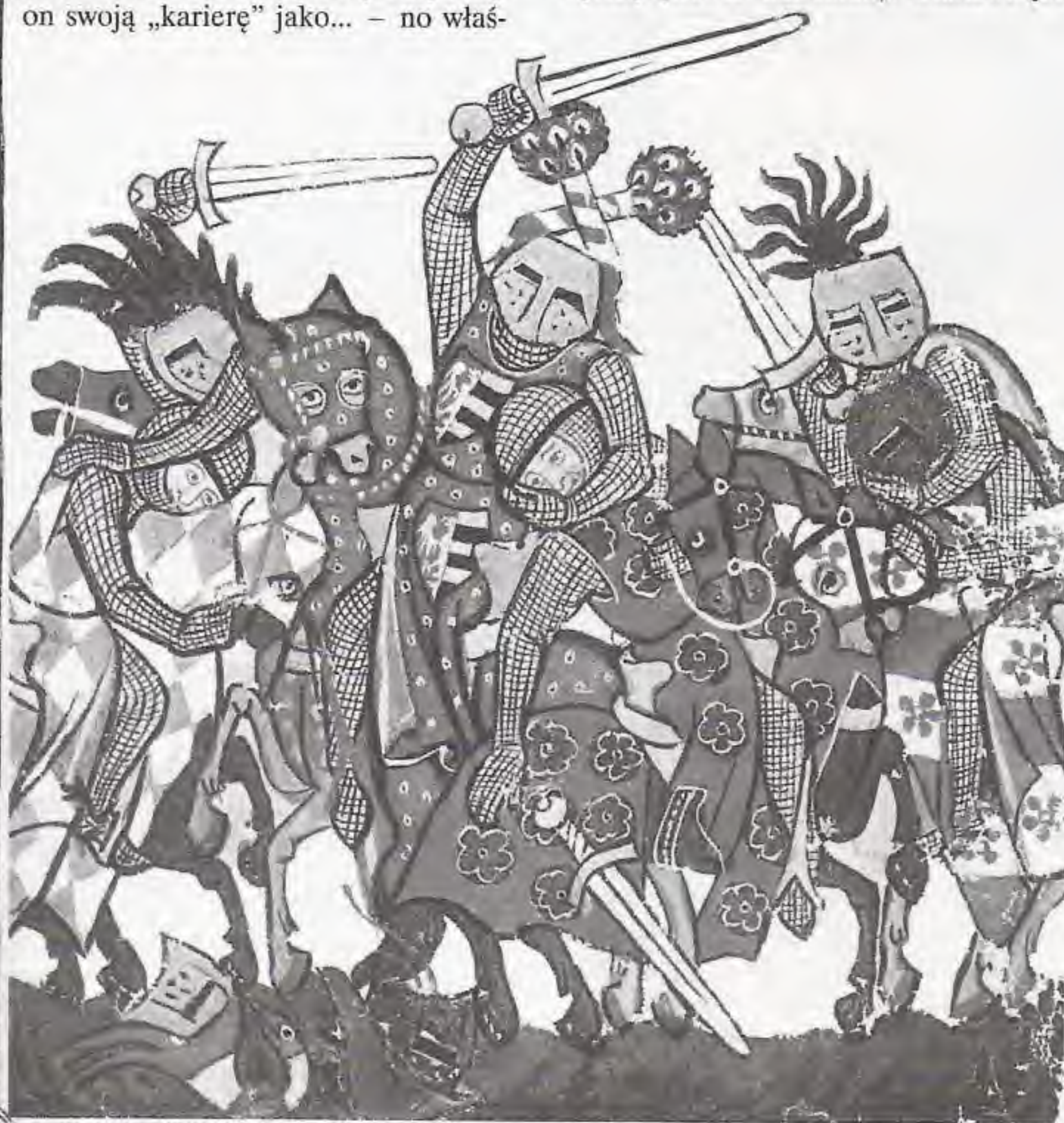
Eudo nadał sobie imię Eon, czy raczej Eun (w ówczesnym dialekcie bretońskim wymawiało się wszystkie trzy wyrazy prawie tak samo). Ciekawe jest

wyjaśnienie, skąd je wziął. W kościele usłyszał słowa łacińskiej modlitwy „per eundem Dominum nostrum Jesum Christum”, czyli „przez tegoż Pana naszego Jezusa Chrystusa”. Zrozumiał jednak wyraz „eundem” – „tegoż” jako „Eudem” – „Euda”.

Uznał, że ksiądz modli się właściwie do niego

„Euda – naszego pana Jezusa Chrystusa”


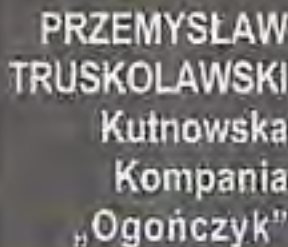

Eon wziął się z innej modlitwy: „per eum qui venturus est judicare vivos et mortuos, et seculum per ignem”, czyli „przez Tego, który przychodzi sądzić żywych i umarłych, i świat przez ogień”. Ksiądz w rodzinnej miejscowości Euda miał chyba trudności z wymową, bo „przez Euna, który przychodzi sądzić żywych i umarłych”, a ów Eun – to nikt inny, jak on sam. Ogłosivszy się Bogiem, Eudo-Eun-Eon zaczął głosić kazania wśród miejscowych wieśniaków. Nie wiadomo, co w nich mówił, ale szybko zebrał sporą gromadę sympatyków. Następnie zabrał się za „sądzenie świata przez ogień”, czyli napadanie i palenie okolicznych klasztorów i pustelni. Urządził sobie „kwaterę główną” w lesie Befrelien. Eonici, jak nazwano zwolenników Euda, żyli tam dostatnio i wesoło. Przywódca nadawał im nowe imiona. Jednego nazwał „Mądrość”, innego „Wiedza”, jeszcze innego „Sprawiedliwość”. Pozostali otrzymywali imiona aniołów albo apostołów. Sam Eudo podejmował czasem wystawnymi uczta-



RANKING TOPORÓW

Topór, obok miecza był bronią bardzo popularną w średniowieczu. Walczyli nim chłopci, mieszcianie oraz rycerze. Przypomnijmy sobie chociażby sienkiewiczowski obraz sądu bożego, podczas którego Zbyszek z Bogdańca walczył z Rotgierem na topory. Tej broni używano już we wczesnym średniowieczu, bo stać na nią było większość wojowników. Późnośredniowieczne topory rozwinęły się ze wzorów wikingich. Ci skandynawscy wojowie opanowali technikę walki do perfekcji – stosowali ciężkie topory na długim drzewcu, którymi zadawali ciosy zza głowy, trzymając drzewce oburącz. Tymi silnymi uderzeniami kruszyli tarcze przeciwników. Z wikingich toporów wykształciły się ciężkie topory używane przez średniowieczną piechotę. Z innego rodzaju topora – lekkiej siekierki powstały topory jazdy, którymi walczyło rycerstwo. Odrębną grupę stanowią oczywiście topory katowskie, ale ponieważ nie są używane przez rycerzy, nie będziemy się nimi zajmować. Współcześni rycerze zaczynają naukę walki właśnie od toporów. Poniżej prezentujemy opinie o wyrobach czterech polskich producentów. Niestety, tylko trzech rycerzy zgodziło się ocenić topory Aladina, Dąbala, Strzyżewskiego i Falerczyka.



Producenci:		ALADIN BRWILIŃSKI	JACEK DĄBAL	ALEKSANDER STRZYŻEWSKI	SZYMON FALERCZYK
Oceniają:		cena ok. 150 zł	cena ok. 100-180 zł	cena indywidualnie dla każdego egzemplarza	cena ok. 50-150 zł
 PIOTR NIEMIRKOTOWICZ Bractwo Rycerzy Ziemi Sanockiej		PLUSY Robi topory według każdego wzoru jaki się zażąda. MINUSY Wyroby tego producenta są ciężkie, przypominają topory katowskie. Nie są robione według wzorów historycznych.	Nie znam.	PLUSY Są świetne, idealnie wyważone i lekkie – waga nie przekracza 40 dkg. Wykonane według historycznych wzorów. Na specjalne zamówienie producent robi też topory wykonane techniką średniowieczną. MINUSY Jedyną wadą może być cena, ale za dobry sprzęt trzeba odpowiednio zapłacić.	PLUSY Są dobre, znakomicie wyważone. Ten producent rokuje duże nadzieje na przyszłość. MINUSY Sprzęt nie jest wykonywany według tradycyjnych technik średniowiecznych.
	 PRZEMYSŁAW TRUSKOLAWSKI Kutnowska Kompania „Ogończyk”	PLUSY Wykonuje topory solidnie, z dobrej stali. Jego wyroby mają dobre styliska. Stara się robić na podstawie rycin z epoki. MINUSY Są ciężkie i mają niekiedy niestaranne wykonanie.	PLUSY Te topory są antykorozyjne, bo szmalcowane. Dużą zaletą jest to, że producent robi według tradycyjnych metod. MINUSY Wiem, że kiedyś te wyroby były robione ze słabej stali i miały niestaranne wykończenie. Ale to było parę lat temu.	Wiele o nim słyszałem, ale nie miałem okazji walczyć jego toporami.	Nie znam.
	 JARL RAGNAR Inowrocławskie Bractwo Wojowników	PLUSY Trudno coś powiedzieć coś dobrego. MINUSY Jego wyroby są dość drogie, wykonane z kruchej stali. Poza tym są ciężkie, zwłaszcza te wikingie.	Wiem, że robi topory, ale osobiście nie miałem z nimi nic wspólnego.	PLUSY Są to wyroby o wysokiej estetyce, precyzyjnie wykonane ze stali bardzo dobrej jakości. MINUSY Jedyną wadą jest wysoka cena.	Jakość wyrobów tego producenta zbliżona do jakości Aladina. Ma te same wady.

Nie ulega wątpliwości, że dobrze wykonany topór musi być zrobiony z dobrej jakości materiału, a przy tym powinien być lekki i dobrze pasować do ręki. Jak zwykle w naszych rankingach opinie są rozmaite. Ale jedno jest pewne – dla pełnego bezpieczeństwa warto wykonanie tej broni powierzyć profesjonalistom. Polecamy to zwłaszcza początkującym rycerzom.

Monika Filipowska
Przemysław Banel

Dokończenie ze str. 29

mi członków swojego rodu, którzy przyjeżdżali do Befrelien, aby go nawrócić. Po takiej uczcie krewni niezmiennie rezygnowali jednak z misjonarskiego zapału. Niepowodzeniami kończyły się też podejmowane przez okolicznych książąt wyprawy przeciw eonitom.

Kronikarz William z Newburgh całą karierę Eona przypisuje pomocy diabła. Dzięki diablui Eon zdobył zwolenników. Diabeł chronił go podczas wypraw zbrojnych. Demony dostarczały też żywność na słynne uczyty Eona. Kronikarz wyjaśnił jednak, że nie była to żywność materialna, ale pozorna, mówiąc dzisiejszym językiem „wirtualna”. Smakowała jak prawdziwa, ale nie można było się nią najeść. Jako dowód na diabelskie konszachty Euda William opowiedział pewną historię. Do heretyka przyszedł jego krewny – rycerz ze swoim giermkim. Eon pokazał im „mnóstwo cudownych rzeczy” i zaproponował, żeby sobie coś wzięli na pamiątkę. Rycerz okazał się człowiekiem mądrym. Zrozumiał, że

to tylko diabelskie sztuczki

i odmówił. Giermek wziął sobie jednak pięknego sokoła. Jego pan kazał mu go oddać, ale on odmówił. Wtedy szatan w postaci sokoła zacisnął pazury na ręce giermka, uniósł go w powietrze i wszelki ślad po nich zaginął.

Kariera Eona trwała dwa lata. Kolejnej wyprawie udało się schwytać Eona i jego zwolenników. Więźniów zawieziono do Reims na synod, odbywający się z udziałem papieża Eugeniusza III.

„Kim jesteś?” – zapytał go papież

„Jestem Eon, który przychodzi sądzić żywych i umarłych, i świat przez ogień” – odparł bez namysłu. Co ciekawe, uwięzionemu Eudowi zostawiono oznakę jego władzy: rozdwojony na końcu kij. Biskupów zainteresowało znaczenie tego przedmiotu.

„To kwestia wielkiej tajemnicy” – wyjaśnił. „Jeśli, tak jak teraz, kij jest zwrócony rozdwojonym końcem do góry, dwie trzecie świata posiada Bóg, a jedną trzecią oddał mi. Jeśli jednak obrócić podwójny koniec kija do ziemi, a pojedynczy skieruję w niebo, posiadam dwie trzecie świata, a to, co zostało przekazuję Bogu” – dodał. Tymi słowami rozbawił wszystkich zgromadzonych. Biskupi długo nie mogli przestać się śmiać. Nie wiadomo, czy w dowód wdzięczności za dostarczenie rozrywki podczas nudnych obrad synodu, czy uznając go

Dokończenie na str. 32

Hufiec Rycerstwa Małopolskiego „Leliwa” z Sandomierza

Ich występy podziwiał hrabia Jan Tarnowski, któremu tak bardzo spodobało się to, co robili, że zaproponował, aby jako zawołanie wykorzystali jego herb – Leliwę właśnie. Zaprosił ich także na światowy zjazd Tarnowskich do rodzinnej posiadłości w Dzikowcu. Nie wykluczone, że właśnie tam już niebawem będzie zjeżdżać rycerstwo polskie na turnieje.

Hufiec istnieje od 1997 roku i ma w swoich szeregach około 20 osób. Zainteresowania sandomierskich rycerzy są bardzo szerokie, od X do XVII wieku. Ich specjalnością jest fechtunek – walką mieczami, szablami, szpadami i rapierami. Panie też ćwiczą się we władaniu szpadą. Podczas pokazów i turniejów każdy z rycerzy ma własny przydomek. Rycerz Rozbijstoły otrzymał swój przydomek po pewnym turnieju, podczas którego tak się zapamiętał w walce, że wpadł na stół sędziowski i mocno go uszkodził, na szczęście sędziom oceniającym przebieg walki udało się wyjść

cało. Wojownik Marek zwany jest Lubięznikiem, gdyż jest szczególnie czuły na wdzięki niewieście i to nie tylko pań z najbliższego otoczenia. Hufiec jest rządzony demokratycznie, oznacza to, że nie ma żadnego przywódcy, a wszystkie decyzje podejmowane są wspólnie.

Kontakt z hufcem:

Tel. 0503 152 491

Internet: fratres@topnet.pl



Rodowa Drużyna Rycerska herbu Korczak

Są drużyną, która wspólnie z bractwem ogrodzienieckim konno walczy na kopie. Są to bardzo niebezpieczne pokazy wymagające niezwyklej odwagi i zręczności. Z tego właśnie powodu niewiele bractw w kraju specjalizuje się w tego typu walkach. Rycerze „od Korczaka” prezentują również atak husarii oraz pokaz zręczności rycerzy tak miłych Sobieskiemu.

Drużyna, skupia osoby pieczętujące się wspólnym herbem oraz sympatyków i przyjaciół rodu – w sumie około 20 osób. Ich zainteresowania sięgają początków średniowiecza, aż po wiek XVII, do czasów rycerzy – husarzy. Każdą wolną chwilę poświęcają na treningi, ponieważ konna walka na kopie wymaga absolutnego perfekcjonizmu. Drużynie, która istnieje od 1997 roku przewodzi Jan Ziolkowski – prywatnie ekonomista. Mimo przeważającej przewagi panów, rzemiosłem rycerskim zajmuje się także kilka

pań, które oprócz zajęć, które przystoją białogłowom, czyli haftu i tańca, potrafią także dzielnie walczyć. Prezentowane przez nie pojedynki na na szable i rapiery zawsze wzbudzają wiele emocji wśród widzów.

Kontakt z bractwem:

Tel: 0602 82 99 33

Internet: erbolito@poczta.wp.pl



Dokończenie ze str. 29

za obłąkanego, biskupi postanowili darować niepoprawnemu heretykowi życie. Zamknęli go jedynie na wszelki wypadek w silnie strzeżonej twierdzy w Reims. Niektórzy historycy przypuszczają, że pomogli mu też wpływowi krewni. Jakiś czas później, Eudo umarł w więzieniu. Jego najbliżsi uczniowie nie mieli tyle szczęścia. Nie chcieli odwołać swych heretyckich poglądów i trafili za to na stos. Inni wędrowali później po świecie i

pokutowali za swoje grzechy

Jeden z nich opowiedział historię Eona wspomnianemu Williamowi z Newburgh.

Kim był naprawdę Eudo – Eon de Stella? Zdaniem większości kronikarzy średniowiecznych i sporej części historyków był szaleńcem. Część uczonych doszukuje się w jego poglądach czegoś więcej, niż tylko bełkotu potencjalnego (w innych czasach) pacjenta szpitala psychiatrycznego. Niektóre z tych hipotez brzmią zresztą prawie tak fantastycznie, jak wypowiedzi samego Eona. Słynny angielski historyk Steven Runciman uważał go za jednego z pierwszych przedstawicieli dualizmu na Zachodzie. Dualizm w znaczeniu religijnym, to wiara w istnienie dwóch niezależnych bogów: dobrego i złego. Dobry stworzył świat duchowy, między innymi tak zwane eony i dusze ludzi. Zły jest twórcą świata materialnego. Eony to rodzaj bytów duchowych, ich charakter jest trudny do wytłumaczenia. Nosiły one różne nazwy, wśród nich Mądrość, Wiedza i Sprawiedliwość – tak, jak towarzysze bretońskiego Eona. Właśnie te imiona były głównym argumentem Runcimana. Kilkadziesiąt lat po śmierci Euda dualizm rozpowszechnił się we Francji w postaci religii katarów, czyli albigensów. Jeden z historyków francuskich uważał Euda za ostatniego druida, przedstawiciela dawnych celtyckich kapłanów. Inny dla odmiany uznał go za... pierwszego francuskiego komunistę. Jeszcze inni sądzą, że spotkał się gdzieś z przedstawicielami bułgarskiej sekty bogomistów (jeszcze jednego odłamu dualistów) i źle ich zrozumiał. W każdym razie większość uczonych traktuje go lekceważąco, wręcz jak „czarną owcę” wśród dwunastowiecznych heretyków. Przeciwstawia się go na przykład takiemu Tanchelmo wi z Antwerpii, który wprawdzie też uważał się za wcielenie Chrys-

tusa i wziął ślub z posągiem Matki Boskiej, ale przynajmniej był wykształcony i nie niszczył kościołów. Historycy określają Eona jako nierozgarniętego, niepiśmiennego wieśniaka. W rzeczywistości nie jest to takie proste. Jak widzieliśmy,

nie był wieśniakiem tylko rycerzem

Kronikarze rzeczywiście nazywają go nie znającym pisma. Był to raczej zwyczajowy zwrot, mający przeciwstawić wykształconych ludzi Kościoła nie znających pisma (w domyśle: Świętego) heretykom. Jeden z kronikarzy, Otto z Freisingen, wspominał nawet, że Eudo pojawił się przed papieżem ze swoimi pismami. Eudo musiał mieć pewne wykształcenie, skoro rozumiał łacińskie słowa modlitw. Być może zdobył je w jakimś klasztorze. Otto z Freisingen nazwał go „człowiek pół-świecki”. Nie wiadomo właściwie, jak to należy rozumieć. Może chciał wstąpić do klasztoru, ale nie został przyjęty? Może był konwersem, czyli mnichem „niższej kategorii”, wykonującym prace pomocnicze w rodzaju uprawy klasztornych pól?

Na zakonną przeszłość naszego bohatera wskazuje jego przydomek „de Stella” – dosłownie znaczący „z gwiazdy”, ale też „z miejscowości Stella”. Dla większości badaczy ten przydomek pozostaje zagadką. Nie zwrócili oni uwagi, że w pierwszej połowie XII wieku były we Francji, i to stosunkowo blisko Bretonii, aż dwa klasztory o nazwie Stella. Może Eudo przebywał w którymś z nich?

W sposób pewny nie da się tego ustalić, ale jest to bardzo prawdopodobne. Czy był rzeczywiście szalony? Może tak, a może był po prostu cwaniakiem, który wykorzystał naiwność bretońskich chłopów. Słowa łacińskich modlitw rozumiał prawidłowo, ale skorzystał z podobnego brzmienia różnych wyrazów, aby

wmówić słuchaczom że jest Bogiem

Eonici byli po prostu jedną z band rozbójników, jakich wiele kryło się w średniowiecznych lasach. Eudo to ktoś w rodzaju bretońskiego Robin Hooda, obdarzonego wyjątkowo bujną wyobraźnią – napadał na bogate klasztory i rozdawał zdobyte dobra ubogim, czyli swoim zwolennikom i, przede wszystkim, sobie. Jego prezentacja przed papieżem mogła być również przemyślanym przedstawieniem. Na łaskę nie mógł liczyć, bo naraził się zbyt wielu ludziom. Spróbował więc zrobić z siebie wariata i dzięki temu mieć nadzieję na łagodniejsze potraktowanie – jak widzieliśmy, uzasadnioną. A jak to było naprawdę, wiedział chyba tylko sam Eon.

Adam Krawiec



W połowie lipca naprzeciw miasta Wolin stanęła wioska wikingów. Na półwyspie, który z trzech stron oblewają wody Dźwiny, drużyny wojowników z Danii, Anglii, Czech, Rosji, Niemiec, Litwy i Polski rozbiły ponad 50 namiotów z białego płótna. Na wodzie kołysały się trzy długie łodzie, a w srogiej bitwie, która rozegrała się w sobotę, 14 lipca wzięło udział około 200 wojowników. Można było też podglądać codzienne życie osady wikingów z czasów wczesnego średniowiecza. Przed namiotami niewiasty warzyły na ogniskach strawę, a rzemieślnicy rozstawili swe kramy handlując i wytwarzając wyroby ze skóry, metalu, gliny, rogu oraz bursztynu

Życie codzienne wojownika

Zjazdy wikingów z kilku krajów Europy odbywają się w Wolinie od roku 1993. Największe miejsce koryta Dźwiny od zamierchłej przeszłości wykorzystywano jako przeprawę. Na przełomie VI i VII wieku n.e. powstała na brzegu słowiańska osada. W IX wieku Wolin zasłynął na całym kontynencie, wzbudzając podziw, jako jedno z największych miast „jakie się w Europie znajdują”. Mieszkali w nim Słowianie i mieszanina innych ludów, tak Greków, Rusów jak i barbarzyńców. Sascy przybysze otrzymali także wolność przemieszczania tam, byle tylko, dopóki tam zostawali, nie wydawali się publicznie ze swym chrześcijaństwem. Wreszcie pod względem obyczajów i gościnności nie było żadnego narodu uczciwszego i dobrodusznieszego. Miasto bogate w towary wszystkich narodów posiadało wiele przyjemności i rzadkości” – zanotował w kronice z XI wieku Adam, kanonik z Bredy.

W XII stuleciu Duńczycy kilkakrotnie atakowali łupili i niszczyli Wolin.

Wśród Rosjan, którzy przyjechali na Wolin byli prawdziwi kaskaderzy. Jednak wojowie Bolka dali sobie z nimi radę



Komes Albert raniony w nogę we wcześniejszej utarczce na pole bitwy przyniesiony został na łożu przez zbrojnych, którym za pomoc płacił brzęczącym srebrem

Wiodącą rolę jako miasta handlowe i porty przejęły w tym czasie inne konkurencyjne ośrodki na wybrzeżu. Wszystko to, oraz coraz większe zamulenie Dźwiny doprowadziło do ostatecznego upadku osady, którą wprawdzie później odbudowano i nadano jej prawa miejskie, jednak jej świetność bezpowrotnie przeminęła.

W pobliżu Wolina natraffiono na skarb srebrnych monet i ozdób o wadze 11 469 g, zatem opowieści o bogactwie owego miasta miały swoje uzasadnienie w rzeczywistości. Legenda mówi, iż murze miejskim były trzy bramy, w całości wykonane ze srebra. Domy wzniesiono z marmuru i alabastru, dzieci bawiły się srebrnymi talarami, a konie podkuwano srebrem i złotem. Nieźle też miały się wolińskie świny, karmione ze złotych koryt. Średniowieczne kroniki potwierdzają, iż znajdowała się tam jedyna na wybrzeżu słowiańskiej latarnia morska, zwana garnkiem Wulkana, a pośrodku osady wznosiła się pogańska świątynia – kącina. Woliniańskie prowadzili handel dalekosiężny z Konstantynopolem, a mieszkańcy Północy, wikingowie, bywali tu nie tylko gośćmi, lecz mieli

Dokończenie na str. 35

Do wody lub bagna związanego z jakimś bóstwem składano naczynia z jadłem, drogocenne przedmioty, a nawet rzymskie monety. U Celtów były to jednak przede wszystkim plastyczne przedstawienia uzdrowionych części ciała, czyli np. nóżki, ręce

Ofiary bagiennych bogów

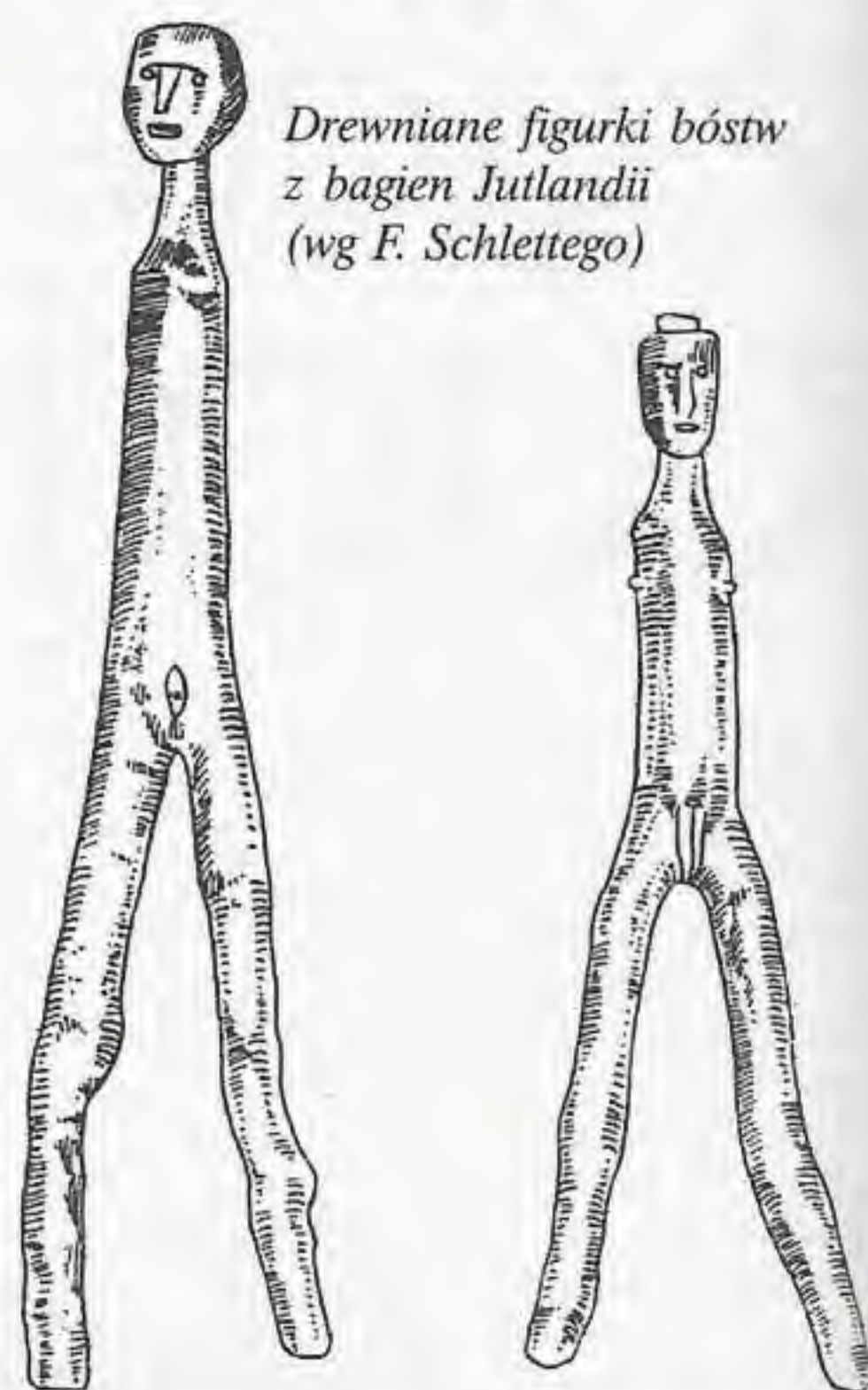
Wśród wielu interesujących rodzajów stanowisk archeologicznych jest jeden niezwykle frapujący, a przy tym dostarczający wyjątkowych zabytków. Są to tak zwane znaleziska bagienne, nazwane tak oczywiście z racji swojej lokalizacji. Pochodzą one z różnych epok, a na terenie Europy są odkrywane oczywiście tylko na terenach bagien-nych lub też takich, na których bagna występowały w starożytności, lecz zostały osuszone w ciągu ostatnich 150 lat przez człowieka.

Sz szczególnie częste są zabytki starożytnych plemion germańskich, zwłaszcza z ostatnich stuleci przed narodzinami Chrystusa i pierwszych wieków po nich. Najbardziej spektakularnych odkryć tego typu dokonano przede wszystkim na Półwyspie Jutlandzkim. Jednym z najbardziej znanych stanowisk bagiennych jest znalezisko z Thorsbergu. W pobliżu tej miejscowości natrafiono na niezwykle liczne depozyty w postaci elementów stroju i uzbrojenia: sprzączki pasów i ich okucia, kawałki tarcz, groty włóczni i oszczepów. Były tam nawet całe części odzieży, jak tkane spodnie i koszule. Zalegały one warstwami w głębokim bagnie. Dzięki specyficznemu składowi chemicznemu bagiennego torfu przetrwały one do naszych czasów w bardzo dobrym stanie. Dzięki temu mogły się stać podstawą do opracowania pierwszej bodaj typologii tego typu wyrobów, której autorem jest niemiecki archeolog prof. Karl Raddatz.

Jeszcze bardziej niezwykły jest jednak inny depozyt bagieny, odkryty na terenie Danii w pobliżu miejscowości Illerup. Stanowisko to jest badane od wielu lat, zaś największe zasługi w opracowaniu pozyskanych znalezisk położyli Duńczyk Jorgen Ilkjaer oraz Niemiec Claus von Carnap-Bornheim. Natrafiono tam na ogromną ilość zabytkowych przedmiotów, bardziej różnorodnych niż w bagnie koło Thorsbergu. Wszystkie pochodziły z III w. po Chrystusie i zostały zdeponowane mniej więcej w tym samym czasie. Podobnie jak w przypadku wcześniej odkrytych stanowisk bagiennych, archeolodzy opracowali na podstawie wydobytych zabytków typologię poszczególnych kategorii przedmiotów, umożliwiającą ich dokładne datowanie i ustalenie pochodzenia. Były wśród nich nie tylko dobrze zachowane tarcze, broń drzewcowa itp., lecz także

komplety przyborów do krzesania ognia

(krzesiwa, hubki, krzemienie umieszczone w specjalnych woreczkach noszonych przy paskach), narzędzia, ozdoby i elementy garderoby. Można zastanawiać się, dlaczego tak wielka ilość niewątpliwie cennych wówczas przedmiotów znalazła się w bagnie, zupełnie jak nikomu niepotrzebne śmieci, a przecież wszystkie niemal były w dobrym stanie, niektóre nosiły ślady niewielkich uszkodzeń. Nie jest możliwe, aby była to „wielka zguba” zwłaszcza, że do miejsc ich złożenia prowadziły przeważnie specjalne drewniane pomosty (niektóre pojedyncze zabytki wyciągnięte z bagien rzeczywiście mogą być uważane za zgubione przez starożytnych ludzi). J. Ilkjaer wypracował jedyną przyjmowaną dziś interpretację depozytu z Illerup. Uważa on mianowicie, że tak, jak większość znalezisk bagiennych, stanowisko to jest miejscem ofiarnym, zaś wszystkie przedmioty, zarówno broń jak i części stroju, czy narzędzia zostały złożone jako votum bliżej nieznanemu bóstwu. Jeśli jednak ofiara ta była tak wielka i, co bardzo ważne, złożona została niemal jednorazowo, to musiała się wiązać z jakimś niezwykle ważnym wydarzeniem historycznym. Kluczem do rozwiązania tej zagadki wydaje się właśnie typologia wszystkich wyrobów, nie lubiana i niedo-

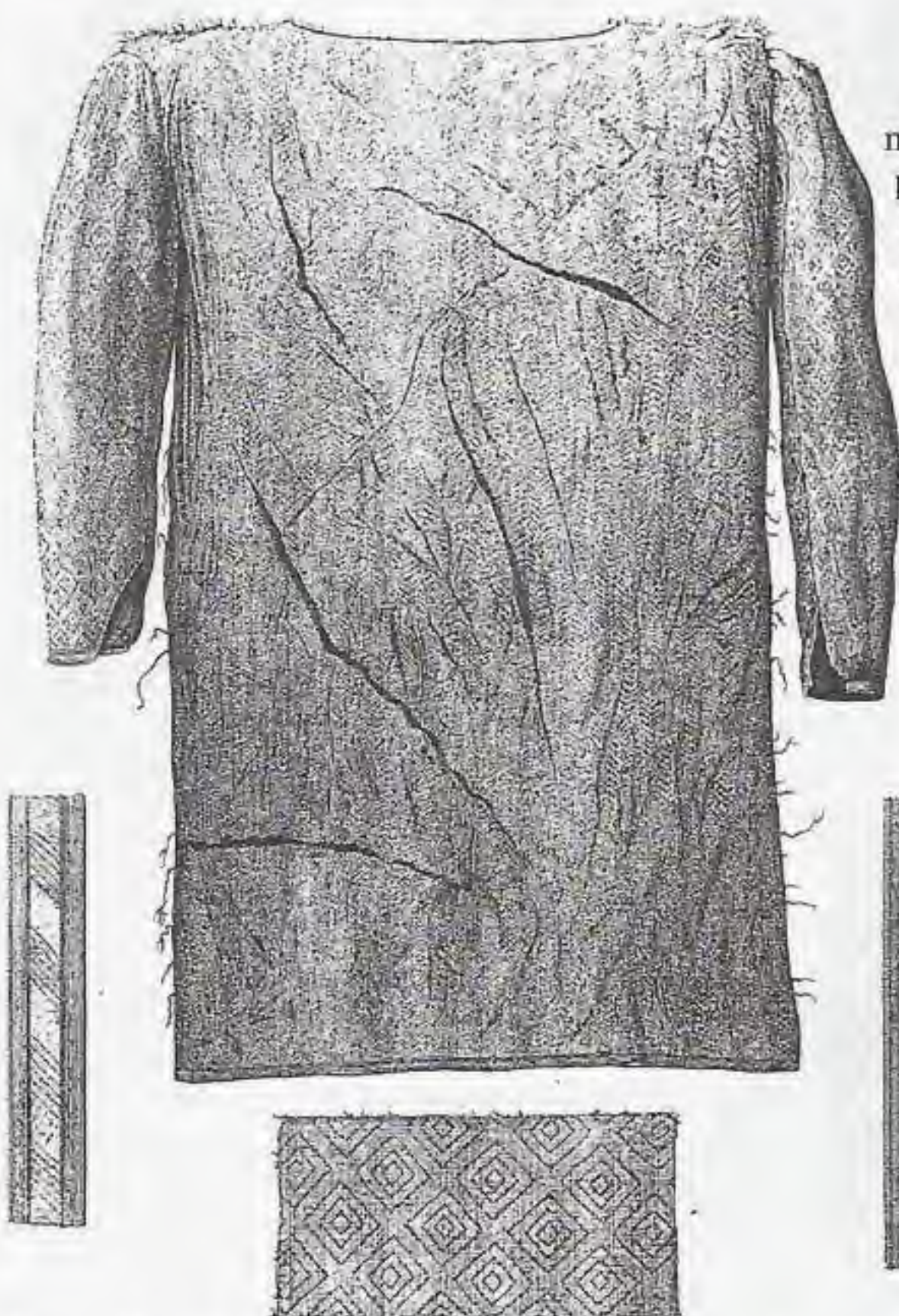


Drewniane figurki bóstw z bagien Jutlandii (wg F. Schlettego)

ceniana na ogół przez nieprofesjonalnych miłośników starożytności, a będąca często podstawą pracy archeologów. Otóż przy dokładnej analizie uzbrojenia i innych przedmiotów okazało się, iż nie są one charakterystyczne dla ówczesnej Jutlandii, lecz raczej dla terenów południowej Norwegii. Cały ogrom wszystkich wymienionych wyrobów

był najprawdopodobniej trofeum wojennym

(przeważała wśród nich zdecydowanie broń oraz elementy wyposażenia wojowników i strojów męskich). Najeźdźcy z obszaru południowo-zachodniej Skandynawii ponieśli najwyraźniej klęskę, ponieważ większość ich ekwipunku dostała się w ręce obrońców Półwyspu Jutlandzkiego. Przyczyny tego konfliktu zbrojnego, prowadzonego zapewne na dość dużą skalę, są dla nas jak dotąd niejasne. Istnieje jednak przypuszczenie, że został on wywołany na skutek zabiegów dyplomacji rzymskiej. Działała ona prawdopodobnie w celu odciążenia legionów walczących z plemionami germańskimi nad Renem. Sprowokowana na tyłach wroga akcja dywersyjna, zwłaszcza taka, w której nie były bezpośrednio zaangażowane oddziały rzymskiej armii, na pewno przynajmniej na jakiś czas absorbowwała znaczne siły potencjalnych najeźdźców lub też odciągała już walczące na granicy z Imperium Rzymskiego grupy bojowe na inny front. Na tym oto przykładzie Illerup widać, jak znalezisko bagienne może być nie tylko okazją do specjalistycznych studiów nad materiałami



Koszula ze stanowiska bagiennego w Thorsbergu

archeologicznymi, lecz także pretekstem do szerszych badań historycznych. Jak wcześniej wspomniano, depozyt z Illerup miał charakter ofiarny. Nie wiemy niestety, jakiemu bóstwu ta ofiara była poświęcona. Miejscem składania takich materialnych darów były nie tylko bagna, lecz także zbiorniki wodne. Znajdujemy dziś różne przedmioty, zwłaszcza broń oraz ozdoby, w jeziorach i zakolach rzek, a także przy źródłach. Starożytni Germanie wyrażali w ten sposób wdzięczność bytom nadprzyrodzonym nie tylko za wielkie zwycięstwa na wojnach. Prawdopodobnie niektóre ofiary były składane podczas świąt określonych bogów. Liczne były także ofiary indywidualne, składane przez pojedyncze osoby, nie zaś całe plemiona. Bardzo często były one związane z dziękczynieniem za uzdrowienie. W takich przypadkach do wody lub bagna związanego z jakimś bóstwem składano naczynia z jadem, drogocenne przedmioty, a nawet rzymskie monety.

Widać tu podobieństwo do podobnych ofiar składanych przez starożytnych Celtów, szczególnie w Galii. Uzdrowiającym bóstwom dziękowali oni, darując im (czyli np. wrzucając do „zamieszanych” przez nie wód) rozmaite wyroby. U Celtów były to jednak przede wszystkim plastyczne przedstawienia uzdrowionych części ciała, czyli np. nóżki, ręce na jakie stać było ofiarodawcę, od drewna przez różne kamienie oraz żelazo i miedź aż do srebra, a nawet złota. Wśród germańskich darów wotywnych, nieco przypominających celtyckie wymieniać trzeba figurki drewniane, przedstawiające bądź to ludzi, bądź bóstwa. Czasem, przy źródłach, składali także wykonane z brązu figurki bóstw i herosów z panteonu rzymskiego. Prawdopodobnie „barbarzyńcy” na swój sposób interpretowali te posąжки o śródziemnomorskim rodowodzie jako przedstawienia swoich, germańskich bóstw.

Zwyczaj składania ofiar w bagnach i akwenach nie był obcy także Germanom, zamieszkującym w okresie wpływów rzymskich Europę środkową, w tym i Wandalom i Gotom z dzisiejszych ziem polskich. Niestety, w Polsce praktycznie nie prowadzi się badań archeologicznych w obrębie bagien i torfowisk, ponieważ wymagają one nieprzeciętnie wysokich nakładów finansowych i organizacyjnych. Wszystkie znane obecnie znaleziska tego typu pochodzą ze starszych odkryć, najczęściej przypadkowych. Wszystkie niemal skupiają się w dorzeczu Noteci, na rozległych terenach bagiennych, dziś w dużej mierze osuszonych. Wymieniać tu trzeba stanowisko w Dargikowie koło Białogardu, gdzie przy kopaniu torfu natrafiono na ludzką czaszkę, paciorki bursztynowe i szklane oraz groty włóczni. Wszystkie zabytki, pochodzące zapewne z III-IV w. po Chrystusie niestety zaginęły. W położonej niedaleko miejscowości Buczek odkryto inne jeszcze wielkie miejsce ofiarne, gdzie składano przede wszystkim paciorki, w tym szczególnie wykonane z bursztynu, których odnaleziono tam aż 1200 sztuk. Z Polski, w tym szczególnie z Pałuk, znane są także depozyty broni, np. żelazny grot włóczni z Biskupina. Jak więc widać, także i w naszym kraju natknąć się można na ślady pradawnych kultów, które zatopione w bagnach i torfowiskach czekają na swego odkrywcę. Z całą pewnością są one liczniejsze, niż może nam się wydawać. Warto o nich pamiętać, gdy będziemy penetrować pojezierza i rozlewiska rzek w poszukiwaniu pamiątek II wojny lub atrakcyjnych łowisk wędkarskich.

Artur Błażejowski
Ryciny pochodzą z archiwum autora

Dokończenie ze str. 33

na miejscu swe przedstawicielstwa kupieckie. Nie przeszkadzało to im organizować wypraw łupieskich na bogate miasto, które też było uważane za gniazdo słowiańskich korsarzy – chałników. W skandynawskich sagach Wolin zwano Jomsborgiem.

Fascynacja średniowieczem

sprawia, że wiele osób spontanicznie próbuje wskrzesić dawny obyczaj. Starają się odtworzyć stroje, biżuterię, broń, z pełną celebrą uprawiają wczesnośredniowieczne rzemiosło. Swoje spotkania organizują bez pomocy wysokich urzędników z ministerstwa kultury. Zdołali zyskać przychylność i fundusze od władz Wolina, które świetnie rozumieją, jak znakomitą promocją dla miasta jest zlot wikingów.

– Robimy odlew kopii krzyżyka z XI wieku odnalezionego na terenie Rusi, pochodzącego z kolekcji hrabiego Tyszkiewicza – mówią Wojciech Kochman i Michał Sekuła. – Nasz złotniczy warsztat jest rekonstrukcją miejsca pracy wczesnośredniowiecznego rzemieślnika. Sami wykonaliśmy narzędzia, wiernie naśladujemy dawną technologię.

Katarzyna Ampt z Warszawy przyrządza jedzenie, które smakuje tak, jak wczesnośredniowieczne potrawy. Dawną kuchnię zaczęła się zajmować jeszcze podczas studiów. Naczynia podobne do średniowiecznych zamówiła u garncarza. – Niestety, nie zachowały się do dziś przepisy, które pozwoliłyby wiernie odtworzyć dawne potrawy – żali się pani Kasia. – Wiadomo jednak, że w średniowieczu jadano zboża w postaci kasz, podplomyków lub gęstych brejowatych zup. Używano niewiele soli, która była bardzo cenna. A takie przyprawy, jak pieprz kupowano na wagę złota i

przechowywano w skarbczykach

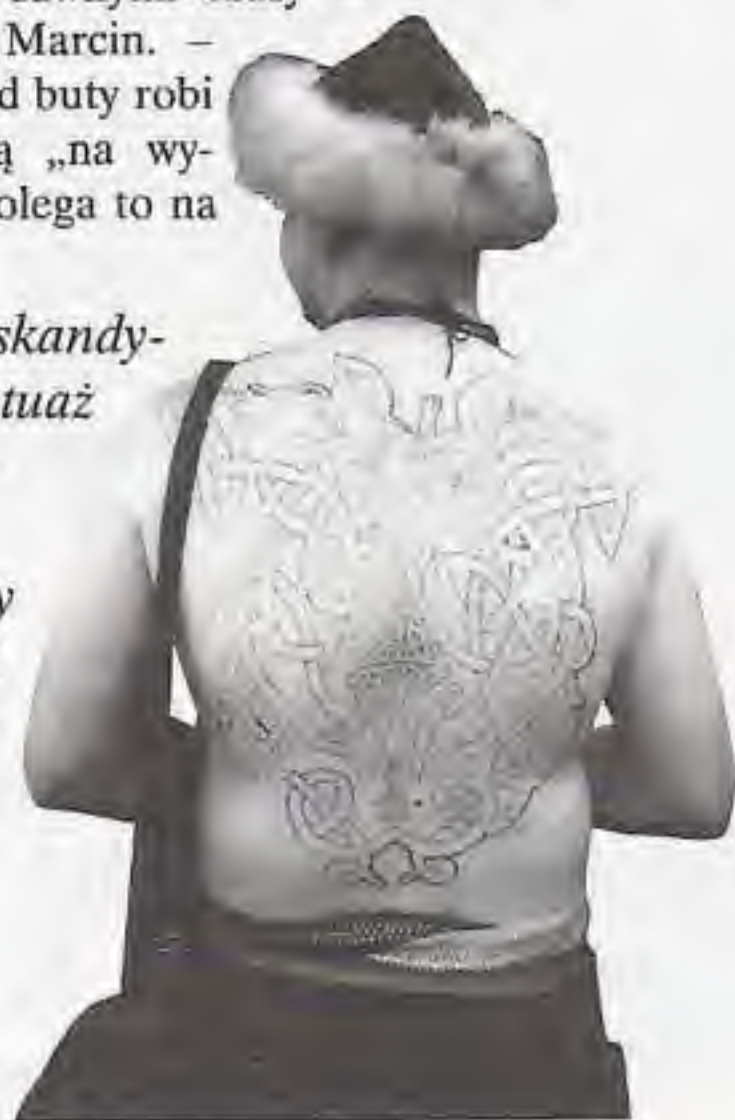
Zdarzało, że przekazywano go jako posag. Marcin Osojca, student archeologii z Warszawy twierdzi, że skórnictwem zajął się przypadkiem.

– Na uniwersytecie mieliśmy zajęcia związane z popularyzacją archeologii – wspomina. – Jeden z pracowników naukowych zaproponował nam udział w festynie archeologicznej w Biskupinie. Z racji tego, że zrobiłem sakiewkę, postanowiłem kontynuować to zajęcie.

Nożyk, szydło osadzone w kości lub drewnie, oraz igła, to podstawowe wyposażenie warsztatu rzemieślnika zajmującego się wytwarzaniem wyrobów ze skóry.

– Staram się szyć w taki sposób, jak robili to szewcy dawnymi czasy – mówi pan Marcin. – Na przykład buty robi się metodą „na wywrotkę”. Polega to na

Ten staroskandynawski tatuaż podobno został wykonany tuż przed wolińską bitwą



Daria Dąbał, córka twórcy mieczy, słynnych „dąbali” odziedziczyła po ojcu zamiłowanie do dawnych czasów.

tym, że but szyje się na lewej stronie, a następnie wywraca tak, że szwy pozostają wewnątrz i nie przecierają się podczas chodzenia.

– Gлина jest bardzo wdzięcznym materiałem – oświadcza Krzysztof z Glinek Mokrych. Wytwarza najróżniejsze rodzaje naczyń z czasów wczesnego średniowiecza – To pasja, która stała się zawodem. Robię repliki naczyń użytkowych, czary, puchary, misy, naczynia zasobowe, te ostatnie znacznie pomniejszone. Posługuję się kołem napędzanym ręką, które pozwala na kształtowanie naczyń dłońmi w znacznie większym stopniu niż koło o szybkich obrotach napędzane nogą lub mechanicznie.

O kolorze naczyń decydują różne sposoby wypalania gliny. Grzechotki wykonane z gliny miały chronić przed złem

odnajdowano je w grobach szkieletowych

Chyba nie ma już dziś powodu, by rozdzierać szaty nad ginącymi zawodami. Znalazły doskonałych obrońców.

Bitwa na Wolinie miała wyobrażać walkę, którą stoczył Bolesław Chrobry z Rusinami. Najpierw na placu boju pojawił najmocniejszy w gębie z wojów Bolesława. Począł lżyć wrogów, wymyślając im od psów. Od strony przeciwników wysunęło się kilku berserków. To waleczni mężowie, którzy, gdy wpadali w szal bojowy. Nie czuli ran. Bywało, że wyrwali z rany dzidę i walczyli dalej zdobytym w ten sposób orężem. Rozsierzdzony wojownik, tocząc z ust pianę rzucił się na wojów Bolesława. Cisnął w szyk swych wrogów odrąbaną wcześniej głową przeciwnika. Z krzykiem ruszyli do walki i bolłowi wojowie. Udało się zepchnąć wrogi hufiec ku jednej z barier, a tam doszło do rzezi, bo jeńców w tym boju nie brano.

Wielką niedogodnością dla śledzących wydarzenia podczas bitwy było to, że wszystkie wydarzenia mogły dobrze widzieć jedynie osoby stojące tuż przy barierze. Pozostali, stłoczeni za ich plecami świadkowie tego wydarzenia zostali tej przyjemności pozbawieni. Organizatorzy powinni na przyszłość pomyśleć, jak to rozwiązać.

Po bitwie zwycięzcy i pokonani zgodnie zasiedli do garnców z kapustą lub kaszą okraszona słoniną. A i piwa nie zbrakło dla utrudzonych w boju wojów.

Tekst i zdjęcia
Juliusz Woźny

Ostatnia zagadka domu *Romanowów*

Gdy przyznała, że jest ocalałą z pogromu córką cara, na wiele lat skłóciła ocalałych członków rosyjskiej arystokracji. Jedni uważali ją za zręczną oszustkę, inni ufali jej bezgranicznie. Potrafili nawet przekonująco wyjaśnić fakt, że nie mówiła zbyt dobrze po rosyjsku

To jedna z najbardziej ekscytujących historii XX wieku. W Jekaterynburgu zamordowano cara Mikołaja, jego żonę Aleksandrę, ich cztery córki, czternastoletniego następcę tronu oraz kilka osób z ich otoczenia. Wkrótce zrodziła się legenda, iż cudownym zbiegiem okoliczności z mordu ocalała księżna Anastazja, mówiono także o Aloszy. Gdy kilka lat później w Berlinie pojawiła się kobieta, która podała się właśnie za nią, wywołało to prawdziwą burzę.

Nieliczni wierzyli, iż rzeczywiście obcuje z córką cara. Jednak większość emigracji nie dawała wiary tym rewelacjom. Czy więc rzeczywiście Anastazja ocalała?

Był lipiec 1918 roku. W Jekaterynburgu, w domu należącym niegdyś do kupca Ipatajewa, więziono już trzeci miesiąc cara Mikołaja II, jego żonę Aleksandrę, ich cztery córki, carewicza Aleksego, a także doktora Eugeniusza Botkina, lokaja Truppa, służącą Aleksandry – Demidową i kucharza Charitonowa. Kiedy do miasta zaczęli zbliżać się „biali”, z Moskwy nadeszła decyzja o zamordowaniu rodziny Romanowów, zatwierdzona przez samego Lenina. Dowódca domu Ipatajewa

wraz z jedenastoma innymi oprawcami

wkroczyli do piwnicy o rozmiarach 3,3 na 4 metry. Czekala tam już carska rodzina z pozostałą czwórką towarzyszy niedoli.

Do momentu wejścia „plutonu egzekucyjnego”

niczego się nie spodziewali, ponieważ wytłumaczono im, iż zgromadzeni zostali w tym pomieszczeniu ze względu na trwającą kanonadę. Powiedziano im także, że zachód nie dowierza, że jeszcze żyją i dlatego chcą zrobić im wspólne zdjęcie. „Wykonanie zadania” – tak morderstwo to nazywał Jakow Jurowski trwało dwadzieścia minut. Tyle trwało strzelanie do bezbronnych ofiar, dobijanie ich i ładowanie na samochód. Auto przez cały czas miało włączony silnik, po to, aby zagłuszyć huk strzelających pistoletów. Nie wszystkie kobiety zginęły od razu. Księżne w gorsetach miały pozaszywane kosztowności co powodowało odbijanie się kul i konieczność użycia bagnetów. Oprawcy o tym nie wiedzieli i kończyli swoje zadanie ogarnięci zarówno przerażeniem jak

i wściekłością. Był środek nocy i pozostał już tylko problem ukrycia zwłok. Jurowski wraz członkiem swojej świty Piotrem Jermakowem kilka dni przed egzekucją udali się do lasu w celu znalezienia najbardziej odpowiedniego miejsca na pochowanie ciał. Tak trafili na miejsce nazywane Uroczyskiem Czterech Braci, dwadzieścia kilometrów na północ od miasta. Niegdyś były tam szyby, z których wydobywano węgiel. Teraz były zalane i to miejsce zdało się Jurowskiemu i Jermakowowi najodpowiedniejsze. Ostatecznie na miejsce przeznaczenia dotarli o świcie. Jurowski

rozkazał położyć zwłoki na trawie

i usunąć z nich odzież. Wartościowe przedmioty załadowano do worków, a wszystkie inne wraz z ubraniami spalono w dwóch ogniskach. Ułożonym na trawie nagim ciałom zeszcpeciono twarze kolbami karabinów. Być może w porywie wściekłej furii, ale bardziej prawdopodob-

ne jest, że w ten sposób próbowano utrudnić ewentualną identyfikację. Ciała wepchnięto do jednego z głębszych szybów Wrzucono tam kilka granatów, aby zasypać go ziemią. O dziesiątej rano było po wszystkim. Osiem dni po morderstwie Jekaterynburg znalazł się w rękach „białych”. Natychmiast podjęto poszukiwania, i chociaż ślady z domu Ipatajewa wskazywały na mord, to zwłok nie udało się znaleźć. Śledztwo wszczęto dopiero w styczniu 1919 roku. Dowódca „białych” na Syberii, admirał Kołczak wyznaczył do tego zadania śledczego Mikołaja Sokołowa, któremu udało się odnaleźć Uroczysko Czterech Braci i natychmiast po wiosennych roztopach zaczął przeszukiwać teren. Na leśnym dukcie wciąż były ślady furmanki i kół samochodu. W jednym z głębszych szybów natrafiono na ślady spalonych gałęzi. Jego ściany zdradzały także ślady wybuchu granatów. Z szybu wypompowano wodę

i zaczęto kopać. Znalezione tam rzeczy osobiste należące do członków carskiej rodziny i do doktora Botkina, m.in.: klamry od pasów, kolczyki, małe ikony, wojskowe czapki należące do Mikołaja i Aloszy oraz okulary. Przedmioty te zidentyfikowali obecni przy pracach dwaj nauczyciele carskich dzieci: nauczyciel francuskiego – Pierre Gilliard, oraz angielskiego – Sidney Gibbes. Znalezione także kilka nadpalonych kości, częściowo przeżartych kwasem siarkowym, który – jak stwierdzono – Jakow Jurowski nabył w dużej ilości w aptece. Były jeszcze kule rewolwerowe i smukły palec. Na końcu, na samym dnie szybu, odnaleziono rozkładające się zwłoki (nie spalone) psa Anastazji – spaniela Jemmy’ego. Sokołow doszedł do wniosku, że ciała porąbano siekierami, polano kwasem i benzyną, a następnie spalono na olbrzymich stosach. Popiół i nieliczne

kości uznano za szczątki carskiej rodziny

Wkrótce do miasta powrócili bolszewicy. Sokołow wraz ze swoimi znaleziskami dotarł do Paryża, gdzie w 1924 roku opublikował własne wnioski. Niektórzy byli wobec nich sceptyczni uważając, że nie jest możliwe spopielenie zwłok jedenaścioro ludzi. Jeśli przyjąć taką tezę, to co stało się z ciałami? Nie minęło wiele czasu, a już zaczęły powstawać legendy. Sprzyjały temu polityka dezinformacji stosowana przez bolszewików i niemożność odnalezienia zwłok. Co jakiś czas pojawiali się ludzie, zarówno w Rosji jak i w Europie, którzy twierdzili, że są ocalałymi z kaźni członkami rodziny Mikołaja II. Różne były zapewne motywy takiego postępowania. Jedni liczyli na sławę, inni na pieniądze zdeponowane na kontach rodziny cara w europejskich bankach. Długa była lista pretendentów, ale tylko jedna z osób przeszła do legendy. Znana była jako Fräulein Unbekannt (panna nieznana), Aleksandra Czajkowska, Anna Anderson (tak najczęściej ją nazywano), Anastazja Manahan i Franciszka Szanckowska.

Historia rozpoczęła się wieczorem 17 lutego 1920 roku. Dziewiętnaście miesięcy po jekaterynburgskiej masakrze, do kanału w Berlinie rzuciła się młoda kobieta.



Kobieta, którą później nazywano Anną Anderson

Zdarzenie obserwował młody policjant, który ją uratował. Umieszczono ją w szpitalu, ale pojawił się problem. Kobieta nie miała przy sobie żadnych dokumentów i odmawiała wszelkich wyjaśnień. Po zbadaniu okazało się, że nie była dziewczyną, jej ciało nosiło ślady blizn, a uzębie nie było w bardzo złym stanie. Po kilku tygodniach umieszczono ją w szpitalu psychiatrycznym. Przełom nastąpił, gdy pewnego dnia „panna nieznana”, przeglądając magazyn ilustrowany, w którym znajdowały się zdjęcia carskiej rodziny, zapytała jednej z pielęgniarek, czy nie widzi podobieństwa między nią, a najmłodszą córką cara – Anastazją. Zaskoczona pielęgniarka zauważyła, że istotnie widzi pewne podobieństwo. Wtedy pacjentka oświadczyła, że to właśnie ona jest tą dziewczyną ze zdjęcia. Ta zgola sensacyjna wiadomość wydostała się na zewnątrz i zapoczątkowała trwający całe dziesięciolecie spór osób znających niegdyś Anastazję, które potwierdzały, bądź obalały prawdziwość tych rewelacji. Rozwikłanie zagadki było tym trudniejsze, że „panna nieznana” uciekała od ewentualnych rozmówców, była kapryśna i opryskliwa i zdawało się, że wcale nie zależy jej na tym, aby za wszelką cenę utwierdzać wszystkich, iż ona to ona. Przekonywała tym swoich zwolenników, którzy nawet fakt, że

nie mówiła dobrze po rosyjsku

i robiła to z wyraźną niechęcią, potrafili wyjaśnić na jej korzyść. Tłumaczyli ten fakt traumatycznymi wspomnieniami z przeszłości, które odcisnęły silne piętno na możliwościach jej umysłu. Po opuszczeniu szpitala kobieta zamieszkała z rosyjskim baronem i jego żoną. Tam opowiedziała swoje dzieje od czasów Jakatrerynburga do momentu odnalezienia w Berlinie. Twierdziła, że gdy ciała wynoszono z piwnicy była nieprzytomna, ale nadal żyła. Zauważyć to miał jeden z żołnierzy, Polak o nazwisku Aleksander Czajkowski, który wspólnie z bratem ukrył ją w mieście. Stamtąd razem z całą rodziną swego wybaciciela po wielu miesiącach tułaczki dotarła do Rumunii. Tam okazało się, że jest w ciąży, a do gwałtu przyznał się Czajkowski. Po urodzeniu dziecka oddała dziecko matce i siostrze Czajkowskiego, a sama udała się do Berlina po rzekomą pomoc,

jaką chciała uzyskać od swojej ciotki, pruskiej księżnej Ireny. Jednak w Berlinie na myśl o tym, że księżna jej nie rozpozna, przeżyła załamanie i próbowała popełnić samobójstwo. Wersji tej jednak nie sposób było potwierdzić. Wśród strażników domu Ipatajewa nie było żadnego Czajkowskiego. Nie było też śladów Czajkowskich w Bukareszcie. Pomimo, że „Anastazja” mieszkała tam wiele miesięcy, to nie zwróciła się o pomoc do królowej Rumunii Marii – kuzynki swoich rodziców. Było to tym bardziej niezrozumiałe, że widziały się one ostatnio stosunkowo niedawno, bo w 1914 roku. Przeciwno „pannie nieznanej” świadczyło także wiele innych faktów.

Nie rozpoznała jej księżna Irena

która odwiedziła ją jeszcze w szpitalu. Przedstawiła się innym nazwiskiem i długo przypatrywała nieznanej kobiecie. Chociaż ostatnio księżna widziała Anastazję dziewięć lat wcześniej, to z całą stanowczością stwierdziła, że to nie jest żadna z jej siostrzenic. „Anastazja” zachowała się przy tym tak, że zraziła do siebie księżnę. Ukryła twarz w dłoniach i nie chciała odezwać się ani słowem. Takie zachowanie, a także humory i niegrzeczne uwagi wobec odwiedzających ją wysoko urodzonych osób, sprawiały ludziom z otoczenia panny nieznanej wiele kłopotów. Jeszcze bardziej dziwnym było złe traktowanie przez „księżniczkę” osób, które oferowały jej gościnę. Na życzenie mieszkającej w Danii ciotki Anastazji, księżnej Olgi Aleksandrowny do Berlina udał się Pierre Gilliard. Gdy wraz z żoną Szurą odwiedził „Anastazję” w szpitalu, była ona bardzo chuda i gorączkowała. Gilliard nie rozpoznał jej, ale

oboje zwrócili uwagę na stopy,

które zdały im się podobne do stóp córki Mikołaja II. Obie kobiety cierpiały bowiem na obrzęki i dotyczyło to zwłaszcza prawej stopy. Wkrótce pojawiła się w szpitalu sama księżna Olga. Ani ona jednak, ani Gilliard nie stwierdzili ostatecznie, że nieznaną kobietą jest Anastazja. Chociaż Olga była bardzo wzruszona, to z upływem czasu nabrała pewności, że to nie jest jej ukochana „Maleńka”. Według niej rysy jej bratanicy, nos, usta i oczy wyglądały zupełnie

inaczej i nie mogły się aż tak zmienić. Do opinii księżnej Olgi dołączył także Gilliard, który napisał książkę „Fałszywa Anastazja”. Panią Czajkowską określił tam jako: „wulgarną awanturnicę i znakomitą aktorkę”. Twierdzenia Gilliarda poparł inny nauczyciel carskich dzieci Gibbes: „Jeśli to ma być Anastazja, to ja jestem Chińczykiem” – zwierzył się przyjacielowi. Nie wszystko było jednak takie oczywiste i nie bez powodu to ta właśnie „Anastazja” przeszła do legendy. W 1928 roku Czajkowską odwiedził kuzyn Mikołaj, książę Andrzej, który niegdyś widywał młodą Anastazję podczas obiadów. Po dwóch dniach obserwacji nie miał żadnych wątpliwości.

„Rozpoznałem ją natychmiast – pisał do księżnej Olgi – a dalsze obserwacje jedynie potwierdziły pierwsze wrażenie. Nie mam żadnych wątpliwości. To jest Anastazja”. To samo stwierdziła młodsza od Anastazji Romanow o dwa lata jej kuzynka, księżna Ksenia. Zaprosiła ona Anastazję na sześć miesięcy do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkała z mężem i było to dla niej dość czasu, aby stwierdzić: „To ona”. Były też inne głosy i dowody. „Anastazję” odwiedziła Polka Matylda Krzesińska,

primabalerina z którą Mikołaj miał romans

w kawalerskich czasach. Krzesińska rozpoznała ją po oczach: „To był imperator. To było spojrzenie cara. Ci, którzy widzieli spojrzenie cara nigdy ich nie zapomną”. Również synowa byłego cesarza Niemiec, Cecylia dopatrywała się dużego podobieństwa Czajkowskiej zarówno do Aleksandra, jak i Mikołaja. Największym apologetą Anastazji był Gleb Botkin, młodszy syn lekarza zamordowanego owej pamiętnej nocy w Jekaterynburgu, który całkowicie poświęcił się sprawie „Anastazji” i przez całe dziesięciolecie walczył o potwierdzenie jej tożsamości. Przeciwnicy widzieli w tych działaniach chęć uszczknięcia czegoś z fortuny Romanowów. Być może także jego upór tłumaczy także wyrażenie, do którego doszło podczas pierwszego spotkania z Czajkowską. Było to w czasie jej pobytu u księżnej Kseni na Long Island w USA. Gleb był utalentowanym rysownikiem i w dzieciństwie jego karykatury zwierząt bardzo podobały się

małej Anastazji. I gdy doszło do spotkania, to zapytała właśnie o „zabawne rysunki zwierząt”. Gleb Botkin zaciekle

walczył o uznanie Anastazji przez rodzinę Romanowów

ale im bardziej o to zabiegał, tym bardziej zrażał ich do siebie. Samej natomiast Czajkowskiej z upływem lat coraz mniej zależało na udowadnianiu czegokolwiek. Szum wokół jej osoby był zawsze wystarczający. Najpierw, zamieszkując w Niemczech była wciąż w centrum uwagi, a później to samo działo się w Stanach Zjednoczonych, gdzie za sprawą Botkina zamieszkała po wojnie. Tam wyszła za mąż za jego przyjaciela mającego genealoga Johna Manahana, u boku którego żyła przez piętnaście lat. Była coraz bardziej ekscentryczna, co skończyło się nawet krótkotrwałym pobytem w szpitalu psychiatrycznym. Burzliwe życie Anastazji Manahan skończyło się 12 lutego 1984 roku, a przyczyną śmierci było zapalenie płuc. Jeszcze za życia „Anastazji”, w roku 1970 zakończył się długi proces o podział niewielkiego majątku pomiędzy niemieckich krewnych cesarowej Aleksandry. Sąd postanowił dojść prawdy, opierając się na dowodach naukowych. Te, nieoczekiwanie świadczyły za „Anastazją”. Antropolog i kryminolog Otton Reche zebrał ponad tysiąc zdjęć księżnej Anastazji i porównywał je ze zdjęciami wykonanymi Czajkowskiej. Następnie porównywał obie twarze milimetr po milimetrze i oświadczył, że: „tak znaczne podobieństwo między twarzami zachodzić może jedynie, gdy mamy do czynienia z bliźniętami lub tą samą osobą”. Zadania zbadania „Anastazji” podjęła się również znana grafolog Minna Becker. Po porównaniu ponad stu próbek pisma Anastazji z pismem Czajkowskiej stwierdziła, że nie istnieją próbki pisma dwóch różnych ludzi, które byłyby do siebie aż tak podobne. „Pani Czajkowska i księżna Anastazja to jedna i ta sama osoba” – oświadczyła pod przysięgą. Pomimo tych dowodów sąd sprawy ostatecznie nie rozstrzygnął. Była jeszcze jedna próba, przeprowadzona w latach dwudziestych. Książę pruski Zygmunt, syn księżnej Ireny, ze swojego domu w Kostaryce przesłał domniemanej Anastazji list o osiemnastoma pytaniami

dotyczącymi ich wspólnego dzieciństwa. Jak twierdził książę mogła odpowiedzieć na nie jedynie Anastazja. Po przeczytaniu odpowiedzi orzekł z całą stanowczością:

To Anastazja. Ponad wszelką wątpliwość

Czy więc rzeczywiście „świat” popełnił największy błąd, nie rozpoznając i odrzucając spadkobierczynię tronu Romanowych, i czy szansa na poznanie prawdy przepadła po śmierci Czajkowskiej? Tak. Wtedy tak to wyglądało. Każda epoka w dziedzinie odkrywania tajemnic ma swojego bohatera. Właśnie takim bohaterem był Aleksander Awdonin, chociaż nigdy się za takiego nie uważał. Urodził się na początku lat trzydziestych w Jekaterynburgu. Już w dzieciństwie pasjonowała go geologia (później został geologiem) i historia. I już wtedy zainteresował się snutymi pokątnie opowieściami o końcu carskiej rodziny. Kiedyś spotkał spacerującego po mieście Piotra Jermakowa, odwiedził też dom Ipatajewa i przeczytał wszystkie dostępne książki o Romanowach. Zaczął skrzętnie gromadzić informacje i im więcej wiedział, tym bardziej zmieniał się jego stosunek do cara kształtowany przez ówczesną ideologię. Temat ten był zakazany i większość zdobywanych informacji pochodziła z relacji ustnych. Awdonin rozmawiał między innymi z bratanicą jednego ze strażników z domu Ipatajewa, z synem jednego z mężczyzn, którzy dokonali egzekucji i Gienadijem Lisinem. Człowiek ten należał do grupy dwudziestu czterech mężczyzn, którzy pod kierownictwem samego Sokołowa przeczesywali las w pobliżu Uroczyska Czterech Braci. Lisin zaprowadził nawet Awdonina w okolice ówczesnych poszukiwań. Obaj nie znali nielegalnej w Związku Radzieckim książki Sokołowa, ale znali pozycję niejakiego Bykowa, który twierdził, że

szczątki nie zostały całkowicie spalone

i zakopano je w pewnej odległości od uroczyska w bagnistym terenie. Z upływem lat zainteresowania Awdonina stały się w Świerdłowsku (tak nazywał się teraz Jekaterynburg) powszechnie znane. Sprawę z miejsca ruszyło zdarzenie z 1976 roku. Do miasta przyjechał Gelij Riabow. Był to znany reżyser filmowy i autor powieści detek-



*Rodzina Romanowów
i Jakow Jurkowski, dowódca
ich plutonu egzekucyjnego*

tywistycznych. Jako twórca dziewięcioczęściowego serialu o przestępczości kryminalnej czasów tuż po rewolucji przyjechał do Jekaterynburga na pokaz swojego filmu. Riabow uzyskał zgodę milicji i zwiedził dom Ipatajewa. Okazało się, że dom ten odwiedzany jest dość często przez ważnych gości. Kiedy wprowadzono go do małej piwnicy, dokonała się w nim jakaś przemiana. Później wspominał, iż

odczuł wtedy grozę tamtej nocy

i zrozumiał, że to co się wtedy stało nie było bohaterским czynem rewolucjonistów, tylko okrutnym mordem. Przyszedł tam z ciekawości, a wyszedł z poczuciem misji do spełnienia. Nie dawała mu spokoju myśl o tym, co stało się z ciałami pomordowanych. Postanowił wyjaśnić tę ostatnią zagadkę Romanowów. Dlatego zapytał szefa miejscowej policji, kto dysponuje informacjami na ten temat. I tak dotarł do Awdonie-wa. Ten przez dłuższy czas był wobec niego nieufny, ale gdy już lody zostały przełamane, obaj postanowili rozwiązać zagadkę zaginionych ciał.

Praca ta była ryzykowna. To właśnie w tym okresie zburzono dom Ipatajewa, gdyż stał się miejscem pielgrzymek. Awdonin bał się ingerencji KGB, ale Riabow wziął to na siebie. Pracował dla ministra spraw wewnętrz-



nych i obiecał pomoc w razie ewentualnego niebezpieczeństwa. Od swojego zwierzchnika uzyskał także przepustkę do tajnych archiwów. Zdobył ją pod pretekstem kontynuowania prac nad dalszymi częściami filmu o milicji. W ten sposób zdobył książkę Sokołowa i już wkrótce z Awdoninem studio-wali jej treść. Dowiedzieli się, że zwłoki gdzieś wywieziono. Ale dokąd? I raptem znaleźli trop. Zapewne wpadł nań lepszy od Sokołowa śledczy – Riabow. W książce zamieszczono zdjęcie zrobione w czasie śledztwa w 1919 roku. Przedstawiało ono kładkę zrobioną ze świeżo ściętych drewnianych bali i podkładów kolejowych, ułożoną na drodze prowadzącej do wsi Kopiałki. Sokołow wytłumaczył też

dłaczego ją ułożono. Dwa dni po egzekucji w Jekaterynburgu w nocy jechała tędy ciężarówka. Do mieszkającego w tamtych okolicach dróżnika, niedaleko torów kolejowych, zastukali nieznani mężczyźni z prośbą o podkłady kolejowe. Poinformowali go, iż potrzebują ich do ułożenia na drodze ponieważ ich samochód utknął w błocie. Działo się to o czwartej trzydzięci nad ranem. Do garażu natomiast ciężarówka powróciła o godzinie dziewiątej. Kopiałki od Jekaterynburga dzieli pół godziny drogi. Te właśnie brakujące godziny przeoczył Sokołow....

Dokończenie w następnym numerze

*Artur Marino
Fot. archiwum*

Niepokojąco szybko maleją w Trójmieście tereny godne poszukiwaczy. Mimo to można czasem trafić na wspaniałe znalezisko, takie jak bursztyn wielkości męskiej pięści



Bastion Żubr był niegdyś miejskim wysypiskiem śmieci

Wykopki nad Motławą

Burzliwa historia Gdańska sprawiła, że tuż pod powierzchnią ziemi zalegają skarby pochodzące z XVIII i XIX wieku. Monety, guziki, klamki, plomby towarowe, kule armatnie i muskietowe naparstki, to jedna z wielu ciekawostek, jakie można znaleźć. Najbardziej popularnym miejscem poszukiwań jest opływ rzeki Motławy. Znajduje się tam szereg bastionów będących niegdyś miejskim wysypiskiem śmieci. Dzięki temu przez kilkaset lat ziemia chłoneła różne cuda, a teraz zaczęła je oddawać.

Po deszczu, podczas spaceru, można zbierać sporą kolekcję fragmentów ceramiki i szkła, oraz bardzo ciekawych, glinianych fajeczek. Pewnego dnia, w tej na ogół spokojnej okolicy rozpoczęły się prace ziemne, które wywołały prawdziwą „gorączkę skarbów”. Szybko po Trójmieście rozeszły się legendy o znajdowanych przez robotników monetach, szablach i muskietach. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. W rezultacie cała bracia eksploracyjna popędziła taplać się w błocie. Mnie też tam nie zabrakło. Uzbrojony w detektor metali i łopatę, obserwowałem każdą kupę szlamu, którą koparka wydobywała na brzeg. Thusta, cuchnąca

maź, była nafaszerowana ogromną ilością śmieci, co skutecznie utrudniało prace z wykrywaczem. Mimo to, co pewien czas wykopywało się jakieś ciekawostki. Z monet najczęściej trafiały się gdańskie, toruńskie i elbląskie solidy z XVIII w. Poza nimi

znajdowałem wiele plomb ołowianych

z których najstarsza pochodziła z 1679 r. Robotnicy ze zdziwieniem patrzyli na buszującą ekipę, po łokcie utaplaną w błocie.

- Czego wy tu szukacie?
- pytali. – Tutaj niczego nie ma. Ubrudziliście się tylko i meszki was pogryzą!



Pociski armatnie z XIX w. wydłubane ze stoków fortyfikacji

My jednak wiedzieliśmy swoje, toteż nie straszny był nam brud i fruwające natręty. Podczas poszukiwań, znajomy dostał od operatora pogłębiarki dobrze zachowany toporek z długim, smukłym ostrzem. Była to jedyna, znana mi „kropelka” z „morza” arsenału szabel i muskietów, który rzekomo odkrywali robotnicy. Cały szlam spycharki usypywały w większe stopy. Na jednej takiej górze znalazłem kilka plomb i miedzianych guzików, srebrny zegarek, oraz mosiężne okucie głowicy z kabłąkiem spustowym pistoletu skałkowego. Obie części miały ślady drewna i leżały w odległości 1 metra od siebie. Byłem pewien, że gdzieś w pobliżu znajduje się reszta pistoletu, jednak nie udało mi się jej odnaleźć. Po takich błotnych górkach, chodził sobie gość, który zbierał połamane cybuszki i główki fajek. Cały jego sprzęt poszukiwawczy składał się z kawałka patyka. Przy jego pomocy wygrzebał z mułu dużą, srebrną monetę. Trzeba było zobaczyć radość w oczach tego szczęściarza, aby zrozumieć jak wiele znaczy znalezisko dla poszukiwacza. Podczas prac, jedna z koparek mocniej „ugryzła” brzeg kanału, odkrywając jasnobrązową warstwę ziemi. Był to wał grubości ok. 70 cm, w którym było wiele muszli. W tej ziemi udało mi się znaleźć coś, co przypominało strzęp kolczugi złożonej z bardzo małych, miedzianych kółeczek. Oprócz tego wykopałem słabo zachowanego szeląga koronnego z XV w. Niestety, musiałem opuścić to miejsce, ponieważ stróż pilnujący tego terenu zaczął na mnie burczeć. A szkoda, bo niewiele jest miejsc, gdzie można jeszcze wybrać się „na skarby”. Wystarczy skonfrontować stare mapy z nowymi, aby się

Dokończenie na str. 42

Pod kilkoma warstwami farby i tynku ukazała się cegła szamotowa z napisem „ZŁOTO”, a za nią jeszcze jedna cegła i kanalik wypełniony resztkami dziwnych papierów

Sekret

*Zbigniew Rekuć
z Adamem Gawronem
wyciągają znalezisko
z szybu wentylacyjnego*

petersburskiego fabrykanta

Zespół Koła Podziemnej Architektury Obronnej Oddziału Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji rozpoczął prace badawcze w nieznanych częściach Fortu Włodzimierz. Obiekt ten, znany również jako Fortu Legionów (nazwa używana po 1918 r.), obecnie własność warszawskich restauratorów, został wzniesiony w latach 1851-1853 przez Rosjan na południowym przedpolu Cytadeli Warszawskiej. Jego zadaniem

była osłona Cytadeli od strony Nowego Miasta oraz obrona sezonowego mostu wojskowego na Wiśle. Ma on mocno rozbudowany system podziemi.

W otaczającym go parku, co pewien czas, przeważnie na wiosnę tworzą się głębokie leje w ziemi, stwarzając zagrożenie dla spacerowiczów. Ziemia wypłukiwana przez wodę i zalegająca

w tunelach powoduje niebezpieczeństwo powstawania zapadlisk. W 2000 r. wojsko sprzedało fort w złym stanie technicznym – bez instalacji elektrycznej, z zalanymi podziemiami i zasypanymi prawie

pod strop grubą warstwą śmieci i gruzu. Wentylacja z poziomu 2 została zamurowana prawdopodobnie jeszcze przez wojsko polskie w 1920 r. Duże zawilgocenie podziemnej działobitni skłoniło mnie do poszukania zatkniętej gdzieś na koronie fortu wentylacji. Początkowo nasz archeolog wstawił kamerę wideo z lampą podświetlającą do otworów wentylacyjnych na poziomie 2. Na ekranie wyświetlacza kamery ukazał

się obraz oglądany po raz pierwszy od czasu zbudowania tego kanału. Korytarz ten, początkowo o przekroju prostokątnym, zwężał się w górnej części i przechodził w okrągłą rurę. Niestety światło kamery nie sięgało do końca kanału i trudno było określić czy jest zawalony, czy też został wybudowany w kształcie litery L. Zmierzyliśmy posadowienie otworów wentylacyjnych na poziomie 2. i przenieśliśmy się z poszukiwaniami na poziom 0. Uznawszy, że kanał powinien znajdować się w filarze na parterze i zapewne ma ujście na koronie fortu, przystąpiłem do wykupu sondażowego. Niestety, okazało się, że w wyznaczanym przez nas miejscu na koronie fortu nie ma śladów cegieł z rozbitego kanału wentylacyjnego.

Postanowiliśmy wykonać próbę zadymienia otworów wentylacyjnych na poziomie 2. Koledzy nie zauważyli jednak wydobywającego się dymu z rozbitych kanałów wentylacyjnych korony fortu. Postanowiliśmy zatem bliżej przyjrzeć się filarowi, w którym powinien być nasz kanalik. Według naszych pomiarów kanalik powinien się znajdować

Dokończenie na str. 42



FOT. ZBIGNIEW REKUĆ

Wlot do szybu wentylacyjnego, w którym odnaleziono pamiątki po fabrykancie i fragment odkrytej wizytówki

Dokończenie ze str. 40

przekonać jak niewiele pozostało miejsc do poszukiwań. Tam, gdzie uda nam się wepchnąć z wykrywaczem, przywitają nas me-nel i narkomani, albo trafiamy na „kapselkowe pole”. Mimo to, warto się trochę pomęczyć na stokach fortów Grodziska i Biskupiej Górki. Przy pomocy wykrywacza z dużą cewką, można czasem trafić na kulę armatnią. Zalegają one na głębokości ok. 1 metra. Te, które leżały płycej już dawno zostały wykopane.

Najpopularniejsze w Gdańsku są 12 i 24-funtowe kule pełne, oraz granaty kal. 6 1/3 cala. Największym, jaki znalazłem, był granat móżdżerzowy kal. 20 cali. Transport takiej landary do domu nie należał do najprzyjemniejszych. Z drobnicy zawsze można uzbierać trochę kulek muskietowych. Ich zróżnicowany kaliber i kształt, pozwala na skompletowanie ciekawej kolekcji. Wśród miejsc do eksploracji, na uwagę zasługują również pobliskie pola. Jesień jest najlepszą porą do poszukiwań w tym terenie. Oprócz wykrywacza i łopaty, warto zabrać ze sobą dwa piwa dla podejrzanego rolnika. Taka łapówka może oszczędzić nam wielu kłopotów. Inwestycja może się opłacić, bo znaleźć można wiele. Trafiają się ładne monety, których stan znacznie pogorszyła chemia, czyli nagminnie stosowanie nawozów sztucznych.

Ziemia, przy stosunkowo małym procencie zaśmiecania, kryje najróżniejsze sprzączki, klamerki, guziki, narzędzia i przedmioty codziennego użytku. W odpowiednich miej-

scach można odkryć pamiątki bitew napoleońskich z lat 1807 i 1813. Ostatnio w świeżo zaoranym gruncie

znalazłem 12-funtową kulę armatnią

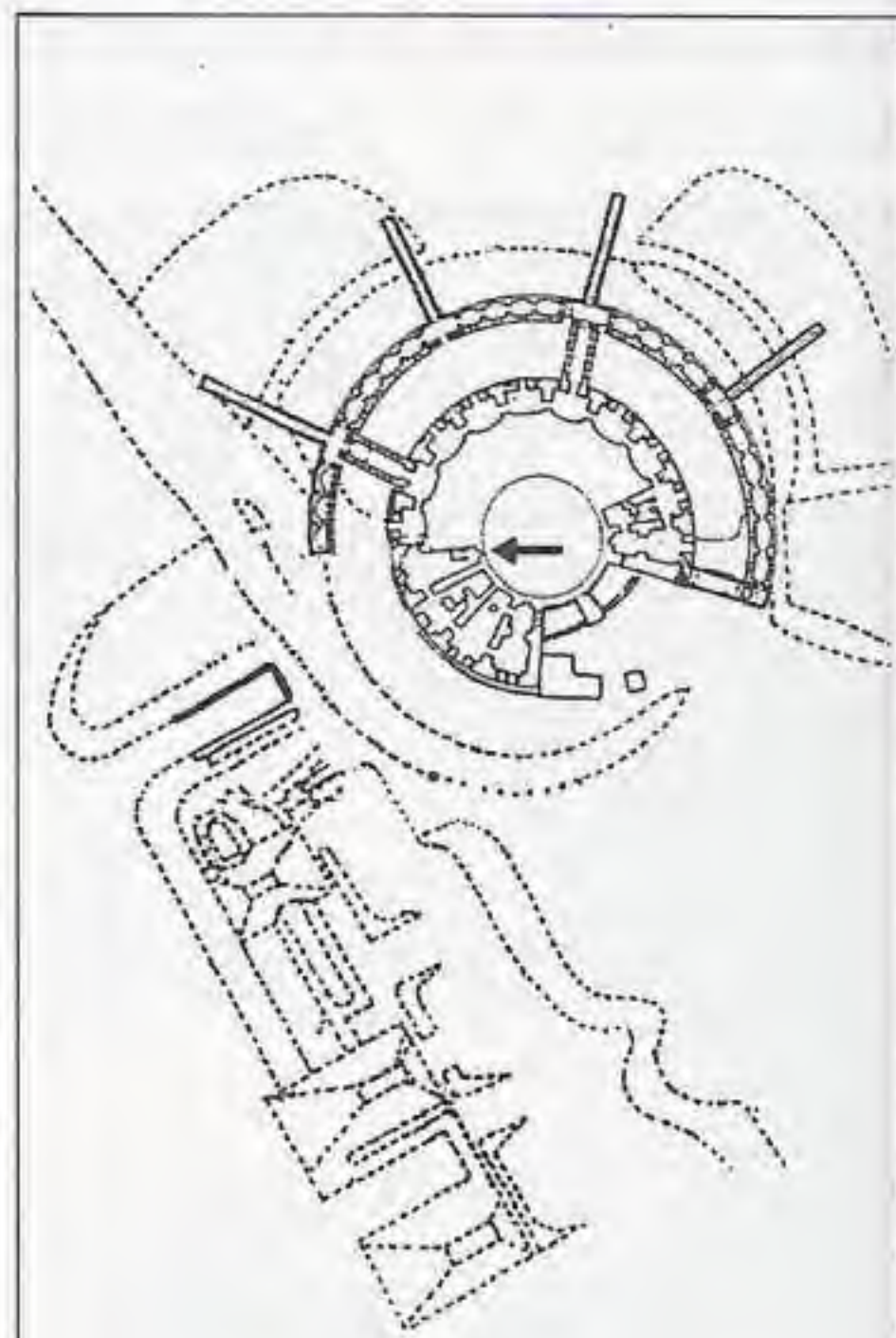
i buteleczkę ze „szkła rwanego”. Taka butelka charakteryzuje się tym, że w denku ma wgłębienie z chropowatym, „oderwanym” kawałkiem szkła. Tego rodzaju wyroby są dosyć rzadkie, dlatego warto na nie zwrócić uwagę. Podczas potwornej jesiennej zawieruchy, wybrałem się z kolegą Piotrkim, na pola za Orunią. Pogoda w ciągu kilku chwil znacznie się pogorszyła i zaczął padać grad ze śniegiem. Mimo wielkiego zapału eksploracyjnego, udało nam się wytrzymać w terenie zaledwie pół godziny. Jednak w tym czasie znalazłem herbową pieczęć laskową z XVIII w. I szelągą krzyżackiego. Za to Piotrek swoim sokolim wzrokiem wypatrzył bryłę bursztynu wielkości pięści. Niestety, takie znaleziska na gdańskich terenach to już rzadkość. Najciekawsze bastiony (Gertruda, Żubr, Wilk i Wyskok) zostały wypiełgowane i obsiane trawą, a reszta opływu czeka na swoją kolej. Straż miejska krzywo się na nas patrzy, a archeologom, gdy nas widzą nóż się w kieszeni otwiera. Ogromna część interesującego obszaru została zabudowana, resztę czeka podobny los. Mimo tych niedogodności, udaje się czasami rozpruć kasę najstarszego banku świata – banku ziemnego. Nie jest to zadanie łatwe, ale właśnie wysiłek i trud sprawiają, że sukces nabiera prawdziwego smaku.

Tekst i zdjęcia Remigiusz Pacer



Skarby znalezione w rejonie opływu Motławy

Dokończenie ze str. 41



Miejsce, w którym odnaleziono skarb

w centrum filaru. Zaopatrzywszy się w młotek rozpocząłem powolne opukiwanie filaru. W odległości 30 cm nad posadzką cegła wydała głuchy odgłos. Rozpoczęliśmy odkuwanie otworu. Najnowsza elewacja w tym miejscu była warstwą imitującą stary klasztor. Była to dekoracja wykorzystana podczas kręcenia filmu fabularnego o Chopinie. Pod kilkoma warstwami farby i tynku ukazała się cegła szamotowa z napisem „ZŁOTO”, a za nią jeszcze jedna cegła i 140 cm kanał. W środku kanałika zainteresowały nas fragmenty papieru. Okazało się, że są to resztki papierosów, pudełka zapalek i dobrze zachowanej wizytówki: „Tabacznij fabrikant A. N. Szaposznikow W. S. Peterburk”. Natychmiast rodzi się pytanie, czy pan Szaposznikow schował to celowo w kanałiku na dowód, że sam lub jego firma byli zaangażowani w budowę fortu? A może jakiś robotnik zapomniał i zostawił podczas budowy kanałiku swoją machorkę z biletem wizytowym Szaposznikowa? Ale po co budować kanałik biegnący znikąd donikąd? Być może służył do założenia miny w przypadku decyzji o wysadzeniu fortu. Niestety, na razie nie znalazłem właściwego kanału wentylacyjnego z poziomu 2. Może Czytelnicy „Odkrywcy” pomogą mi rozwiązać tę zagadkę historyczną. Odnaleziony skarbczyk eksponowany będzie w pomieszczeniach podziemnej trasy turystycznej adaptowanej w Forcie Władimir (Legionów).

Zbigniew Rekuć

ABC początkującego eksploratora



Nurek na tropie

Bieganie z wykrywaczem po lesie w upalne, letnie dni, gdy pot zalewa czoło nie jest chyba najlepszym pomysłem. Dużo przyjemniej zakotwiczyć się nad jakąś wodą, w której zawsze można znaleźć wytchnienie. Tylko, że takie lenistwo szybko może wyjść boki, a przecież wody wszelakie od dawien dawna skrywały różnorakie skarby i tajemnice. Korci człowieka, żeby się do nich dobrać, do tych wszystkich zatopionych skrzyń, czołgów i innych tajemniczych przedmiotów. Pytanie tylko jak to zrobić?

Okazuje się, że sam czas i chęci do poszukiwania skarbów pod wodą, nie wystarczą. Chyba najważniejszym, a na pewno jednym z istotniejszych elementów jest tutaj zebranie maksymalnie dużo informacji o miejscu naszych poszukiwań. Polskie wody są wyjątkowo trudne. Muł, piach, słaba widoczność mogą być powodem wielu nieprzyjemnych sytuacji nawet dla wytrawnego nurka, a co dopiero dla nas, laików. Dlatego dokładne

przestudiowanie map topograficznych

wywiady, ustalenie okoliczności, w jaki sposób nasze skarby znalazły się pod wodą, a także zapoznanie się z historią danego miejsca i sprawdzenie realności zebranych przez nas informacji, wydaje się być niezbędnym elementem. Im więcej wiemy, dokładniej znamy miejsce, tym bardziej prawdopodobne, że będą trafienia.

Generalnie lato nie jest dobrym okresem na eksplorację podwodną. Słabą widoczność potęgują jeszcze rozmnażające się glony i plankton. Jeśli jednak nie możemy czekać do późnej jesieni lub wczesnej wiosny, musimy wiedzieć, że flora i fauna nie będzie naszym sprzymierzeńcem. Na podstawie zebranych informacji i fachowych porad od przyjaciół i znajomych, eksplorację podwodną podzieliłam na trzy grupy.

Pierwsza to brodzenie w płytkich wodach i przy brzegu, druga to

nurkowanie w jeziorach i stawach

gdzie nieodłącznym kompanem powinien być ktoś z ekipy płetwonurków, a trzecia to nurkowanie w głębinach morskich.

O tej ostatniej niewiele mogę powiedzieć. Prawdę mówiąc te wszystkie fachowe urządzenia, cała technika, umiejętności, doświadczenie, no i oczywiście

koszty przygotowania takiej ekspedycji trochę mnie przerastają. Zostawiam więc to dla profesjonalistów, którzy wiedzą, „z czym to wszystko się je”. Natomiast brodzenie w wodzie po pas nie wymaga dużego wysiłku, ani też wydawania jakiejś niebotycznej sumy na sprzęt. Każda z szanujących się firm produkujących wykrywacze, ma w swojej ofercie również detektory wodoodporne. Są to specjalistyczne przyrządy uszczelnione, którymi w zależności od klasy i ceny można pracować na różnych głębokościach: od 1 metra zanurzenia (cewka+drażek, nie wyżej jednak niż do puszki), aż do pełnego i głębokiego nurkowania z całym sprzętem. Niekoniecznie trzeba kupować cały nowy wykrywacz. Warto przejrzeć oferty firm, gdyż okazać się może, że nasz stary wykrywacz Smentkowskiego, Garrett-a, White's-a, Nowaka, czy Fisher-a po pewnych modyfikacjach, zakupie nowych elementów, wymianie cewki, może

stać się sprzętem, którego potrzebujemy do podwodnych poszukiwań. Można także spróbować

zbudować własny wodoszczelny wykrywacz

ale poza znajomością techniki i praw fizyki, trzeba mieć dużo doświadczenia w pracy na tym sprzęcie. Przyznaję, że tego nie potrafię zrobić.

Wyobraźnia podpowiada jeszcze wiele innych rozwiązań poszukiwania na płyciźnie. Jednym z nich jest tak zwane „czesanie dna”. Tradycyjny długi kij od szczotki z zamontowanym na końcu czymś w rodzaju grabi może być narzędziem do szukania różnych przedmiotów na dnie jeziora. Jest to mozolna i ciężka praca, wymagająca wiele cierpliwości i pokory. Ale to szukanie na „chybił trafił” niesie za sobą mnóstwo działań destrukcyjnych. Poza tym, że liczba trafień jest niewielka, niszczy takim sposobem ekosystem czasami budowany przez lata. I tak, grabiąc dno nasza kolekcja wzbogaca się o konary drzew, gałęzie, stare puszki, śmieci, a także o rośliny, kamienie, skorupiaki i zniszczone tarliska. Szukanie na głębszej wodzie wymaga od nas patentu nurka, albo przynajmniej towarzystwa ekipy nurkującej. W grę wchodzi tu profesjonalny sprzęt i ludzie. Sama

umiejętność pływania nie wystarczy

Każde poszukiwanie podwodne – nawet, to na najpłytszych wodach – niesie za sobą wiele niebezpieczeństw. Nigdy nie powinniśmy tego robić same, i nigdy nie powinniśmy do tego

podchodzić brawurowo. Nie wiemy przecież tak do końca, co znajdziemy i co może się stać. Dlatego doświadczeni kompani naszych eksploracji są niezbędni.

Na większym akwenie problem stanowi nie tylko namierzenie naszego skarbu, ale także wyciągnięcie go z dna. I tu także jest kilka rozwiązań, chociaż nie ukrywam, że nie tanich. Jedną z tańszych i praktykowanych metod – jest metoda trałowania. Polega na ciągnięciu po dnie liny przywiązanej do dwóch płynących (koniecznie w jednym kierunku) łódek. Od czasu do czasu lina zaczepia o coś i wtedy należy sprawdzić, o co. Jest to metoda trochę podobna w swojej formie do „czesania dna”, równie długotrwała i pożerająca wszelkie pokłady naszej cierpliwości. Innym sposobem jest użycie sonaru. Jest to urządzenie do wykrywania i określania położenia obiektów pod wodą. Działa ono na zasadzie emitowania fal dźwiękowych i ultradźwiękowych, które wysyłane przez sonar trafiają na przeszkodę i odbite powracają do urządzenia. Na podstawie czasu i wielkości powracającej fali dźwiękowej, można odczytać odległość, wielkość, a często i rodzaj przeszkody. I tu także warto by było poczytać oferty firm sprzedających sonary, żeby zorientować się w cenie i rodzajach tego sprzętu. Innym urządzeniem do pomiarów jest magnetometr –

bada on pole magnetyczne ziemi

Jest to uniwersalny sprzęt, łączący w sobie detektor do poszukiwań przed-

miotów ferromagnetycznych oraz lokalizator elektromagnetyczny do wytyczania tras instalacji podziemnych. Jeśli w polu działania magnetometru znajdzie się duża masa żelazna, na pewno nam to pokaże. Jest to o tyle dobre urządzenie, że nie reaguje na małe przedmioty, jak np. puszki. W przypadku magnetometru głębokość poszukiwań nie ma znaczenia. Musi jednak znaleźć się ktoś, kto będzie umiał go obsługiwać i znał się na tabelach i przelicznikach, bo inaczej nici z naszych odkryć. Kiedy w taki, czy inny sposób uda nam się namierzyć przedmiot godny uwagi, trzeba go wyciągnąć. Jeśli to będzie mały przedmiot leżący płytko w mule, sami sobie damy z tym radę. Jeżeli znaleźliśmy coś dużego na dużej głębokości, to najlepiej by było, żeby zajęła się tym profesjonalna ekipa płetwonurków, lub osoby doświadczone.

Możemy także spróbować podnieść coś z dna za pomocą magnesu (można go kupić np. w Gdańsku). Taki niewielkich rozmiarów magnes, który kosztuje około 150 zł i waży zaledwie 0,5 kg, jest w stanie udźwignąć około 80 kg – oczywiście przy idealnym ułożeniu i czystej powierzchni podnoszonego przedmiotu. Niestety, w praktyce wygląda to nieco inaczej. Muł, rdza i niewłaściwe ułożenie magnesu znacznie zmniejszają jego siłę udźwigu, zdarza się również, że w ogóle

nie uda się wyciągnąć naszego skarbu

Przy stosunkowo małych zbiornikach wodnych można jeszcze spróbować wypompować trochę wody, aby obniżyć lustro i ułatwić sobie wydobywanie przedmiotu. Cóż, powiedzmy sobie jasno – złotego środka nie ma. Jak w każdych eksploracjach musimy uzbroić się w cierpliwość i w wiedzę. Nie róbmy niczego pochopnie, szybko i bezmyślnie, bo może to przynieść więcej szkód niż zysków.

Ja po wielu przemyśleniach postanowiłam, że będę na wakacjach szukać monet na plaży – to jest też ciekawe i trochę mniej skomplikowane, choć wymaga równie dużo spostrzegawczości, cierpliwości, pokory i zwracania uwagi na szczegóły.

Blondynka

Zdjęcia: archiwum magazynu „Nurkowanie” i Patryk Petryczkiewicz

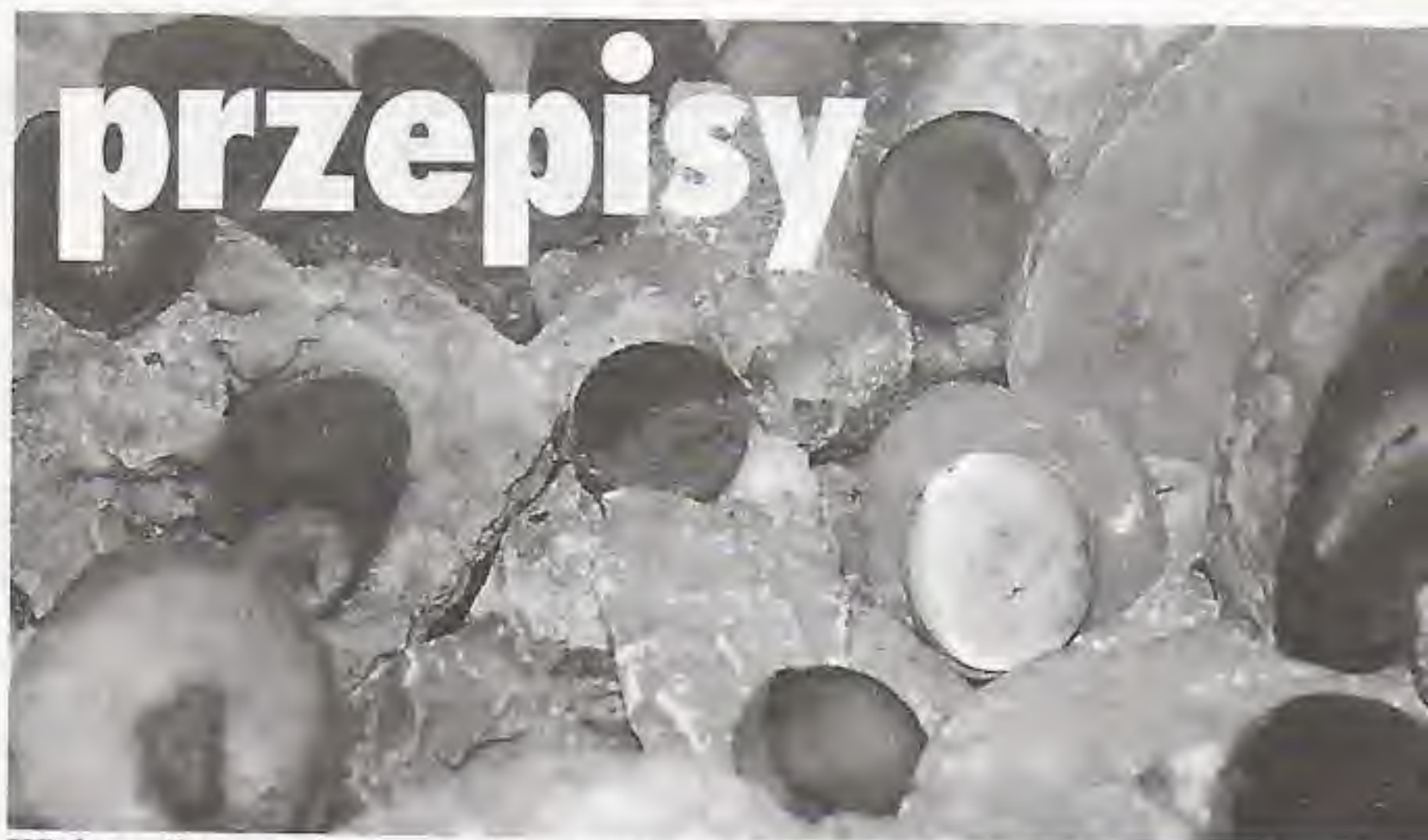


Szukanie na głębszej wodzie wymaga nas patentu nurka, albo przynajmniej towarzystwa ekipy nurkującej

Dziękuję serdecznie Panu Jackowi Franasikowi, Jerzemu Cerze, Wojtkowi Stojakowi, Jackowi Duszczałowi oraz przyjaciołom Sylwowi Wójtowiczowi i Patrykowi Petryczkiewiczowi za udzielenie cennych rad, i okazanie wielkiej cierpliwości w moich dociekaniach.

Kamienne przepisy

Jest ich kilka tysięcy. Łączy ich jedno – zauroczenie kamieniami. Zbierają agaty, ametysty, kryształy, chryzoprazy, serpentynity, a nawet skamienieliny – amonity. Kolekcjonerzy minerałów każdą wolną chwilę poświęcają na wyjazdy w teren, na poszukiwania kolejnych egzemplarzy do swoich kolekcji.



Wiele unikatowych egzemplarzy można oglądać na giełdach i wystawach
Fot. Maciej Kulczyński

To hobby wymaga niemałej siły. Niezbędny sprzęt do poszukiwań – młotki, przecina-ki, waży od kilkunastu do kilkudziesięciu kilogramów. Wymaga też znajomości prawa, ponieważ nie wszędzie wolno szukać i nie zawsze to, co się znajdzie prawnie należy do zbieracza. Zbieracze są w podobnej sytuacji jak detektoryści. Waga problemu podobna, bo nowe prawo geologiczne nie zawiera przepisów wykonawczych i zbieracz nie ma do końca pewności, czy działa legalnie. Poprosiliśmy kilku naukowców zajmujących się minerałami oraz samych kolekcjonerów o wskazówki jak szukać, aby było to legalne.

Dr Jan Żymełka

Wydział Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego

Gemmologią zajmuję się już sporo lat. Niestety, u nas prawne kwestie zbieractwa są nieuregulowane ze względu na własności gruntowe. Ziemia często należy do lasów państwowych i jakkolwiek przedsiębiorca górniczy, gdyby chciał uzyskać koncesję na wydobywanie kamieni ozdobnych nie otrzymałby takiego pozwolenia. Jeżeli chodzi o drobnych poszukiwaczy, to podniesienie kamienia z pola, czy z dna rzeki nie jest karalne. Natomiast żeby zbierać legalnie, to trzeba zbierać tak, aby nie dewastować przyrody wokoło. Jeśli dokonuje się poszukiwań, to po zakończeniu należy zasypać tę dziurę, zrównać z terenem, i przykryć glebą i trawą. Ale często jest tak, że poszukiwacz szuka na ślepo. I potem jest tak zdenerwowany, bo wykopał dziurę wielkości grobu i tam nic nie było, że opuszcza ten teren z wściekłością, co jest dużym błędem, bo właściciel gruntu, widząc coś takiego zaczyna tępić potencjalnych następnych zbieraczy. Uważam jednak, że prawo regulujące te kwestie jest dobre, bo nie przeszkadza poszukiwaczom. Ale każdy, kto chce szukać, powinien przeczytać prawo geologiczne i nowo wydane prawo o ochronie przyrody, gdzie wyraźnie jest powiedziane, co można, a czego nie można. Na pewno jednak



przy okazji poszukiwania trzeba przestrzegać przepisów dotyczących ochrony przyrody.

Prof. Janusz Skoczylas

Instytut Geologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Jest takie powiedzenie, że istnieje geologia poszukiwawcza i geologia znajdująca. Ale poważnie, na całym świecie jest to tak urządzone, że istnieją biura koncesji. Gdy wydadzą odpowiednie zezwolenie, to wówczas można sobie legalnie chodzić i zbierać. U nas też jest takie biuro w ministerstwie ochrony środowiska, bo nowe prawo geologiczne usiłuje te kwestie porządkować, ale niestety nie ma przepisów wykonawczych. To jest problem trudny, ponieważ tam, gdzie jest prawo własności, tam są zawsze problemy. Moim zdaniem drobni zbieracze mogą zbierać. Natomiast, jeśli to miałyby przybrać formę zawodu, czy zakładu przemysłowego to radziłbym zwrócić się do biura koncesji.



Jacek Jarzyński

geolog, kolekcjoner kryształów z Krakowa

Szukam przede wszystkim w kamieniołomach, czynnych oczywiście, w jakichś naturalnych odsłonięciach w terenie. Jak szukać, to tylko za zgodą właściciela terenu – np. dyrektora kamieniołomu, czy prywatnej posesji. Nigdy nie próbowałem zbierać bez uzyskania takiej zgody. Owszem, zdarzały się sytuacje, gdy chodziłem po polach nie wiedząc, kto jest ich właścicielem zbierałem agaty. Ale to były wyjątkowe sytuacje. Zawsze, podkreślam zawsze uzyskuję zgodę właściciela. To jest wbrew pozorom bardzo dobre, bo nie muszę się martwić jakimiś ewentualnymi nieprzyjemnościami i mogę poświęcić się wyłącznie szukaniu.



Wacław Sieradzki

kolekcjoner ze Złotoryi

Prawo geologiczne pozwala szukać do 50 cm w głąb ziemi. No, może to nie dotyczyć złóż będących jakimimiś egzemplarzami zabytkowymi. Są też miejsca takie jak parki narodowe, gdzie nie wolno zbierać. Jednak najbezpieczniej i legalnie można zbierać po polach, oczywiście jeżeli właściciel się nie sprzeciwia. Nie wolno też kopać głębokich dołów i szukać w prywatnych kamieniołomach bez zgody właściciela. Ale tak naprawdę uważam, że kwestia prawna nie została uregulowana, bo jak można sprawdzić, że wykopałem przepisowy dół? Kopie się też na dzikich polach, gdzie nie ma właściciela, albo nie ma kontroli. Ale to zawsze jest jakieś ryzyko.



Stanisław Michalski

kolekcjoner z Lwówka Śląskiego

Prawo geologiczne zezwala szukać do głębokości pół metra, kamienie znalezione głębiej należą już do państwa. Ja sam znalazłem wiele agatów i kwarców do tej wyznaczonej granicy. Szuka się też w starych łomach i za pozwoleniem władz w kamieniołomach. Ale tak naprawdę zbiera się coraz gorzej, bo ze wszystkich miejsc jesteśmy przeganiani. Jak nie nadleśnictwo, to dyrekcja kamieniołomów, czy kopalni nas goni i nie mamy już dostępu do wielu miejsc, mimo że kamienie tam są niszczone. Wygląda na to, że właściciele terenów wolą zniszczyć, przemilić niż pozwolić na szukanie. Legalnie szukać można teraz tylko na polach i po potokach. Oczywiście są też inne sposoby, ale to już zupełnie inna historia.



Tekst i zdjęcia Monika Filipowska

Na kłopoty mitsubishi

To firma, która kojarzy się czytelnikom „Odkrywcy” raczej z myśliwcami typu Mitsubishi Zero czyniącymi spustoszenie wśród sił amerykańskich na Dalekim Wschodzie. Jednak oprócz samolotów i innych części uzbrojenia Mitsubishi produkowało również pojazdy militarne.

Po kapitulacji Japonii fabryki musiały przestawić się na produkcję cywilną. Rozpoczęto budowę samochodów, lokomotyw, całej masy sprzętu ciężkiego oraz, w połowie lat sześćdziesiątych, elektroniki. W całym tym asortymencie znalazło się miejsce na budowę pojazdów terenowych opartych na popularnym w tym czasie Willysie. Były to małe, lecz bardzo sprawne autka o nazwie Mitsubishi Jeep. W te pojazdy zaopatrywane były nie tylko siły zbrojne Japonii, ale także prawie całego Dalekiego Wschodu. Uwagę naszą skupimy jednak na pojazdach znanych w Polsce. Przede wszystkim Pajero – w różnych częściach świata nazywane Shogun lub Montero. Jest to klasyczny pojazd terenowy z dołączanym przednim napędem i możliwością zredukowania prędkości mniej więcej o połowę. W masowej produkcji od początku roku 1983 w właściwie nie zmienionej wersji do roku 1991. W tym też roku opracowano nowy model nadwozia, pozostawiając klasyczną dla samochodu terenowego bryłę. Zaokrąglone kształty znacznie zmniejszyły szum powietrza przy szybkiej jeździe. Poprawiono znacznie dość surowe w starszych wersjach wnętrze. Zawieszenie, jak i zespół napędowy pozostał właściwie bez zmian. Sprawdzony, dość wytrzymały i zapewniający niezły komfort podróżowania, uznano w firmie za dostatecznie nowoczesny do dalszej produkcji. Drobne zmiany, to jest dołożenie chłodnicy powietrza oraz zmiany konstrukcji silnika zwiększyły nieco moc, lecz nie stały się znaczącym konkurentem dla innych pojazdów tej klasy. Z tego powodu w roku 1997 wprowadzono nową, rozwiniętą wersję silnika. Miał on 2,8 litra pojemności i dużo więcej mocy. Charakteryzował się niestety, tak jak poprzednik skomplikowaną budową, awaryjnością oraz brzydkim, podobnym do starych modeli diesla odgłosem pracy. Ogólnie Mitsubishi Pajero to pojazd, który ma dość awaryjną konstrukcję przedniego zawieszenia, gdzie elementem sprężystym jest drążek skrętny, a w wahaczach duże ilości elementów ruchomych zmuszają do częstych wizyt w serwisach. Ten typ zawieszenia ma jednak pewne zalety – główna to uzyskanie dużej sprężystości, a co za

tym idzie komfortu podróżowania w niezbyt trudnym terenie. W ciężkim terenie brakuje natomiast skoku zawieszenia, co ogranicza własności terenowe tego samochodu. Mitsubishi, jak i konkurencja, czyli Nissan i Toyota produkuje samochody z dwoma rozstawami osi oraz z różną ilością drzwi. Oczywiście jest, że sprawniejsze w terenie są auta dwudrzwiowe, lecz praktyczniejsze – czterodrzwiowe. Ogromna produkcja tej firmy zmusiła ją do agresywnej reklamy swoich wyrobów, i tu sport stał się motorem sprzedaży wyrobów firmy. Największe rajdy terenowe świata takie jak Paryż – Dakar, Rajd Atlasu, Rajd Faraonów, czy Australian Trophy są bar-

Dlatego wszystko myślę, że zwycięstwa w rajdach w ogóle nie mają przełożenia na jakość i niezawodność samochodów sprzedawanych w salonach. Bez wątpienia rajdy to ogromny i wspaniały poligon doświadczalny. Ale tylko niewielki procent tych doświadczeń trafia do masowej produkcji. Samochody terenowe Mitsubishi wyposażone były i są do tej pory w silniki benzynowe o pojemności 2,4, 3,0 i 3,5 l. Z powodu dość dużej masy auta, w praktyce okazało się, że pojazdy z większym silnikiem paliły mniej pali-



Hyundai Galopper rodem z Korei powstał na bazie Pajero w wersji z początku lat 90

dzo mocno obstarwione przez Mitsubishi, i to z dużymi sukcesami. Trzeba jednak pamiętać, że pojazdy wygrywające takie imprezy mają niewiele wspólnego z pojazdami oferowanymi klientom w salonach. Miałem okazję oglądać Pajero po rajdzie Paryż – Dakar; zawieszenie wykonane było w zupełnie innej technologii (zamiast tulei i sworzni łożyska sferyczne). Silnik zamiast z żeliwa wykonany był z aluminium (benzynowy z turbodoładowaniem około 300 KM). Zupełnie inna skrzynia biegów miała 6 przełożeń. W środku były dwa fotele i ogromny, 450 litrowy zbiornik paliwa. Wszystkie elementy wykonane były z aluminium i tytanu.

wa niż te mniejsze – to jest około 14 l/100 km. Najbardziej rozpowszechniony był wyżej opisany diesel, który jest dużo oszczędniejszy, jak i bardziej odpowiedni do tego typu pojazdu. Na bardzo zbliżonej ramie do Pajero, Mitsubishi produkuje bardzo zgrabnego pickupa o symbolu L-200, jak i obszernego busa również z napędem czterokołowym o symbolu L-300.

Ogólnie Mitsubishi to dość wdzięczny samochód terenowy z niezłymi możliwościami trakcyjnymi. Właściciel jednak musi liczyć się z awariami, tak jak pisałem, głównie przedniego zawieszenia oraz w starszych modelach z mało komfortowym wnętrzem.

Od paru lat na naszym rynku pojawił się samochód o nazwie Hyundai Galopper. To pojazd rodem z Korei, a protoplastą jego jest Pajero w wersji z początku lat dziewięćdziesiątych. Koreańczycy zrobili nowe nadwozie nawiązujące do oryginału oraz pozostawili bez najmniejszych zmian ramę, zawieszenie i zespół napędowy. Cena tego pojazdu, oczywiście nowego, nie jest tak „rzucająca o ziemię” jak nowych Mitsubishi, Toyot, czy Nissanów, lecz i wykonanie samochodu mocno odbiega od produkcji japońskiej. Moim zdaniem dla poszukiwaczy Pajero, czy któregoś z modeli pochodnych (pick-up lub bus) w starszych wersjach to z powodów cenowych, jak i serwisowych (duża dostępność części) jest rozsądną propozycją. Auto to może być atrakcyjnym pojazdem rodzinnym, jak i wyśmienitym partnerem do pracy w terenie.



Mitsubishi Pajero jest klasycznym pojazdem terenowym

Jacek Blum
Fot. Archiwum autora

Jego największą zaletą był silnik, który nie wymagał wysokooktanowej benzyny. Rosjanie cenili go również za siłę ognia porównywalną do najnowszego radzieckiego czołgu T-70

Tetrarch pod czerwonym sztandarem

Brytyjczycy wysłali do Związku Radzieckiego tylko 20 egzemplarzy lekkiego czołgu MK.VII. Zostały wykorzystane podczas walk na froncie wschodnim.

Pojazd został zaprojektowany przez inżyniera Lesliego F. Little'a, który zastosował w konstrukcji nowatorskie podwozie z czterema parami zawieszonych niezależnie dużych kół jezdnych. Mogły się one skręcać, co pozwalało na odchylenie w prawo lub w lewo przednich i tylnych odcinków gąsienic. Pierwszy prototyp powstał pod koniec 1937 r. w zakładach Armstrong-Whitworth w Elswick. Po serii testów konstrukcja została zaakceptowana przez armię brytyjską pod oznaczeniem A17, a następnie MK VII. Ponieważ jednak najważniejsza była produkcja czołgów ciężkich, wdrożenie prototypu następowało bardzo powoli. Pierwszy egzemplarz seryjny powstał w listopadzie 1940 r. Był to lekki czołg o masie 7,6 ton, uzbrojony w armatę kalibru 40 mm i karabin maszynowy kalibru 7,92 mm. Załogę stanowiły trzy osoby: kierowca, dowódca czołgu i ładowniczy obsługujący działko i karabin maszynowy w wieży. Pancerz miał grubość od 10 do 16 mm. Napędzający wóz bojowy silnik gaźnikowy Meadows o mocy 165 KM pozwalał mu rozwinać prędkość do 64 km/h na drodze lub 45 km/h w terenie. Początkowo Brytyjczycy nie wiedzieli jak nowy czołg zakwalifikować. Część parametrów odpowiadała czołgowi lekkiemu, a niektóre czołgom szybkim (krążownikom). Ostatecznie

utworzono kategorię lekkich czołgów szybkich

Okazało się jednak, że problemem stało się z sensownym zastosowaniem konstrukcji. Parametry czołgu nie odpowiadały za bardzo realiom ówczesnego pola walki, z kolei do jednostek rozpoznawczych kierowano tańsze w produkcji samochody pancerne. Prawdopodobnie dlatego ogółem wyprodukowano tylko 177 egzemplarzy tego czołgu, wykorzystanych dopiero, gdy rozbudowano wojska powietrzno-desantowe, które miały zostać wykorzystane w przygotowywanej inwazji na kontynent. Nazwa Tetrarch pojawiła się prawdopodobnie, gdy wozy bojowe „służyły” w wojskach powietrzno-desantowych. Czołg zo-



Tetrarch ze 151. Brygady Pancernej przejeżdżający przez rzekę w północnym Kaukazie w marcu 1943 r.

stał przystosowany do transportu powietrznego na pokładzie szybowca transportowego Hamilcar. W styczniu 1942 r., w ramach układu lend-lease do Związku Radzieckiego wysłano 20 egzemplarzy tego czołgu. Była to prawdopodobnie próbna seria, która miała określić przydatność czołgu do warunków frontu wschodniego. Była to również próba znalezienia sensownego zastosowania dla pojazdu. Pierwsze Tetrarchy pochodzące z 9. Pułku Lansjerów z 1. Dywizji Pancernej (9th Lancers) dotarły do ZSRR w styczniu 1942 r. Jeden z pojazdów trafił od razu na testy do ośrodka Naukowo-Badawczego Poligonu Techniki Pancernej w Kubince pod Moskwą. Wśród stwierdzonych wielu zalet, najważniejszą chyba w warunkach frontu wschodniego okazał się fakt, że

silnik nie wymagał wysokooktanowej benzyny

Podkreślano, że w przeciwieństwie do czołgów lekkich produkcji radzieckiej Tetrarch z powodzeniem jeździ na benzynie gorszej jakości, o niskiej liczbie oktanów. Rosjanie stwierdzili również, że lżejszy Tetrarch dysponował porównywalną siłą ognia do T-70 najnowszego wtedy radzieckiego czołgu lekkiego. Latem 1942 r. czołgi Mk. VII przetransportowano do ośrodka szkoleniowego czołgistów w Sumgait koło Baku. Do jednostek liniowych pojazdy trafiły jesienią 1942 r. W listopadzie, dziewiętnaście czołgów skierowano do 151. Brygady Pancernej 45. Armii Frontu Zakaukaskiego. Jednostka ta stacjonująca na terenie dzisiejszej Armenii chroniła granicę i osłaniała dostawy lend-lease z Iranu. 5 stycznia 1943 r. została przewieziona drogą morską do Tuapse i włączona w skład 47. Armii z Czarnomorskiej Grupy Wojsk Frontu Zakaukaskiego. W opraco-

waniach wspomina się, że jeszcze w tym okresie posiadały one oryginalny brytyjski kamuflaż, namalowane białą farbą brytyjskie numery ewidencyjne oraz godła brytyjskiej 1. Dywizji Pancernej (biały nosorożec na czarnym tle). Ciekawe, czy pozostawienie malowania i oznaczeń brytyjskich było przejawem chęci zdezinformowania Niemców (angielskie wojska na Kaukazie), czy

wynikało z typowego radzieckiego niedbalstwa

lub zwykłego braku czasu? 19 marca 1943 r. czternaście Tetrarchów (pozostałe były niesprawne) ze 151. Brygady Pancernej włączono w skład 563. Samodzielnego Batalionu Czołgów. Sześć dni później, wydzielony pluton w składzie czterech czołgów Mk. VII podporządkowano 3. Korpusowi Piechoty. W marcu i kwietniu 1943 r. czołgi walczyły w rejonie mostu Szapcunskiego m. in. okopane jako nieruchome punkty ogniowe w walkach obronnych. Pod koniec maja 1943 r. siedem sprawnych pojazdów przekazano do 132. Samodzielnego Batalionu Czołgów. W kolejnych miesiącach meldowano z jednostki o braku części zamiennych do brytyjskich czołgów. We wrześniu 1943 r. ostatnie dwa sprawne Tetrarchy włączono w skład 5. Brygady Pancernej Gwardii. Pierwszy Mk. VII został zniszczony w walce 29 września 1943 r., zaś drugi został utracony 1 października, od przypadkowego niemieckiego pocisku artyleryjskiego, który trafił bezpośrednio w czołg. Do dziś w zbiorach muzealnych zachowały się dwa egzemplarze Mk. VII. Jeden znajduje się w zbiorach muzeum w Kubince pod Moskwą, a drugi egzemplarz stoi w Tank Muzeum w Bovington.

Radosław Szewczyk

Literatura: T. Królikowski, *Szybowce transportowe*, Warszawa 1985; *Nowa Technika Wojskowa* nr 11/2000, M. Skotnicki, *Czołg lekki Mk. VII Tetrarch*, s. 27-32; M. Kołomijec, I. Moszczanski, *Tanki lend-liza*, Moskwa 2000.

Fot. Pochodzą ze strony internetowej www.vif.hist2.ru oraz z książki R. Michulca i T. Andersona, *Panzerwaffe at war (2) Moscow to Berlin, Hong Kong 1997*.



Ostłona karabinu maszynowego niemieckiego półgąsienicowego transportera opancerzonego Sd. Kfz. 251, na którym uwieczniono zniszczone jednostki nieprzyjacielskie. Na szczególną uwagę zwracają wizerunki dwóch zniszczonych Tetrarchów

Czym ratowano życie rannym żołnierzom niemieckiej armii

Medykamenty z Wehrmachtu

Potworne krzyki rannych, widok wnętrzności wypływających z ludzkich ciał, żołnierze pozbawieni kończyn i okaleczeni w niewyobrażalny sposób – oto wstrząsający obraz polowego lazaretu pojawiający się często we wspomnieniach weteranów ostatniej wojny. W tym odcinku naszego cyklu poświęconemu żołnierskiemu wyposażeniu z lat 1939-45, docieramy do jednego z najbardziej makabrycznych miejsc związanych z frontem, czyli do szpitala polowego.



Sanitariusze wynoszą rannego kolegę z pola walki

Podczas ostatniej wojny żołnierze wszystkich armii wyruszając do boju otrzymywali opatrunki osobiste, czasami nawet dwa na osobę, a na wyposażenie służb medycznych składało się wiele specjalistycznych elementów, jak torby sanitarne czy apteczki polowe, a przede wszystkim

Wśród medykamentów z okresu II wojny światowej najczęściej spotyka się produktów niemieckich. Opatrunki i bandaże na potrzeby hitlerowskich wojsk produkowało w ogromnych ilościach wiele wytwórni. W każdej kompanii Wehrmachtu służyli sanitariusze, byli to zwykli żołnierze z podstawowym przeszkoleniem z zakresu pomocy medycznej. Wojskowi lekarze oraz wykształcony personel medyczny posiadały jednostki wielkości pułku lub większe. Na szczeblu dywizji występowały zorganizowane szpitale oraz kolumny sanitarne. Do swojej dyspozycji sanitariusze otrzymywali odpowiedni sprzęt medyczny oraz pojemniki i torby do jego przenoszenia.

Na podstawowy ekwipunek sanitariusza składały się dwie torby medyczne (Sanitätstaschen), które noszono na pasie głównym niczym ładownice. Torby wykonywano z brązowej lub czarnej skóry, a wzór ten pochodził jeszcze z I wojny światowej. Stosowano też

ne ze znakami czerwonego krzyża oraz duże płachty z tym symbolem mocowane na wysokości piersi. W jednostkach górskich w ratowaniu rannych kolegów sanitariuszom pomagały psy, które miały odszukiwać poszkodowanych w górach i dzięki specjalnym uprzągom przenosiły na grzbiecie torby z lekami i opatrunkami.

W polowych punktach pierwszej pomocy, a także w ziemiankach lub schronach niezbędny sprzęt medyczny przechowywano w apteczkach polowych (Verbandkasten). Apteczki znajdowały się także na wyposażeniu wozów bojowych. Miały one postać drewnianych skrzynek, często obitych blachą, a na pokrywie malowano przez szablon czerwony krzyż w białym polu. Apteczki miały składany uchwyt z boku i zamykane były na jeden lub dwa zatrzaski. Po wewnętrznej stronie pokrywy nalepiano kartkę z wydrukowanym spisem zawartości apteczki. Pod koniec wojny produkowano apteczki oszczędnościowe, wytłaczane w całości z blachy. Skład zawartości apteczek ulegał stałym zmianom ma froncie i zazwyczaj odbiegał od regulaminowych przepisów. Zużyte

opatrunki uzupełniano zdobycznymi modelami



Oddziały medyczne posiadały specjalne manierki oraz różne wersje apteczek

ogromna ilość lekarstw, opatrunków i środków odkażających. Wiele wojskowych medykamentów przetrwało wojnę i w pierwszych miesiącach pokoju służyło cywilnej ludności, gdy w zrujnowanych miastach zdobycie jakichkolwiek lekarstw graniczyło z cudem. W owym czasie

prawdziwym skarbem była skrzynka opatrunków

znaleziona w poniemieckim bunkrze, a wiele polskich szpitali na Ziemiach Odzyskanych zaopatrywało się w medykamenty wynosząc je po prostu z porzuconych magazynów Wehrmachtu. Z biegiem czasu wojenne leki stały się jednak niepotrzebne i większość z nich wyrzucono po prostu na śmietnik. Dziś sanitarny sprzęt z czasów wojny interesuje już tylko niektórych zbieraczy militariów, my natomiast prezentujemy w tym numerze część medycznego wyposażenia używanego przez Wehrmacht.

tornistry i plecaki sanitarne,

które wyglądem różniły się od tych zwykłych jedynie tym, że na klapie posiadały plaketkę ze znakiem czerwonego krzyża. Ich wnętrza podzielone były na liczne komory i kieszenie, do których chowano opatrunki, bandaże, paczki waty, rozmaite maści, plastry, opaski uciskowe, szyny do usztywniania złamanych kończyn, środki odkażające i znieczulające oraz inne materiały medyczne.

Sanitariusze oraz noszowi posiadali także manierki sanitarne które w przeciwieństwie do ogólnowojskowych manierek wz. 31 noszono na skórzanym taśmie naramiennej. Manierki te, o pojemności 1,5 litra, wyposażone były w małe kubki aluminiowe lub bakelitowe. W polu stosowano też inny ekwipunek medyczny, jak polowe respiratory S.B.G. 38 w metalowych pojemnikach, które przenoszono na plecach dzięki szelkom. Do respiratorów stosowano 7-litrowe butle z tlenem, zamknięte w drewnianych skrzynkach. By odróżniać się od innych żołnierzy, sanitariusze na rękawie munduru nosili opaski naramienne



W skórzanym torbach sanitariusz przynosił najprostsze medykamenty

które pod koniec wojny w ograniczonym stopniu wydawano także pojedynczym żołnierzom. Z magazynów zdobytych wojennej trafiły na front medykamenty czeskie, polskie, francuskie, greckie i wiele innych. Często miały one nalepione kartki z instrukcją użycia w języku niemieckim.

W Wehrmachcie stosowano dwa podstawowe typy opatrunków osobistych (Verbandpäckchen). Mniejszy opatrunek po rozłożeniu miał wymiary 5×8,5 cm, większy miał wielkość 7×11 cm. Opatrunek o grubości 2 cm kładziono na ranę, unikając dotykania go palcami i wiązano za pomocą zwisających kawałków gazy. Podczas produkcji opatrunki poddawano wyjałowieniu w parze o temperaturze 120 stopni C. Zwinięty opatrunek przypomina prostokątną paczuszkę w papierowym opakowaniu i następnie owiniętą szarym, zielonym lub białym płótnem. Płóciennie opakowanie przewiązywano sznurkiem lub skle-



Niemieckie opatrunki osobiste produkowało dla wojska wiele prywatnych firm

jano z boku. Bardzo często płótno było podgumowane. Występuje ogromna ilość niemieckich opatrunków, różniących się od siebie kolorem opakowań oraz rodzajem zamknięcia. Najpopularniejsze wytwórnie opatrunków osobistych Wehrmachtu to W. Söhnne & Co Wiesbaden, Ludwig Sebode Breslau, Verbandstoff-Fabrik „Breca” G.m.b.H. Breslau, Verbandstoff-Industrie GmbH Berlin N4, Verbandstoff-Werke Teplitz-Schönau oraz wiele innych.

Opatrunki zawsze sygnowano

według stałego systemu: z przodu umieszczano datę produkcji oraz nazwę wytwórni, z tyłu natomiast instrukcję użycia.

Oprócz wzorów regulaminowych na front trafiły także opatrunki osobiste opracowane przez poszczególne wytwórnie. Firma Oscar Mielentz z Lubeki produkowała dla wojska opatrunek typu Adler-Schnellverband 2, który włożony był do kwadratowego, tekturowego pudełka. Wytwarzano też opatrunki hermetycznie szczelne. Jeden z nich, model „Tutin” pochodził ze wspomnianej już firmy Söhnne & Co. Był to w zasadzie standardowy opatrunek „mały”, jednak zamknięty w szczelnym, gumowym pokrowcu, który można było rozrywać dzięki dwóm nitom wprasowanym w brzeg opakowania. Inny hermetyczny opatrunek dostarczała na potrzeby armii firma dr. Bader & Schluckwerder z Chemnitz. Opatrunek ten, czyli Baderna Verbandpäckchen Heeresmodell, produkowany był w opakowaniu z grubego celofanu.

*Tekst i zdjęcia:
Tomasz Bieniek*

W następnym odcinku: „Medykamenty Wehrmachtu” ciąg dalszy.

Zdjęcie archiwalne pochodzi z kalendarza niemieckich wojsk lądowych „Deutschland in Waffen” na rok 1941.

Rozpoczynamy cykl poświęcony minom i nadal przypominamy, że rozbieranie niebezpiecznych pamiątek z czasów II wojny światowej warto zostawić wykwalifikowanemu saperowi

Miny niemieckie cz. 1

1. Mina przeciwpiechotna wyskakująca typu S. Mi. 35 (Schützenmine 35)

Chyba najsłynniejsza niemiecka mina przeciwpiechotna. Bardzo chętnie i najczęściej używana przez saperów w polach minowych. Przy zastosowaniu rozdzielacza możliwe było zastosowanie w niej aż trzech zapalników (przy przełożeniu spłonki w dwóch kanałach spłonkowych i wkręceniu zapalników Z. Z. 42 w miejsce korków ilość zapalników wzrastała do pięciu (sam spotkałem się z tak uzbrojoną miną).

Składała się z metalowej puszkii (będącej rodzajem wyrzutni) otwartej od góry, w którą wsunięte były dwa cylindry blaszane – większy i mniejszy, umieszczone jeden w drugim i przykryte dnem i pokrywą górną. W przestrzeni pomiędzy cylindrami mieściły się odłamki (początkowo były to odlewane kulki żeliwne, w późniejszych partiach spotyka się rdzenie do pocisków pistoletowych lub karabinowych, jak również kawałki drutu stalowego o przekroju ok. 7 mm), natomiast wewnątrz mniejszego cylindra znajdował się materiał wybuchowy w formie granulatu lub cienkich płytek. W centrum znajdowała się rurka zapłonowa z nakręconą nakrętką scalającą obie tuleje, pokrywą górną i dno. Rura posiadała u góry gwint zewnętrzny pozwalający na nakręcenie zapalnika S. Mi. Z. 35 lub rozdzielacza zapalników, oraz gwint wewnętrzny, w który można było wkręcić zapalnik posiadający gwint zewnętrzny (czyli praktycznie większość zapalników armii niemieckiej). Na dole wylot rurki zapłonowej zakończony był metalową wkrętką z przechodzącym kanałem zapłonowym kończącym się w komorze ładunku miotającego. Była to przestrzeń w dnie, w której znajdował się ładunek prochowy wyrzucający minę do góry na wysokość ok. 1 m. W dnie również znajdowały się trzy opóźniacze prochowe z nasuniętymi rurkami kartonowymi, nad którymi znajdowały się spłonki detonujące. Od góry spłonki zabezpieczone były wkręconymi, metalowymi korkami i drewnianymi kołeczkami centrującymi. W pokrywie górnej znajdował się jeszcze dodatkowy, większy otwór zakręcony metalowym korkiem służący do napełniania miny materiałem wybuchowym w wytwórni. Oba cylindry połączone pokrywą górną i dnem przymocowane były do zewnętrznej puszkii trzema aluminiowymi śrubkami.



W momencie zadziałania zapalnika ogień z jego spłonki przechodził poprzez rurkę zapłonową i wkrętkę denną do komory z ładunkiem miotającym i zapalał go. Podczas spalania gazy prochowe wytwarzały ciśnienie powodujące zerwanie aluminiowych śrubek łączących i wyrzucenie do góry cylindrów z pokrywą górną i dnem. Równocześnie z ładunkiem miotającym następowało zapalenie opóźniaczy prochowych, które w momencie, gdy mina znajdowała się już na wysokości klatki piersiowej żołnierza, powodowały zapłon spłonek detonujących i wybuch miny.

Dane techniczne
materiał: stal,
zapalniki: S. Mi. Z. 35, E. S. Mi. Z. 40, S. Mi. Z. 44, Z. Z. 35, Z. Z. 42, Zu. Z. 35
ładunek: 300 g sykiego materiału wybuchowego
wysokość (bez zapalnika): 130 mm
średnica: 100 mm

ROZGAŁĘZIACZE
ZAPALNIKÓW



2. Mina przeciwpiechotna wyskakująca typu S. Mi. 44 (Sprengmine 44)

Późniejsza wersja miny S. Mi. 35. W odróżnieniu od wersji wcześniejszej, zlikwidowano w niej dwie rurki ze spłonkami detonującymi i pozostałą przesunięto w środek, w związku z czym rurka zapłonowa znalazła się z boku. Główna modyfikacja polegała jednak na zrezygnowaniu z opóźniacza prochowego, który nie pozwalał na wybuch miny na dokładnie zadanej wysokości (zależało to od temperatury otoczenia, wilgotności ścieżki opóźniającej i precyzji wykonania). Zamiast niego zastosowano zrywny mechanizm igliczny połączony z puszką-wyrzutnią za pomocą linki o długości ok. 1m. W momencie zadziałania ogień ze spłonki zapalnika zapalał ładunek prochowy mieszczący się w rurce zapłonowej. Podczas spalania ciśnienie gazów prochowych powodowało zerwanie aluminiowych śrubek łączących i wyrzucenie do góry cylindrów z pokrywą górną i dnem. Podczas lotu następowało rozwinięcie linki zapalnika, która po naprężeniu zwalniała napiętą iglicę, powodując jej uderzenie w spłonkę zapalającą, a ta z kolei powodowała zapłon spłonki detonującej i wybuch miny.

Dane techniczne
materiał: stal
zapalniki: S. Mi. Z. 35, E. S. Mi. Z. 40, S. Mi. Z. 44, Z. Z. 35, Z. Z. 42, Zu. Z. 35
ładunek: 300 g sykiego materiału wybuchowego
wysokość (bez zapalnika): 130 mm
średnica: 100 mm.



Grzegorz Franczyk

„Archeolodzy i poszukiwacze – przyczyny konfliktu” – pod takim tytułem w kwietniowym i majowym numerze ODKRYWCY wydrukowaliśmy dwa odcinki artykułu prof. Aleksandra Bursche, którym rozpoczęliśmy dyskusję o prawach i obowiązkach eksploratorów oraz o lukach w polskim prawodawstwie. Miesiąc temu zamieściliśmy polemikę do tych tekstów autorstwa Piotra Szpanowskiego z Urzędu Generalnego Konserwatora Zabytków. Dziś odpowiedź prof. Bursche, wszystkich zaś Czytelników zachęcamy do wypowiedzania się na naszych łamach. Chcemy stworzyć w ODKRYWCY coś w rodzaju Hyde Parku dla poszukiwaczy. Swoje opinie i uwagi przesyłajcie listownie lub pocztą elektroniczną na adres: redakcja@odkrywca-online.pl

Paragraf 22

W tekście przeznaczonym dla osób spoza branży starałem się nie wdawać w kwestie szczegółowe w rodzaju objaśniania, czym jest Danefae, z działaniem, którego miałem okazję zetknąć się akurat w praktyce. W najnowszym numerze czasopisma „Światowit” ukaże się wkrótce mój artykuł adresowany do profesjonalistów p.t. „Złodzieje i paserzy, dogmatycy i moralisci”, zaopatrzony w „fachową” argumentację i aparat naukowy, do którego odsyłam, co bardziej wnikliwych.

Czytelnikowi „Odkrywcy” należy się jednak przede wszystkim wyjaśnienie, na czym polega odmiennność zdań, w jakiejś mierze różniąca część środowiska naukowego od konserwatorskiego w kwestii sposobu ochrony dziedzictwa archeologicznego. Wszyscy pragniemy tego samego – zaprzestania narastającej dewastacji stanowisk archeologicznych przez nieprofesjonalistów. Różnimy się jednak, co do proponowanych metod osiągnięcia tego celu – zgodnie ze starym archeologicznym porzekadłem odnoszącym się do czasów stalinowskich: Cyryl, jak Cyryl, ale te metody... Różnicę tę da się sprowadzić do dwóch odmiennych życiowych postaw: pragmatyzmu i utopii. Otóż ja też chciałbym, aby było tak, jak sądzi kolega Piotr Szpanowski, skądinąd bardzo sumienny pracownik GKZ (urzędu Generalnego Konserwatora Zabytków), iż znacznie bardziej rygorystycznie sformułowane prawo w sposób zasadniczy

ograniczy zjawisko rabunku

źródeł archeologicznych. Również wolałbym, aby znalazcy zabytków archeologicznych (np. skarbu monet) oddawali je dobrowolnie urzędowi konserwatorskiemu, nie licząc nawet na nagrodę. Jednakże oczekiwanie takich zachowań ludzkich w XXI wieku to postawa właściwa dla bohatera książki Cervantesa, ale już nie przystająca nowoczesnemu urzędnikowi państwowemu, któremu nieobce powinny być wyniki badań socjologicznych współczesnego społeczeństwa polskiego.

Jest jeden istotny element charakteryzujący niektórych kolegów z GKZ – są niezwykle otwarci na dyskusję i argumentację, jednak pod warunkiem, że dyskutanci reprezentują identyczne z nimi poglądy. Tych bronią za wszelką cenę, często nie dbając o wymowę faktów i logikę argumentacji. Ich zdaniem PRL-owski zapis o państwowej własności znalezisk archeologicznych nie był wzorowany na ustawodawstwie radzieckim. Należy zatem rozumieć, że zupełnie przypadkowo trafił on niemal jednocześnie do kodyfikacji wszystkich krajów, które znalazły się pod okupacją sowiecką, czy jeśli ktoś woli, należały do krajów obozu socjalistycznego. Wzo-

rzec duński jest wart naśladowania (ja też tak sądzę), tam bowiem

amatorzy ściśle współpracują z muzeami

i urzędem konserwatorskim. Natomiast w Polsce nie ma prawdziwych amatorów, gdyż wszyscy są złodziejami, stąd nawiązanie z nimi jakiegokolwiek współpracy przez GKZ nie jest możliwe. Tego typu wypowiedzi są typowym przejawem schizofrenii myślenia, który określam jako „syndrom Paragrafu 22”. Nawiasem mówiąc wyraźnie pisałem o Danefae, jako wyjątku od reguły w kwestii własności ruchomych zabytków archeologicznych. Nie dostrzeżenie tego faktu traktuję jednak jako przejaw działania opisywanego syndromu, a nie złej woli.

Żeby wszystko było jasne: w Danii współpraca z amatorami – poszukiwaczami została nawiązana z inicjatywy, przy dużym nakładzie sił i środków urzędu konserwatorskiego, regionalnych muzeów i aktywności poszczególnych osób, zeń wywodzących się. Z osobistych relacji wiem, jakie zasługi położył w tym względzie Peter Vang Petersen. Kwestiom pożytków płynących ze współpracy nawiązanej z amatorami oraz znaczeniu naukowemu znalezisk dokonanych przy użyciu wykrywaczy poświęcona była w Danii osobna konferencja, której materiały zostały niedawno opublikowane pod redakcją M. Bo Henriksena (Detektorfund – hvad skal vi med dem?, Odense 2000; por też www.odmus.dk). Byłoby wielce wskazane, aby pracownicy GKZ zapoznali się z tym opracowaniem i podjęli się zorganizowania podobnego spotkania w Polsce.

Od z górą 10 lat niemal 100% napływających do Muzeum Narodowego w Kopenhadze Danefae to znaleziska dokonane przez amatorów przy użyciu wykrywaczy, za które to odkrycia w Polsce wedle interpretacji GKZ nie należy się nagroda (ciekawe, co na to NSA?).

Dlatego miałem wielokrotnie możliwość konsultować dla Gabinetu Numizmatycznego w Kopenhadze świeżo odkryte monety antyczne, podczas gdy w Polsce – będąc do zeszłego roku ministerialnym rzeczoznawcą – ani razu. Zapewniam zaś, że w Polsce znajdowanych jest wielokrotnie więcej monet rzymskich niż w Skandynawii. W Danii w istocie nie ma rynku na Danefae, bo

nie opłaca się handlować zabytkami

archeologicznymi pochodzącymi z lokalnych znalezisk, skoro można je oddać w zamian za nagrodę stanowiącą ich równowartość (czy takie sformułowanie satysfakcjonuje GKZ?) do Muzeum, pod warunkiem sprecyzowania miejsca i okoliczności odkrycia, a w dodatku znaleźć w publikacjach swoje

nazwisko wśród osób zasłużonych dla Danefae. W tej perspektywie dostrzeganie rzekomo wyraźnych analogii między rozwiązaniami polskimi i duńskimi jest albo próbą zafałszowania rzeczywistości albo też efektem działania „syndromu Paragrafu 22”. Warto może dodać, że także w Danii istnieje rynek antykwariczny na zabytki archeologiczne, choć fakt ten spotyka się tam słusznie z silną krytyką. Wielce zasłużone i aktywne Nordyjskie Towarzystwo Numizmatyczne skupia kilkanaście tysięcy prywatnych kolekcjonerów monet, mających swoją własną siedzibę, czasopismo i całkiem legalne aukcje. Wreszcie, co istotne, w Danii znajduje się bardzo wiele prywatnych kolekcji zabytków archeologicznych pochodzących z lokalnych znalezisk. Niektóre z tych zbiorów tworzone są współcześnie, a w ich skład wchodzi bardziej pospolite zabytki, które po zadookumentowaniu, zwracane są ich znalazcom. Jest to moim zdaniem kapitalne

godne naśladowania rozwiązanie

zwłaszcza wobec ograniczonej pojemności i ubóstwa naszych muzeów, niestety niemożliwe do zrealizowania w świetle nienaruszalnej dogmatyki reprezentowanej w urzędzie GKZ. W nim obowiązuje bowiem „Paragraf 22”.

Jeśli wybiera się jakiś przykład do prowadzenia dysputy, to dobrze jest go wpiąć dogłębnie poznać, a następnie rzetelnie przedstawić. A może lepiej przyznać wprost, że roczny budżet GKZ przeznaczony na ministerialne nagrody nie przekracza pięciu średnich krajowych, czyli nie wystarcza nawet na opłacenie rzeczoznawców wyceniających znaleziska?

Do urzędników GKZ kieruję wreszcie najistotniejsze pytanie. Dlaczego ograniczają się do działań adresowanych przeciw pojedynczym poszukiwaczom, a nie reagują spektakularnymi akcjami np. w antykwaratach i muzeach skupujących zabytki archeologiczne ewidentnie zrabowane, tyle że nie w Polsce, czy zwłaszcza w portalach internetowych umieszczających strony z instrukcjami dla rabusiów?

Sądzę także, że w polemice z moim tekstem, zwracanie uwagi na „pilną potrzebę intensyfikacji działań popularyzatorskich i edukacyjnych” jest albo przejawem samokrytyki albo też, delikatnie mówiąc, nietaktem. Tych, którzy nie wiedzą o co chodzi, zapraszam w trzecim tygodniu września do Biskupina na VII Festyn Archeologiczny (www.biskupin.pl) oraz do oglądania serialu „Poszukiwacze zaginionych cywilizacji” w 1 programie TVP.

Aleksander Bursche

Autor jest pracownikiem Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz inicjatorem i współorganizatorem Festynów Archeologicznych w Biskupinie.

Poszukiwacze strażnikami polskiego dziedzictwa kulturowego

Z niedowierzaniem przeczytałem artykuł pt. „Archeolodzy i poszukiwacze”. Okazuje się, że autor Pan Szpanowski w roku 2001, w demokratycznym kraju ma sugestie, co do linii pisma. Autor sugeruje, że wie, co jest właściwe, a co nie do publikacji. Chwali pismo, za publikowanie „rzetelnej wiedzy” urzędników, karci za niewłaściwą linię sprzeczną z urzędniczymi poglądami. Chciałbym Panu Szpanowskiemu zwrócić uwagę, że pismo finansowane przez Urząd Wysokiego Konserwatora i prezentujące linię myślenia Urzędu Wysokiego Sekretarza ds. Zabytków, mimo równie kolorowych okładek nie jest tak poczytne. A dlaczego to, mimo tak szlachetnej proveniencji? Ostatnio ukazało się kilka artykułów o poszukiwaczach napisanych przez osoby ze środowisk konserwatorsko-archeologicznych. Jest w nich dużo nieścisłości i niewiedzy.

Uściślijmy więc. Większość poszukiwaczy penetruje pola bitew z okresu II wojny światowej. Ustawa z 1962 roku O Ochronie Dóbr Kultury mówi, że zabytkiem podlegającym ochronie są dobra kultury wpisane do rejestru zabytków oraz te, których charakter zabytkowy jest oczywisty. Według wspomnianej ustawy przedmiotem ochrony MOGĄ być też militaria ruchome, pola bitew, itd. Według definicji archeologia jest nauką badającą na podstawie wykopalisk dzieje ludzkości od pojawienia się człowieka do czasów, do których poznania istnieje dostateczna ilość źródeł pisanych. W świetle definicji archeologii dziwacznym wydaje się pogląd Pana Rubnikowicza w wypowiedzi w Odkrywcy z kwietnia 2001, że militaria z okresu II wojny światowej są zabytkami archeologicznymi. Pan Rubnikowicz pragnie wydać się zredefiniować pojęcie archeologii i zapisać się tym w annałach światowej nauki. W każdej księgarni można kupić książkę z opisami bitew. Co więcej, jeszcze żyją świadkowie wydarzeń z okresu II wojny, którzy opowiedzą o wydarzeniach sprzed 56 lat. Pokażą miejsca tych wydarzeń. Nie znam przypadku prowadzenia wykopalisk archeologicznych na polu bitwy z okresu II wojny światowej. Czy ktoś zna? Przez lata tysiące militariów trafiło do muzeów wojska w całej Polsce dzięki poszukiwaczom. Zapraszamy panów urzędników – konserwatorów do Muzeum Wojska Polskiego. Stały się przez to społeczną własnością. Mogą je oglądać dziesiątki tysięcy ludzi, stanowią materiał do prac naukowców. Zostały uchronione przed zniszczeniem. A Pan Rubnikowicz nazywa poszukiwaczy, czyli tych, którzy je ocalili rabusiami i przestępcami? Bo, jak uważał Pan Kobyliński, były konserwator archeologiczny za 50 lub 100 lat może będzie metodologia badania pobojuwisk z

okresu II wojny światowej i dlatego nie powinny być przeszukiwane. W ostatnich latach odnaleziono kilka sztandarów pułkowych, wiele konspiracyjnych archiwów dzięki zaangażowaniu poszukiwaczy. Te, ani inne przedmioty z materiałów organicznych na pewno nie przetrwają w ziemi następnych kilkudziesięciu lat. Dodam jeszcze, że wiele pobojuwisk z okresu II wojny światowej zostało zabudowanych np. w Choszczówce k. Warszawy – miejscu dużych walk na podejściu do Warszawy w sierpniu 1944 r. Szukaliśmy tam 15 lat temu. Dziś już nie ma gdzie. To, co zostało tam znalezione kilkanaście lat temu zostało zachowane dla przyszłych pokoleń. Przykładów można mnożyć setki. A więc, jak panowie urzędnicy chronicie pola bitew? Nieco zdrowego rozsądku! Za 50 - 100 lat nic z nich nie zostanie. KTO zatem dba o nasze dziedzictwo kulturowe?

Odnoszę wrażenie, że Pan Rubnikowicz wyznaje logikę psa ogrodnika. Dochodzę do przekonania, że tak naprawdę w całej dyskusji i projekcie nowej ustawy o zabytkach nie chodzi o dobro naszego dziedzictwa kulturowego, tylko o zakres władzy grupki urzędników. Kolejnym niedorzecznym mitem jest stawianie znaku równości między poszukiwaczami i rabusiami. Pan Rubnikowicz mówi o 30-40 stanowiskach archeologicznych wyrabowanych w ciągu roku. Tu dla swojej wygody posługuje się już tradycyjną definicją stanowiska archeologicznego.



Większość stanowisk archeologicznych jest poza możliwościami penetracji wykrywaczy. Można przyjąć, że w Polsce jest kilka tysięcy eksploratorów, którzy spędzają do kilkudziesięciu dni w roku na poszukiwaniach. Gdyby faktycznie było tak jak chce Pan Rubnikowicz, że jedynym celem poszukiwacza jest rabunek stanowisk – to wszystkie byłyby już w ciągu kilku lat wyrabowane!

W czasie moich wieloletnich podróży po Polsce spotykałem się z wyrabowanymi stanowiskami archeologicznymi. Było to jednak dzieło okolicznej ludności. Niezrozumiałym jest jednoznaczne przypisywanie zniszczeń poszukiwaczom. To jeszcze należy uzupełnić wiedzę panów urzędników, którzy jak można sądzić z ich wypowiedzi nie mieli okazji osobiście zapoznać się z wykrywaczem metali. Najwyższej klasy urzędnika (a takich jest wśród poszukiwaczy niewiele) nie są w stanie wykryć przedmiotu wielkości

monety lub zapinki poniżej warstwy ornej. Dużo użyteczniejszy do rabunku byłby tradycyjny od tysiącleci przy takich działaniach długi drut do khucia ziemi. Znakomita większość stanowisk archeologicznych jest poza możliwościami penetracji wykrywaczy. Kuriozalnym w świetle tego wydaje

się nazywanie wykrywacza „narzędziem przestępstwa”. To tak, jakby nazwać samochód narzędziem zbrodni, bo niektórzy kierowcy powodują wypadki. Pan Rubnikowicz uważa za zabytek archeologiczny wszystkie pozostałości działalności człowieka, które znajdują się w ziemi, w tym też zbytki militarne. To czysta paranoja. W świetle tej definicji większość obywateli, którzy wykopią dziurę w ziemi staje się przestępcami. Jakimi niszczycielami są choćby saperzy, którzy wysadzają „zabytki archeologiczne” niemal, co dzień. W śródmieściu Warszawy prowadzonych jest wiele robót ziemnych. W KAŻDYM wykopie dostrzegam „pozostałości działalności człowieka” „brutalnie” przekopywane koparkami. A w czasie prac budowlanych w centrum Warszawy nie jest sprawowany nadzór archeologiczny. Każdy budowany we wsi nowy dom powstaje w miejscu, gdzie wcześniej była inna (wsie w większości są w tych samych miejscach od setek lat) – „pozostałość działalności człowieka”. Tu też wszyscy są przestępcami?

Nie ma chyba sensu odwoływać się do zdrowego rozsądku.

Innym zagadnieniem jest prawo własności do znalezionych przedmiotów.

Pan Szpanowski w swojej polemice z dr. Bursche wydaje się nie rozumieć przesłania tego ostatniego. Dr Bursche jest praktykiem, Pan Szpanowski urzędnikiem. W czasie wieloletnich podróży po Polsce wielokrotnie spotykałem się z opowieściami o wykopanych w trakcie robót ziemnych lub polowych skarbach monet. W większości wypadków szybko przyjeżdżał samochodem z bagażnikiem pełnym alkoholu ktoś zainteresowany znaleziskiem. Mieszkańcy sitami przesiewali ziemię. Za małą monetę piwo, za większą wino, za złotą butelka wódki. Alternatywą dla znalazców było oddać wszystko Państwu lub mieć ze znaleziska cokolwiek. Gdyby prawo dopuszczało własność odkrywcy do znalezione go zabytku, to większość zapewne znalazłaby się w obiegu naukowym. Poprzez istniejące prawo zostały utracone na zawsze. Ponieważ istniejące zapisy ustawy nie przyczyniły się do



Dokończenie na str. 52

ochrony zabytków ruchomych, lecz utraty bardzo wielu z nich, w tym zakresie należałoby ja zmienić. Gdyby skarb ze Środy Śląskiej został znaleziony nie w mieście, a w jego okolicach, na polu, bez tylu świadków, nigdy zapewne byśmy o nim się nie dowiedzieli. Pan Rubnikowicz w swoim artykule w 22 numerze Polityki pisze z dumą o średnio 5 znaleziskach archeologicznych rocznie zgłaszanych Służbie Ochrony Zabytków. W Wielkiej Brytanii corocznie sami tylko poszukiwacze zgłaszają kilka tysięcy luźnych znalezisk. Co więcej, co roku fundowane są nagrody dla poszukiwaczy za najlepsze znalezisko. Czyż potrzeba lepszego przykładu na wadliwość istniejącego systemu prawnego i nieefektywność urzędów konserwatorskich? Pan Szpanowski pisze o nagrodach przyznawanych przypadkowym znalazcom zabytków zgodnie z rozporządzeniem Ministra Kultury i Sztuki z 10.10.1995 r. Według moich informacji fundusz na nagrody w 1999 roku wynosił 5000 zł, a najwyższa nagroda wyniosła 1600 zł. Czy znalazca skarbu mógłby uznać taką kwotę za nagrodę, czy raczej jałmużnę. Czy zachęca to znalazców do zgłaszania znalezisk? Wielkim wrogiem dla funkcjonowania państwa prawa jest arogancja urzędników, a z tą w artykułach na łamach Odkrywcy mamy do czynienia. Czym innym jest bowiem nazywanie nas, poszukiwaczy przestępcami, rabusiami? Może panowie urzędnicy od zabytków więcej trudu włożyliby w ochronę zabytków, a nie walkę z wyimaginowanym zagrożeniem ze strony poszukiwaczy. Raport NIK nr 11/2001 z marca tego roku po kontroli przeprowadzonej na terenie 6 województw mówi o wielu nieprawidłowościach w pracy Państwowej Służby Ochrony Zabytków. Tu kryje się prawdziwe zagrożenie dla naszego dziedzictwa kulturowego.

Adam Rudnicki

Fot. Z. Skrok

Wykrywacz złota

Przypadkowo zakupiłem miesięcznik „Odkrywca” i po przeczytaniu artykułów, postanowiłem podzielić się swoimi uwagami na temat poszukiwań skarbów. Jestem człowiekiem w średnim wieku. Z racji wykonywanego niegdyś zawodu i dzisiejszego, spotykałem się i spotykam z ludźmi, którzy przekazywali mi różne historie. Nie miały one potwierdzenia w żadnych przekazach pisemnych, niemniej brzmiały tak sugestywnie, iż potrzebny był tylko wykrywacz metali. Były to lata osiemdziesiąte, czyli lata trudne w zakupieniu odpowiedniego sprzętu i byłem sam ze swoimi pomysłami. Wtedy uważałem, iż posiadanie wykrywacza i nagromadzone wiadomości, otworzą skarby ziemi. Nie miałem tu na myśli „Bursztynowej Komnaty”, czy „Złota Wrocławia”, lecz znalezienie monet, miejsc, bitew z okresu powstań. Po wielu trudach wykrywacz zakupi-

łem we Wrocławiu u Pana Andrzeja Stasiaka. Był to wykrywacz typu (PI). Zacząłem działać, wiele samotnego kopania. Kiedyś, w nocy, w polu dostałem taki sygnał, iż kopiąc, miałem trudności z wydostaniem się. Okazało się, iż teren posiada naprzeciwległe biegnące pasy rudy, a wykrywacz reagował. Patrząc z perspektywy czasu, były to lata rozczarowań, gdyż poza drobnicą nie znalazłem nic konkretnego. Natomiast znalazłem coś, co nazywamy doświadczeniem. Miałem jeszcze wykrywacz VLF zakupiony u Pana Szmidia w Świebodzicach, ale współników było wielu, a ich dzieci sprawiły, że ciągle był zepsuty. Tak więc, od wielu lat do dziś jestem bez wykrywacza. Otrzymuję różne katalogi firm i wzrokiem pożeram je, gdyż te, które mi się podobają tzn. Garret 2500, Whites Elektr. XLT Spectrum, Minilab nie są na moją kieszeń. Uświadomiłem sobie, jak bardzo są zaśmiecone lasy, niby tereny dziewicze. Bardzo trudne jest też przełożenie 1 mm, czy też 1 cm, z mapy w teren, to niezła ilość ziemi do przetrucenia. W Polsce nie jest uregulowana sprawa dotycząca „odkrycia skarbu”. Musiałem niestety, ukrywać się ze swoim hobby, aby nigdy nie odpowiadać przed sądem. Wiem, iż w terenach grasowali inni, którzy szukając rujnowali. Ze względu na te trudności zaniechałem prac w terenie, stałem się teoretykiem. W latach 90-tych zainteresowałem się radiestezją. Miałem właściwości do wyszukiwania cieków wodnych. Zacząłem się zastanawiać, czy istnieje możliwość ulżenia doli poszukiwacza, który na chybił trafił przekopuje polacie ziemi. Miałem też na względzie swoją osobę, oraz bezpieczeństwo. Zacząłem poszukiwać i dociekać źródeł, aby odpowiedzieć sobie na pytania: Jak promieniuje np. złoto w ziemi, jaką barwą widma? Jaki jest kierunek promienia zasadniczego? Czy o każdej porze złoto promieniuje i w jakich parametrach dnia najlepiej szukać. Czy istnieje możliwość zbudowania sprzętu radiestezyjnego, który z odległości około 500 metrów stwierdzał zaleganie np. kosztowności, broni itp. Znowu wiele wyrzeczeń, książek, rozmów z fizykami naukowcami i prawie nic. Uważali, iż teoretycznie jest lub są możliwości, ale zostałem sam. Muszę się pochwalić, iż w 2000 r. zbudowałem taki sprzęt i na niewielkim terenie, np. mieszkanie – działa. Myślę, że będzie też (powinien) działać w terenie. Brak czasu nie pozwala mi na poświęcenie się w 100 % temu zagadnieniu, bo trzeba z czegoś żyć. Uważam iż połączenie dwóch elementów radiestezji i elektroniki może przynieść sukces. Czuję się obecnie lekko zmęczony, godząc pracę zawodową z hobby, które istnieje i będzie istnieć dopóki będę żył. Realia życia obecnego nie pozwalają w pełni rozwinąć skrzydeł, mam tu na myśli swoją osobę. Bardzo dziękuję za przeczytanie, może za pośrednictwem Waszym znaleźć bratnią duszę.

Sławomir Pijarowski

Tajemniczy bunkier

Wszystko zaczęło się wiosną 1987 r., kiedy byłem w Nysie na starym poligonie wojskowym na spacerze z Dianą – jest suką owczarka podhalańskiego. Będąc na owym poligonie w pewnej chwili Diana pognąła za zwierzątkiem. Początkowo nie wiedziałem, co to za zwierzątko, a było to w okresie marcowych roztopów i leżał jeszcze gdzieś śnieg. Nie mogąc doczekać się Diany, ruszyłem jej tropem po śladach na śniegu. Po przejściu około kilometra ślady doprowadziły mnie do bunkra fortu poniemieckiego. Wołając Dianę i nie mogąc się jej doczekać, wszedłem za nią do korytarza fortu, a nie mając latarki przystanęłem, oparłszy się o ścianę korytarza. Miałem nadzieję, że skoro pies tędy wszedł, to musi tędy wrócić. Czekając oparty o ścianę i paliłem sobie papierosa. W pewnym momencie poczułem, że ściana za moimi plecami usuwa się. Nie wiedziałem, czy to miraż, czy sen. Obróciwszy się naparłem rękami na ścianę i w pewnym momencie poczułem, że to nie miraż, czy sen, bo ściana zaczyna usuwać się na zawiasach. Powoli świecąc zapalniczką zauważyłem, że za tą ścianą jest pomieszczenie, więc wszedłem tam, co chwilę zapalając zapalniczkę. Bałem się, nie wiedziałem, gdzie jestem i co to za pomieszczenie. Zapaliłem papierosa i od czasu do czasu błyskając zapalniczką penetrowałem to pomieszczenie o długości 4-5 m, szerokości około 2 m i wysokości 2.5 m. Gdy doszedłem do końca pomieszczenia, zobaczyłem, że są schody, ale nie mając latarki wróciłem z powrotem do ściany, za którą czekała moja Diana z tchórzem w mordzie. Po wyjściu z fortu nie wiedziałem, co zrobić i czy komukolwiek zwierzyć się ze swojego odkrycia. Postanowiłem, że wrócę tu i zobaczę, co kryje się na dole za schodami. Wziąwszy ze sobą plecak i dwie latarki z zapasowymi bateriami wraz z moją Dianą na drugi dzień, a to była sobota, udałem się do tego odkrytego miejsca. Miałem pewne trudności w odnalezieniu wejścia. Jednak dzięki psu odnalazłem to miejsce i po odsunięciu ściany wszedłem do pomieszczenia, a potem po schodach betonowych (52 stopnie) do korytarza na dole. Moim oczom ukazał się korytarz szer. 2,5 m wysokości około 3 m. Stojąc dłuższy czas i oświetlając we wszystkich kierunkach nadświechiwałem w strachu, czy nie usłyszę jakiegoś szmeru lub głosu. Po dłuższej chwili nasłuchiwania postanowiłem pójść kawałek tym korytarzem. Po około 50 m, na lewej ścianie zauważyłem wnękę do pomieszczenia dł. ok. 10 m i szer. 6 m i wys. 3 m i oczom moim przedstawił się widok następujący. Na wprost mnie stał stojak z 12 – ma pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału, pod pistoletami były torby z magazynkami amunicją hełmami bagnietami i maskami. Na lewej ścianie w rogu obok mnie stał stojak z dwoma granatowymi płaszczami oficerskimi wyższej rangi. Pod ścianą lewą stały 2 stoły żelazne z krzesłami. Z prawej strony obok biurka zauważyłem składaną tablicę z zaznaczonym planem całego podziemia.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Kto z nas nie marzy o takim znalezisku? Trudno uwierzyć w tę historię, ale mimo to zdecydowaliśmy się pójść jej śladem. Szczegóły w kolejnych ODKRYWCACH.

Bezpańskie znaleziska

Na bieżąco czytam wasze pismo i jest moim zadaniem bardzo dobre. Chciałbym do tego pisma wnieść propozycje tego typu, że skarby to także starodruki, pisma, inne drobiazgi, a liczące sobie wiele lat, często przedstawiające ogromną wartość historyczną a niekiedy finansową ze względu na swoistość, okazu. Dlatego wysyłam ksero różnych dokumentów, gdyż za pośrednictwem Waszym uzyskam odpowiedź, co to jest i co z tym zrobić (komu przekazać i z kim się skontaktować.) Bo nawet, jeżeli są to rzeczy warte trochę pieniędzy, to moim marzeniem było zawsze, aby wszelkiego rodzaju pamiątki historyczne pozostawały w kraju, a w szczególności w najbliższych muzeach od miejsca znalezienia, a niestety w wielu przypadkach ludzie nieświadomi sprzedają pamiątki, które są

przez nieuczciwych handlarzy kolekcjonerów i oferowane lub wywożone za granicę. Znana sprawa znikających „ikon” i „świętów” z terenu wschodniej polski – Bieszczady – a potem sprzedawanych na giełdach Europy Zachodniej (głównie Austria). Pozwalam sobie dołączyć parę opisów z prośbą o ustalenie, co z tym zrobić i co to jest. Czy posiada to wartość historyczną lub finansową. Szukać umiem i mam tego efekty, ale sprzedać swoją pracę to trzeba być dobrym historykiem, ja nim nie jestem.

Tomasz Lottko

Całkowicie się z Panem zgadzamy, że dokumenty także są skarbami i bardzo nam się spodobała idea, żeby

zabytki tego typu przekazywać polskim muzeom. Postanowiliśmy sprawdzić, co z takimi znaleziskami można zrobić i rozesłaliśmy kserokopie dokumentów do kilku różnych instytucji. Jak można się było spodziewać nie wszyscy od-

powiedzieli na nasze prośby. Najciekawszy wydał się nam dokument sporządzony w języku jidysz, a znaleziony przez Pana w Kozienicach pod Radomiem. Założyliśmy wstępnie, że jest to Tora i nie pomyliliśmy się, a nasze domysły potwierdziła pani Karolina Szykierska z Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu. Wyjaśniła, że dokument „zawiera fragmenty Tory, czyli starożytnego Testamentu (...), takie fragmenty tradycyjnie są chowane – zakopywane w ziemi (tak jak zmarli). „Odkrywca” może zachować fragment, lub najbliższej przekazać Gminie Żydowskiej w celu pochowania”. Wygląda na to, że znalazł Pan dokument, który został celowo zakopany, ale nie ukryty i raczej nie miał ujrzeć światła dziennego, a jego przeznaczeniem było wieczne spoczywanie w ziemi. Dwa pozostałe dokumenty nie są starodrukami i nie są zainteresowane ich pozyskaniem biblioteki uniwersyteckie, ani Ossolineum. Ciekawy jest rosyjsko-pruski paszport wystawiony na nazwisko Piotra Wieczorka z Rudnik w gminie Żytniewo w roku 1914. Być może będzie nim zainteresowane jedno z lokalnych muzeów. Trzeci i ostatni jest wyciąg z rozkazu marszałka Józefa Stalina z dnia 4 marca 1945r. dla

kaprała Kazimierza Marcińskiego, uczestnika walk o zdobycie miast Zachodniego Pomorza. „Za świetne działania wojenne wyrażam wdzięczność dzielnemu wojsku 1-ej Polskiej Armii, które przerwały obronę niemiecką na wschód od Stargardu i zdobyły miasta Tempelburg, Falkenburg, Dramburg. W dowód uznania dla wojsk 1-go Białoruskiego Frontu oraz 1 Armii Polskiej, w Moskwie oddano 4. marca 1945 r. 28 artyleryjskich salw z 224 dział.

Fragmenty Tory są tradycyjnie zakopywane w ziemi kaprała Kazimierza Marcińskiego, uczestnika walk o zdobycie miast Zachodniego Pomorza. „Za świetne działania wojenne wyrażam wdzięczność dzielnemu wojsku 1-ej Polskiej Armii, które przerwały obronę niemiecką na wschód od Stargardu i zdobyły miasta Tempelburg, Falkenburg, Dramburg. Takich dokumentów wystawiono bardzo dużo. Była to swoista sztampla, drukowana według jednego wzoru, w którym zmieniały się jedynie nazwy miejscowości, daty i nazwiska. Tempelburg to Czaplinek, Falkenburg – Złocieniec, a Dramburg to Drawsko. Jak się łatwo domyślić Kazimierz Marciński brał udział w walkach o przełamanie Wału Pomorskiego. Dokument można przekazać do szkolnej izby pamiątki w jednej z trzech wymienionych miejscowości, albo do pobliskiego Mirosławca, gdzie mieści się muzeum walk o Wał Pomorski. Inne z opisanych przez Pana przedmiotów, czyli medal, medalion, czy butelkę może Pan przekazać do muzeów regionalnych znajdujących się w rejonie ich znalezienia. Jednak wcześniej warto się upewnić, czy mają szansę być prezentowane na muzealnej ekspozycji i dopilnować, żeby zostały wpisane do księgi inwentarzowej.

Redakcja



Wyciąg z rozkazu marszałka Józefa Stalina z 4.03.1945 r. dla kaprała Kazimierza Marcińskiego



Rosyjsko-pruski paszport wystawiony na nazwisko Piotra Wieczorka z Rudnik w 1914 r.



Pamiątkowy medalion z 1914 r.

Fotograf wojenny robił zdjęcia jednej z najkrwawszych bitew I wojny światowej podwieszony na linach pod czaszą balonu

Verdun w sepii

Grudziądzka Galeria klubu Akcent gościła do niedawna niezwykłą wystawę fotografii Edmunda Malickiego – „Verdun”. Zdjęcia wykonane przed ponad 80 laty przez autora, który w 1915 r. został odkomenderowany do okupowanej Francji w rejon Verdun, dziś stanowią unikalną dokumentację tamtych lat.

Edmund Malicki urodzony w 1891 r. w Inowrocławiu, naukę zawodu fotografa rozpoczął, mając niespełna 17 lat w renomowanym „Atelier Rubens Nadworny Fotograf”. Swoje umiejętności doskonalił między innymi w Gdańsku, Berlinie, Frankfurtie i Kassel. W chwili wybuchu I wojny światowej Edmund Malicki odbywał obowiązkową, zasadniczą służbę wojskową w armii pruskiej. W Verdun służył w jednostce batalionów obserwacyjnych. Podwieszony na linach pod czaszą balonu, pod ostrzałem, w centrum działań wojennych, fotografował jedną z największych i najkrwawszych bitew w dziejach I wojny światowej.

Był artystą na trwałe upamiętniającym na kliszach życie codzienne żołnierzy i pejzaże. Właśnie to było najbliższe jego sercu. W swojej pracy kierował się nie tyle potrzebą dokumentacji, ile instynktem i zmysłem artystycznym. Edmund Malicki zmarł w 1976 roku. Pozostawił szafy pełne pamiątek i pożytkowych fotografii. Dramatyczne, ale i piękne zdjęcia wreszcie ujrzaly światło dzienne dzięki córkom Fernandzie i Bożenie Malickim, które do dziś kontynuują pasję ojca. Zdjęcia spod Verdun autor zebrał w trzech albumach, z których dwa przeznaczone były dla dowództwa i jeden na użytek własny autora. Z tego ostatniego właśnie pochodzą wybrane i w sposób nowatorski zaprezentowane zdjęcia; są to wysokiej jakości laserowe kopie w ilości 50 sztuk – bardzo wierne oryginałom. Niestety, nie wiadomo, gdzie można jeszcze oglądać wystawę. W Centrum Kultury Teatr w Grudziądzu powiedziano nam, że terminy i miejsca ekspozycji zdjęć nie są jeszcze sprecyzowane. Planów jest dużo – we wrześniu wystawa prawdopodobnie pojedzie do Niemiec, gdzie zostanie zaprezentowana w ramach dni Guetersloh. Potem być może trafi do Zielonej Góry, Torunia i Chełmna. Dziś można ją także oglądać na stronach internetowych pod adresem: www.teatr.perfect.net.pl

Beata Pająk



Autor w polowej pracowni fotograficznej



Verdun z lotu ptaka

21 lutego 1916 r. pod Verdun rozpoczęła się największa bitwa I wojny światowej. Dla Niemców ufortyfikowany rejon Verdun stanowił klucz do całego systemu obronnego Francuzów, jego upadek otworzyłby drogę na Paryż i umożliwił przecięcie francuskich dróg komunikacyjnych biegnących wzdłuż frontu. Dla Francuzów znaczyłoby to utratę bazy wyjściowej do kontrnatarcia i wyjścia na tyły wroga. Walki rozpoczęły się atakiem niemieckiej 5 Armii. Na froncie długości 15 km dysponowała ona trzykrotną przewagą w piechocie i czterokrotną w artylerii. Mimo tak wielkiej dysproporcji, bitwa zaczęła się przeciągać. 25 lutego 1916 r. padł jeden z punktów francuskiego oporu – Fort Douaumont. Dowództwo nad Francuzami objął gen. Petain. Zebrano 3 500 ciężarówek i 11 tys. innych pojazdów, które tzw. „Świętą Drogą” z Bar le Duc do Verdun przywoziły 190 tys. żołnierzy i tysiące ton zaopatrzenia. Przewaga niemiecka została zniwelowana. Trwające tygodniami i miesiącami walki pochłaniały tysiące ofiar. W końcowym etapie, w trakcie dwóch kilkudniowych bitew Francuzi odzyskali cały utracony w ciągu walk teren. Bitwa zakończyła się 18 grudnia 1916 r., pozostawiając po sobie gigantyczne cmentarzysko o powierzchni 210 km². Na ten obszar każdego dnia bitwy wystrzelowano 150 tys. – 300 tys. pocisków artyleryjskich. Dokładna liczba poległych żołnierzy nie jest znana, źródła podają przedział między 500, a 800 tys. zabitych.



Żołnierze w zrujnowanym kościele



Strzelec na tle zamaskowanego balonu

ODKRYWCA-ONLINE

Mamy dla Was dobrą wiadomość. Uruchomiliśmy długo oczekiwany serwis internetowy naszego miesięcznika pod adresem www.odkrywca-online.com

Znajdziecie tam wybrane artykuły z archiwalnych numerów Odkrywcy, szczególnie takie, które zawierają informacje pomocne w codziennych eksploracyjnych problemach. Serwis będzie uzupełnieniem kolejnych numerów tradycyjnego wydania – umieścimy tu więcej zdjęć, czasem rozszerzenie artykułów, czyli wszystko to, co nie zmieściło się na stronach papierowych. A co najważniejsze, każdy z Was będzie mógł na bieżąco skomentować to, o czym napisaliśmy, dodać swoje uwagi i przeczytać uwagi innych dzięki zamieszczeniu miejsca na komentarze. Może uda się „wywołać” i wciągnąć do dyskusji autora artykułu?

Niewątpliwą przewagą odkrywcy-online jest jego aktualność. W temacie eksploracji dzieje się bardzo wiele, szczególnie w czasie wakacji. Tylko tutaj będziecie mogli znaleźć najświeższe doniesienia naszych reporterów, relacje naszej Grupy Eksploracyjnej i zapowiedzi tego, co przeczytacie w kolejnych numerach.

A teraz to, co cieszy nas najbardziej. Dzięki tej stronie będziemy mogli mieć bardziej bezpośredni kontakt, a i Wy, drodzy Czytelnicy będziecie mogli lepiej się poznać. Znajdziecie tu forum dyskusyjne, czyli miejsce wymiany poglądów, uwag i opinii (a może również zawierania internetowych przyjaźni?), sondę z nurtującymi

mi nas pytaniami (czekamy na propozycje tematów) oraz giełdę sprzedam-kupię-wymienię, gdzie w prosty sposób będziecie mogli zamieszczać swoje ogłoszenia. Zapraszamy do współtworzenia zawartości serwisu i przysyłanie do nas Waszych zdjęć, tekstów, relacji, czy wspomnień. Najlepsze z nich znajdą się w dziale „artykuły” i „galeria” na równych prawach z tekstami z Odkrywcy!

Nie pozostaje nam już nic innego, jak zaprosić wszystkich do internetu. Dla ułatwienia przedstawiamy krótki przewodnik po stronie:

Na stronie głównej znajdziecie zawsze okładkę i spis zawartości nowego numeru miesięcznika. Możecie poznać go lepiej, klikając na „więcej o aktualnym numerze”. Tutaj też można dodać pierwsze komentarze. W dziale „newsy” będziemy zamieszczać najnowsze doniesienia naszych reporterów oraz informacje agencji. Znajdują się tu również „nowe artykuły”, czyli odnośniki do ostatnio umieszczonych tekstów do przeczytania. Ze strony głównej możecie wejść na „forum”, aby trochę podyskutować oraz „zapisać się na listę”, aby zaprenumerować biuletyn informujący o nowościach na stronie. Ma tu również swoje miejsce nasza internetowa księgarnia, prezentująca co miesiąc „nowości Księgarni Odkrywcy”.

W archiwum umieściliśmy spis zawartości wszystkich numerów Odkrywcy, jakie do tej pory się ukazały. Tutaj trafiają również wszystkie newsy, bo na stronie głównej znajduje się tylko dziesięć najnowszych.

Artykuły to dział, gdzie będzie można trochę sobie poczytać. Tutaj umieściliśmy teksty z archiwalnych numerów miesięcznika, a także miejsce na Waszą twórczość – tytuły artykułów nadesłanych przez czytelników znajdują się po prawej stronie. Pod tekstami znajdziecie komentarze czytelników, a po kliknięciu na „dodaj nowy komentarz” możliwość dopisania swoich uwag.

Aktualności to informacje o czekających nas imprezach i wydarzeniach, targach, giełdach i wystawach, najczęściej tych odbywających się z pośrednim lub bezpośrednim udziałem Odkrywcy.

Giełda jest miejscem dla Was, możecie tam błyskawicznie umieścić swoje ogłoszenia dotyczące kupna, sprzedaży lub wymiany sprzętu, literatury, ekwipunku, znalezisk itp.

Linki połączą Was z ciekawymi miejscami w sieci i pozwolą w każdej chwili dodać do zbioru swoją wspólną i jedyną w swoim rodzaju stronę lub wyszukaną gdzieś w światowej WWW niezwykle witrynę, ale pamiętajcie, że będziemy usuwać wszystkie te, które źle działają lub opisują wdzięki Pamelii Anderson...

Tak oto prezentuje się internetowa strona Odkrywcy. Mamy nadzieję, że będziecie naszymi częstymi gośćmi a także zechcecie przyczynić się do tego, aby była ona coraz lepsza. Już dziś zapraszamy Was do nadsyłania wszelkich komentarzy i uwag dotyczących serwisu, z niecierpliwością czekamy na wasze reakcje oraz na materiały, które chcielibyście tutaj umieścić.

M@gda

Witajcie!

W tym miesiącu nie znajdziecie w Odkrywcy ulotki Księgarni. Wszystkie pozycje z poprzedniej, szóstej edycji są aktualne, natomiast nowości lipca drukujemy poniżej. Oczywiście, jeśli ktoś nie posiada naszej aktualnej oferty może ją w każdej chwili zamówić, kontaktując się z nami telefonicznie, faxem, e-mailem lub listownie. Mam nadzieję, że zaafetowani letnimi odkrywczymi wyprawami nie zapomnicie o czytaniu!

Życzę Wam ciekawej lektury i pasjonujących poszukiwań.

Magda - Wasz księgarz

KSIEGARNIA ODKRYWCY

Skr. Pocz. 2101, 90-959 Łódź 2

zamówienia tel. (42) 6898900

(czynne całą dobę!)

zamówienia fax (42) 6898901

(czynne całą dobę!)

e-mail: sklep@ksiegarnia-odkrywcy.pl

internet: www.ksiegarnia-odkrywcy.pl

biuro księgarni (42) 6898902

NOWOŚCI LIPCA

B026-6 L. Adamczewski – **Zatrzaśnięte wrota**, opr. miękka, str. 204, cena 25,50 zł,

C032-6 Z. Lalak, D. Jędrzejewski – **Niemiecka broń pancerna 1939-1945**, opr. twarda, str. 414, cena 47,50 zł

F014-6 W. Głębowicz, R. Matuszewski, T. Nowakowski – **Indywidualna broń strzelecka II wojny światowej**, opr. twarda, str. 196, cena 46,50 zł

D031-6 K. Nowiński – **Niezwykłe miejsca w Polsce – przewodnik**, opr. miękka str. 288, cena 34,90 zł

SMACOWITE NOWOŚCI SIERPNIA

E021-6 W. Łach – **System obronny Prus Wschodnich (do 1935 roku)**, opr. miękka str. 151, cena 25,50 zł

Operacjom wojennym w Prusach Wschodnich poświęcono wiele rozpraw i opracowań. Brakowało jednak całościowego opracowania przedstawiającego fortyfikacje pruskie i ich wpływ na działania wojenne w I wojnie światowej. Tę lukę wypełnia niniejsza książka, przedstawiająca XIX-wieczny system obronny Prus Wschodnich oraz kierunki rozwoju pruskiej sztuki fortyfikacyjnej. Zamiarem autora było poszukiwanie odpowiedzi na następujące pytania: na ile system fortyfikacji Prus wschodnich odpowiadał współczesnym koncepcjom prowadzenia działań wojennych? Jakie modyfikacje poczynili w tym systemie Niemcy przed i po I wojnie światowej? O ile stworzenie stałego systemu obronnego stało się źródłem sukcesów armii niemieckiej? Książka przedstawia krótko Prusy jako teatr działań wojennych, opisuje wybrane bitwy i kampanie, wreszcie ukazuje charakterystykę i budowę pruskiego systemu fortyfikacji.

D031-6 **Zabytki przemysłu i techniki w Polsce.**

Mosty, opr. miękka str. 118, cena 25,00 zł

Kolejna książka z serii „zabytki techniki”, tym razem skierowana do tych, którzy odnajdują romantyzm w stalowych lub betonowych konstrukcjach rozpiętych pomiędzy dwoma brzegami rzeki, jaru czy kanionu. Przedstawia piękno mostów na Dolnym Śląsku – terenie, który obfituje w różne budowle tego rodzaju: najstarsze kamienne mostki, przepiękne, nitowane ze stali wiadukty kolejowe i monumentalne, reprezentacyjne mosty miejskie. Zadaniem tej serii jest nie tylko pokazanie piękna polskich zabytków techniki, lecz także zwrócenie uwagi na konieczność ratowania ich przed zniszczeniem.

A025-6 B. Nitschke - **Wysiedlenie czy wypędzenie? Ludność niemiecka w Polsce w latach 1945-1949**, opr. miękka str. 306, cena 37,90 zł

Kompleksowe i najnowsze opracowanie dotyczące losów ludności niemieckiej na Ziemiach Odzyskanych po II wojnie światowej. Autorka dokładnie analizuje proces przesiedleń na wszystkich terenach włączonych do naszego kra-

ju, opierając się na dokumentach archiwalnych, pochodzących z wielu, głównie polskich źródeł. Oprócz archiwów państwowych, za źródło informacji posłużyły również dokumenty organizacji społecznych (np. Czerwonego Krzyża), archiwa kościelne oraz materiały wspomnieniowe. W odróżnieniu od wcześniej prezentowanych pozycji, książka nie jest zbiorem wspomnień i relacji uczestników, lecz raczej rozprawą historyczno-naukową pozwalającą poznać konkretne fakty, procesy i dane statystyczne dotyczące zjawiska masowych przesiedleń.

F014-6 **Od „Acromy” do „Zwycięzcy”**, str. 41, tekst pol.-ang., cena 28,90 zł

Pierwsza z sześciu części albumu prezentującego nazwy własne i znaki rozpoznawcze pojazdów stosowane w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Praca jest wynikiem wieloletnich poszukiwań autora, dzięki którym udało się zgromadzić około 400 fotografii z nazwami własnymi nadawanymi pojazdom oraz około 700 zdjęć pokazujących sposoby umieszczania znaków rozpoznawczych na pojazdach i sprzęcie używanych przez polskich żołnierzy. W pierwszej części prezentowanych jest 115 zdjęć przedstawiających Wojsko Polskie we Francji, Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich, 3 Dywizję Strzelców Karpackich i 12 Pułk Ułanów Podolskich.

E022-6 T. Czabański, M. Kandulski **Trzecielska Pozycja Przesłaniania. Odcinek Trzciel - Pszczew**, opr. miękka str. 64, cena 17,00 zł

Portret nieco zapomnianej i stojącej w cieniu MRU linii obronnej zwanej także Linia Jezior Obrzańskich. Umocnienia powstały w celu powstrzymania ewentualnego ataku z marszu, a tym samym ochrony głównej pozycji Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, która znajdowała się około 20 kilometrów dalej. Książka przedstawia genezę i proces powstawania umocnień, udział linii w walkach ofensywy styczniowej 1944 roku oraz krótki przewodnik po dzisiejszych pozostałościach Pozycji Trzecielskiej.

Na największej polskiej giełdzie internetowej ALLEGRO można kupić oprócz wielu przedmiotów użytkowych liczne egzemplarze kolekcjonerskie wystawione na sprzedaż. Pośród znaczków pocztowych, monet, kart telefonicznych i etykiet piwnych, liczną grupę w kategorii kolekcje, zajmują szeroko pojęte militaria

Internetowa Aukcja Allegro

W Allegro kupować i sprzedawać może każdy, kto w internecie wejdzie na stronę www.allegro.pl. Cała procedura jest uproszczona do minimum, ale warto zacząć od zapoznania się z regulaminem aukcji. Internetowa giełda pozwala zorientować się w obowiązujących cenach i aktualnych trendach panujących wśród kolekcjonerów. Warto pamiętać, że ceny wywoławcze nie są tożsame z wartością oferowanych przedmiotów i często się zdarza, że jeden przedmiot jest wystawiany kilkakrotnie, a kolejne ceny bywają niższe od poprzednich. Uwaga: Allegro pobiera opłaty tylko za sprzedane przedmioty. Zależnie od kwoty jest to 1,25% lub 3% (im wyższa suma transakcji, tym prowizja jest niższa). Żadnym opłatom nie podlega rejestracja, kupowanie i wystawianie przedmiotów na sprzedaż.

Poniżej ceny niektórych z kilkuset wystawionych na aukcji militariów:

1. Szabla polska wz. 22/23. Niestety, ułamana w połowie. Na głowni powierzchowne przebarwienia, jest to głownia bojowa, ciężka, a nie jak w większości ozdobna. Uchwyt zachowany bardzo dobrze. Wszystko oryginalne: kapturek, jelec, kabłąk, śrubka. Ogólny stan dobry. Sprzedana za 285 zł.



2. niesprawny zamek do Manlichera Stayera. Stan średni. Środek zapieczony. Sprzedany za 35 zł.



3. Przednie okucie do polskiego Mausera wz. 29 z Radomia. Przedni bączek oraz nasada do bagnetu. Wykopane z ziemi, ale w dobrym stanie. Sprzedane za 37 zł.



4. Medal dla celowniczego c.k.m. Wehrmachtu z 7-go pułku piechoty, 8 kompanii karabinów maszynowych za siódme miejsce w ćwiczeniach, w 1929 r. Na awersie sylwetka żołnierza Wehrmachtu w hełmie M 16 z emblematem, strzelającego z c.k.m. Maxim 08/15. Średnica 65 mm, grubość 3 mm. Wykonany ze stopu, najprawdopodobniej brązu. Cena 150 zł. Nie został sprzedany.



5. Drugi model niemieckiego, oficerskiego kordzika Luftwaffe. Stan bardzo dobry, długość całkowita 39 cm, długość



główni 25,2 cm. Klinga sygnowana WKC SOLINGEN. Z głowicy spiłowano swastykę. Jelec nieoryginalny, nabywca otrzyma jelec oryginalny, niestety z obciętą swastyką. Pochwa metalowa, w bardzo dobrym stanie z dwoma koluszkami. Sprzedany za 510 zł.

6. Gąsienice do SdKfz 251. W kilku odcinkach, łącznie 71 ogniów. Znalezione w gospodarstwie. Stan dobry. Cena 2450 zł. Nie sprzedane.



7. Hełm U.S. Army wz. 1945-65 z wojny w Korei. Stan bardzo dobry. Orygi-



nalny fasunek i farba. Wzór z końca II wojny światowej poprzez dołożenie nitu zmieniono na wzór z wojny w Korei. Cena 85 zł. Nie został sprzedany.

8. Oryginalna płyta pancerna do dział samobieżnego FERDYNAND, jednego z



93 wyprodukowanych sztuk. Jest to przednia górna pokrywa przedziału mechanika - kierowcy. Dodatkowo nabywca otrzyma wewnętrzną płytę z przedziału załogi. Cena 10 000 zł. Nie sprzedana.

9. Oryginalny wycior do armaty czołgowej 88 mm Tygrysa królewskiego, znaleziony w okolicach Kielc - miejscu walk 501



Batalionu Czołgów Ciężkich Wehrmachtu. Stan idealny. Sygnowany cyframi: 999, 1943 oraz znakiem odbioru wojskowego (Waffenamt). Cena 899 zł. Nie sprzedany.

10. Jedno z dwóch przedstawionych na zdjęciu kół jezdnych do Tygrysa królewskiego. Stan dobry. Koło wraz z dekle. Cena 1999 zł.



11. Pudełko na spłonki artyleryjskie z 1939 r. Dobrze zachowane. Jeden z narożników skorodowany, ale po założeniu wieczka nie widać tego uszkodzenia. Cena 35 zł. Nie znalazło nabywcy.



12. Volkswagen Iltis 4x4, 1982 r., 1714 cm³, benzyna, silnik po 30 tys. km przebiegu, zawieszenia po regeneracji. Stan dobry. Cena 13 000 zł. Nie sprzedany.



13. Plecak główny armii brytyjskiej wzór 37. Stan idealny. Komplet pasków. Jako dodatek szelki do oporządzenia - jedna uszkodzona. Plecak ten był własnością oficera, który został w 1945 roku wyzwolony przez armię brytyjską z obozu i z nim wrócił do Polski. Sprzedany za 150 zł.



14. Polska menażka wzór 1923/31. Sygnowana napisem: „SILESIA ... WOJSK INT 44”. Stan jak na zdjęciu. Brak uszkodzeń. Sprzedana za 35 zł.



W punktach i salonach sieci **EMPIK, INMEDIO, GARMOND-Press** i **KOLPORTERA** w całej Polsce oraz w następujących miejscach:

Białowieża – PTTK Biuro Usług Turystycznych, ul. Kolejowa 17; „Nad Stawami”, ul. Kolejowa (parking)

Będzin – Zamek Karczmia „Czarny Rycerz”, Muzeum Zagłębia; Pałac ul. Świerczewskiego 15; Zamek, ul. Zamkowa 1

Bydgoszcz – Muzeum Tradycji POW, ul. Czerkaska 2; sklep „Major”, ul. Sienkiewicza 1

Chorzów – Antyki - Starocie „Retro”, ul. 3 Maja 4; Księgarnia „Grandy”, ul. 3 Maja

* **Chodecz** – sklep wielobranżowy

Częstochowa – Antykwarnia – Księgarnia „Niezależna”, ul. Kopernika 4

Dąbrowa Gór. – Market Real – punkt sprzedaży prasy, ul. Katowicka 1; Sklep Taia, ul. Łukasiewskiego 11

* **Drzonów** – Lubuskie Muzeum Wojskowe

* **Frombork** – FHP Globus

Gdańsk – sklep „Militaria”, ul. Czerwony Dwór (targowisko), hipermarket Geant (punkt sprzedaży prasy), Gdańska Księgarnia Naukowa s.c., ul. Łagiewniki 56; księgarnia „Ogród Sztuk”, ul. Piwna 48/49; księgarnia „Muza”, ul. Garncarska 33; „Auto – Gum”, ul. Hynka 101; Fundacja na Rzecz Odzyskania Zaginionych Dzieł Sztuki „Latebra”, ul. Arakońska 7/1 (wtorki i piątki od 18.00); PePe Market, ul. Grunwaldzka 615; Paragraf 22, ul. Konopnickiej 3B; Paragraf 22, ul. Łagiewniki 52; „Kompas”, ul. Miszewskiego 17; Gdański Dom Książki księgarnia nr 38, ul. Miszewskiego 16; Gabinet Numizmatyczny, ul. Szeroka 119/120

Gdynia – „Denar”, ul. Lipowa 6a/17; sklep „Desant”, ul. Portowa 4; hipermarket Makro (punkt sprzedaży prasy); sklep militarny, al. Zwycięstwa 96/98

* **Gierłoż** – („Wilczy Szaniec”); „Perkoz” artykuły przemysłowe

* **Giżycko** – Twierdza Boyen, ul. Turystyczna 1

Golub – **Dobrzyń** – zamek

Grudziądz – sklep militarny, al. 23 Stycznia 12

* **Iznota k. Mikołajek** – „Galindia” Mazurski eden

Jelenia Góra – sklep „U Benia”, ul. Długa 11

Katowice – Księgarnia Dom Edukacyjny „Kronika”, al. Korfańskiego 5; Firma „Antikpol” ul. Gliwicka 89, Antyki, ul. Mariacka 2; Salon Antyków, ul. Stawowa 9; Antykwarjat Dzieł Sztuki Dawnej „Lamus”, ul. Batorego 10

Kętrzyn – Muzeum Św. Wojciecha Kętrzyńskiego

Kielce – Antykwarjat „Filar”, ul. Alabastrowa 98

Konin – Księgarnia „MAWI”, ul. 3 Maja 2

Kowary – sztolnia

Kraków – „Arsenal”, ul. Floriańska 20; Antyki Militaria, ul. Felicjanek 17 (www.militariaantyki.com.pl); Phantom, ul. Sławkowska 13-15

Krosno – „Army Shop”, ul. Piłsudskiego 18

* **Łeba** – wyrzutnia rakietowa

Łódź – Księgarnia „Gedania”, ul. Pojezińska 2/6; Księgarnia Wojskowa, ul. Tuwima 34; Łódzka Księgarnia Niezależna, ul. Piotrkowska 102; Księgarnia „Nike”, ul. A. Struga 3; Księgarnia Ossolineum, ul. Piotrkowska 181; sklep militarny ul. Brzezna 3

* **Malbork (zamek)** – „Krispol” artykuły przemysłowe

Mirosławiec – Jednostka Wojskowa 3299 kiosk wielobranżowy

Niedzica – Zamek

Olsztyn – Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, ul. Zamkowa 2; Dom „Gazety Olsztyńskiej”, Targ Rybny 1; Muzeum Bitwy Grunwaldzkiej w Stębarku, Stębark 1; Muzeum w Lidzbarku Warmińskim, pl. Zamkowy 1; Muzeum im. J.G. Herdera w Mrągu, ul. Dąbrowskiego 54, Muzeum w Mrągowie, ul. Ratuszowa 5; Galeria Zamek w Reszlu, ul. Podzamcze 3, Muzeum Mazurskie w Szczytnie, ul. Sienkiewicza 1; Muzeum Przyrody, ul. Metalowa 5, Olsztyn

Osowiec – Twierdza (kontakt: Mirosław Worona)

Osówka – Podziemna Trasa Turystyczna w Górach Sowich

Otrębusy – Muzeum Motoryzacji, ul. Warszawska 21

* **Pisz** – Muzeum Ziemi Pilskiej, pl. Daszyńskiego 7

Poznań – Księgarnia „Dobra Książka”, pl. Wielkopolski 4; Księgarnia „Militarium”, ul. Libelta 3

Przemysł – Centrum Inf. Turystycznej, Rynek 26

Rzeczka – Podziemna Trasa Turystyczna w Górach Sowich

Sanok – ul. II Pułku Strzelców Podhalańskich 24

Skarżysko Kamienna – Muzeum Orła Białego, ul. Słoneczna 90

Sosnowiec – Antyki, ul. Targowa 8; Market Achuan – salon sprzedaży prasy, ul. Zuzanny 20

* **Srokowo k. Węgorzewa** – Smażalnia „U Rybaka”



Szczecin – Kiosk Przemysłowo-Spożywczy „Mati”, ul. Jasna 82; punkt Toto, ul. Jasna 15

Szklarska Poręba – Muzeum Ziemi, J. Naumowicz, Szosa Jeleniogórska 9

Świdnica – T.W. „Nowinka”, ul. Franciszkańska 3

Środa Wielkopolska – antykwarjat, ul. Warszawska 142

Tomaszów Mazowiecki – Muzeum Regionalne

Walim – Zakład Usług Turystycznych, ul. 3 Maja 26

Wałcz – „Bar u Majora”

Wambierzyce – Skansen, ul. Wiejska 52

Warszawa – „Pelta”, ul. Świętokrzyska 16; Kafe Sahara, ul. Żwirki i Wigury 97/99; Muzeum Kolejnictwa, ul. Towarowa 1; księgarnia „Iglica”, ul. Okrąg 12; „Azymut”, ul. Coraziego 4; sklep Mapa, ul. Ostrobramska 109

* **Wdzydze** – **Kiszewskie** – skansen, parking

Wrocław – Centrum Informacji Turystycznej, Rynek 14; Księgarnia Ossolineum, Rynek 6; Księgarnia Marco Polo, ul. Wyszyńskiego 96; Księgarnia „PARAGRAF”, ul. Krupnicza 6/8; Księgarnia Podróżnicza, ul. Wita Stwosza 19; sklep „Dorota”, ul. Agrestowa 6; sklep ul. Damrota 53; Muzeum Miejskie Wrocławia – Księgarnia, pl. Hirsfelda 16/17; Księgarnia „Sfera”, ul. Szczytnicka 50/52; Dworzec PKP i PKS; „Feniks”, stoisko kolekcjonerskie na IV piętrze, Rynek; Księgarnia Wydawnictwa Dolnośląskiego ul. Świdnicka 28; „Skalnik”, ul. Polaka 20

Zabrze – Muzeum Górnictwa Węglowego, ul. 3 Maja 19

Zagórze Śląskie – Zamek Grodno

Zamość – Salon Antyków „Kolekcjoner”, ul. Rynek Wielki 3

Zielona Góra – Księgarnia WSP, ul. Lisowskiego 15

Złotoryja – Muzeum Złota, ul. Zaulek 1

Złoty Stok – Kopalnia Złota, ul. Złota 7

*Punkty sezonowe

Warunki prenumeraty

- Prenumeratę przyjmujemy na okres do 6 miesięcy (z zaznaczeniem, od którego numeru powinna zacząć się prenumerata)
- Prenumeratę należy opłacić w banku lub na pocztę.
- Koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłat w banku lub na pocztę ponosi zamawiający
- Koszt przesyłki na terenie kraju ponosi wydawca.
- Cena jednego egzemplarza w prenumeracie wynosi 7,00 zł, 7x6 egz. = 42 zł
- Pytania dotyczące prenumeraty prosimy kierować listownie pod adresem Redakcji, telefonicznie lub pocztą elektroniczną. Prosimy o wyraźne zaznaczenie, które kolejne sześć numerów Państwo zamawiacie.

Numer archiwalne

Do nabycia są jeszcze numery; marzec 2000 nr 3 (20); kwiecień 2000 nr 4 (21), **Cena 6.00 zł za 1 egz.** Numery: grudzień 2000 nr 7(24); styczeń 2001 nr 1(25), luty 2001 nr 2(26), marzec 2001 nr 3(27), kwiecień 2001 nr 4(28), maj 2001 nr 5(29), czerwiec 2001 nr 6(30), lipiec 2001 nr 7(31) **Cena 7,00 zł za 1 egz.** Prosimy o telefoniczny kontakt z Redakcją: tel. (0-71) 339-90-76

„Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych” Sp. z o.o.

62-500 Konin, ul. 3 Maja 32

BANK ZACHODNI WBK S.A.

5 o/Wrocław

39 1090 1522 0000 0000 5206 3428

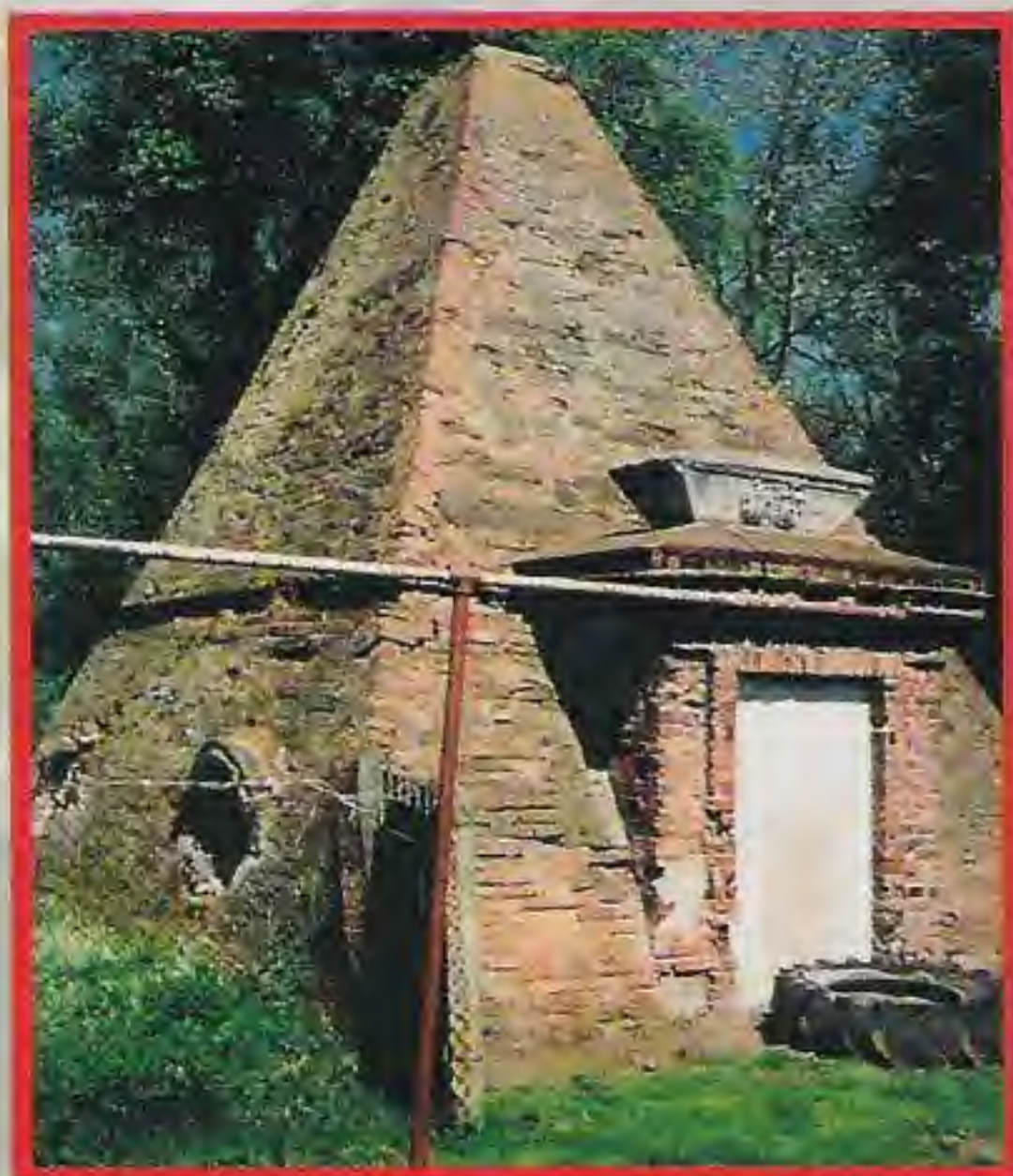
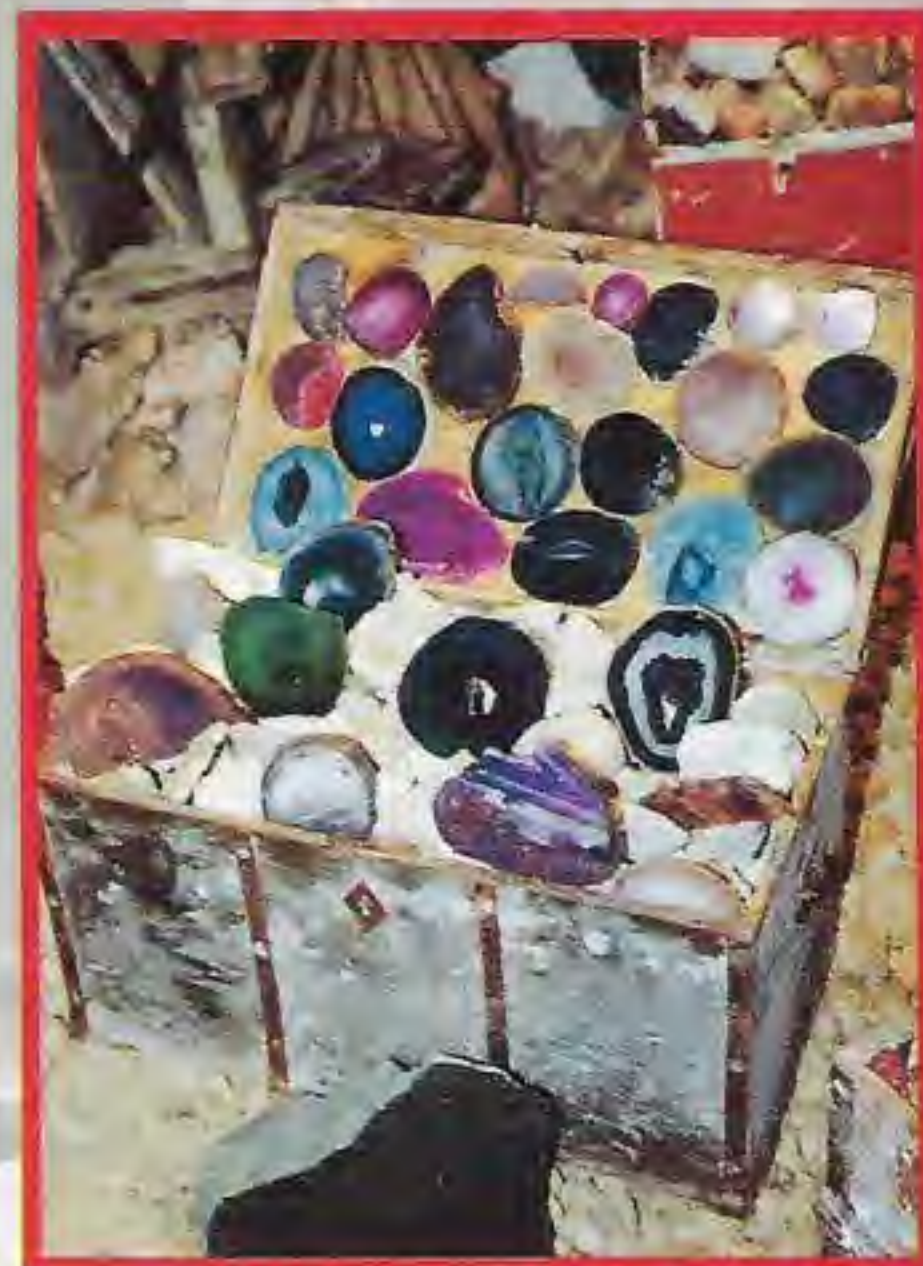
Las pełen tajemnic

Wybrali się w miejsce, w którym znali niemal każdą piędź ziemi. Nie liczyli na wielkie znalezisko. Ot, po prostu chcieli jeszcze raz przejść po mrocznym, pełnym zagadek lesie. Jednak, gdy oba wykrywacze dały sygnał, że coś jest, zabrali się do kopania. Pracowali bez specjalnego entuzjazmu. Kiedy saperka uderzyła o metal, nikt z nich nie przypuszczał, że to będzie coś tak wyjątkowego. I to na stromym stoku, zaledwie 30 cm pod ziemią. Byli tak zaskoczeni, że nikt z nich nie okazał radości. Po chwili w skupieniu, centymetr po centymetrze zaczęli odsłaniać znalezisko godne prawdziwego poszukiwacza.



Kamienne skarby

Wędrują po polach wpatrzeni w ziemię, a nuż trafi się jakiś wyjątkowy egzemplarz agatu. Niekiedy przez kilka kilometrów niosą kilkunastokilogramowe znalezisko, aby po oszlifowaniu ustawić w domu na jednej z wielu półek. Często są przeganiani z lasów, a bywa, że gajowy odda nawet parę strzałów w powietrze, żeby przegonić intruzów. Jeszcze 10 lat temu zarabiali krocie. Co miesiąc za sprzedane minerały kasowali równowartość kilkunastu średnich krajowych pensji. Teraz rynek się załamał, a oni dalej zbierają kamienie, bo to miłość ich życia.



Nadwiślańskie piramidy

Piramidy wzniesione na polskich miedzach w XVIII i XIX w. są równie tajemnicze, jak te stojące pośród pustynnych piasków w dolinie Nilu. Swoje powstanie zawdzięczają fali zainteresowania sztuką egipską. W Polsce nie znano jednak sztuki balsamowania. I dlatego nie wiadomo, według jakich receptur zabalsamowani zostali przedstawiciele rodziny von Eben und Brunenn z Rożnowa. Ich mumie posiadają ponoć żółte zabarwienie, zachowały też elastyczność skóry. Może to wskazywać na użycie wosku parafinowanego lub niezidentyfikowanej maści.

Ponadto:

Szkoła staczania

Pomysł narodził się na antypodach. To właśnie tam wymyślono zorbing. Zabawa polega na staczaniu się z góry w specjalnej kuli. Podobno Nowozelandczyków zainspirował rysunek Leonarda da Vinci przedstawiający człowieka z rozkrzyżowanymi rękami i nogami wpisanego w okrąg. Zabawa była tak znakomita, że zainteresowano się nią na Starym Kontynencie. Do naszego kraju trafił zorbing dzięki Stefanowi Walczykiewiczowi, który zbudował tor w Bieszczadach. Kula, w której śmiałkowicie staczają się z góry wykonana jest z przezroczystego polietylenu i posiada dwie ścianki. Przestrzeń między nimi wypełniona jest powietrzem.

Podróże Hitlera

Hitler nie lubił podróży lotniczych. Latał samolotem ze względów praktycznych. Był to najszybszy środek transportu, ale w latach trzydziestych osiągalny tylko dla elit. Kiedy okrzepł na stanowisku wodza III Rzeszy zapragnął podróżować w wygodniejszy sposób. Dlatego kazał wykonać serię wagonów kolejowych dla najwyższych urzędników państwowych. W jego salonce wykończonej mahoniową boazerią stał duży stół i obite czerwoną skórą krzesła. Było też radio i gramofon. Okna niemal zawsze były zasłonięte, bo gospodarz tego miejsca lubił półmrok.